ZORZA

DZIENNIK

MŁODEMU WIEKOWI

POŚWIĘCONY.

Kto garstką ziemię nosi góry się doczeka.

Czyń każdy w swojém kółku co każe duch boży
A całość sama się złoży.

K. Brodziński.

TOM III.

WARSZAWA

W DRUKARNI POD FIRMĄ M. CHMIELEWSKIEGO
przy ulicy Senatorskiej Nr. 463.

1843.

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWEJ.



Zamek Kamieńca Podolskiego.

JULJA.

...Bo czyliż może być rozkosz więcéj zadowalająca serce, jak być kochanym od tych, którzy wiek swój w ciężkiéj pracy spędzieją, *w pracy na nasz pożytek!*

Purpurowe promienie pogodnie wschodzącego słońca już żywém światłem pokój sypialny owidniły, kiedy Julja modlitwy poranne skończyła, i stawając przed łóżeczkiem siedmioletniéj siostrzyczki, miłym zawołała głosem:

— Luby śpioszku! Ociu! otwórz niebieskie oczęta, spojrzyj na dzień jasny, nie godzi się spać dłużéj: *Bóg dzień do pracy a nie do spoczynku przeznaczył.* Słyszysz jak bicie cep pracowitych kmiotków hucznym po wsi rozlega się odgłosem, czyliżbyś się nie wstydziła spać jeszcze wtenczas, kiedy drudzy pracują?....

— Julciu! cóż to tak za ścianą szwargoce?

— Twoje gąski przyszły cię zbudzić, bo one już się na śniegu wymyły, już trzepotaniem skrzydeł przywitały się ze wschodzącém, słońcem i teraz zaglądają do okna, rychło się Ocia z koszyczkiem jęczmienia pokaże.

— Jak się będą naprzykrzały to ja im wcale nic nie dam.

— Popełniłabyś wielką niesprawiedliwość; kiedy w czasie wiosny maleńkie jeszcze w zielonawym były puszku, i tak ci się bardzo podobały, prosiłaś mamy, abyś się niémi opiekować mogła; mama chętnie zezwoliła na to, pod tym jednakże warunkiem, że je codzień u Frankowéj odwiedzać, i że mamie o nich donosić będziesz: ile ich jest, czy są zdrowe, czy napasione, bo mama chciała, ażebyś obok rozrywki nawykła do niezmiennéj pamięci, do stałego i pilnego porządku w tych dobrowolnych początkach twojego gospodarstwa. Odtąd nazywałaś je swojemi gąskami, klaskałaś w dłonie, widząc je pływające po stawie; cieszyłaś się jak późniéj w pole wychodziły na kłosy, a gdy już na spore gęsi wyrosły, i gdy wieczorem pod jesień na silnych skrzydłach do domu wracały, niemal dumną byłaś, że przelatując nad twoją główką, albo radośnie zawrzasły, albo nagle lot swój zwalniając, pod twoje nóżki upadły. Kiedy zima

nastała i mróz wody lodem pościnał a ziemię śniegiem przypruszył, odgadując że gąski daleko więcéj aniżeli w lecie opieki potrzebują, uprosiłaś mamę, aby ci wolno było każdego poranku nasypać dla nich pod okno jęczmienia. Chociaż o gąskach Frankowa na folwarku pamięta, mama nie odmówiła prośbie twojéj, odbierasz co dzień garniec jęczmienia dla swoich gąsek, przyzwyczaiłaś je do tego dla nich tak smacznego i pożywnego śniadania,— i dzisiaj, że szwargocą na śpioszka Ocię— miałażby rozsądna Otolka odmawiać im dalszéj opieki?

— O! nie, Julciu, ja tylko żartowałam— ale wszakżeż ty sama mawiałaś nieraz, że nieładnie kiedy dzieci są naprzykrzone.

— Co innego dzieci, a co innego gęsi: dzieciom udzielił Pan Bóg rozumu, a gęsi są to bezrozumne stworzenia.....

— Prawda Julciu! prawda! ja też zaraz wstanę i dam im jęczmienia.

— Pierwéj jeszcze zmówisz, pacierz, umyjesz się, ubierzesz i powiesz mamie dzień dobry.

I tak się stało: Ocia w obec Julci mówiła pobożnie pacierz, przyczém nie zapomniała prosić Boga o zdrowie dla mamy, o zbawienie duszy dla zmarłego tatki, o szczęście dla swéj siostrzyczki Julci i dla bliźnich, zaś dla siebie o pamięć, rozum, bojaźń boską i ludzką przyjaźń.

Następnie umyła się, gładko zczesała włosy, ubrała się w czystą sukienkę, i z Julją razem pobiegły ucałować rączki dobréj i kochanéj mamy.

Pani Borzecka, wdowa od lat kilku, trudniąca się sama wszystkiémi interesami, w chwili, gdy Julja z Ocią do pokoju wchodziły, łzami zroszone ocierała oczy.

— O moja mamo! moja najdroższa mamo, cóż się to stało? — zawołała Julja całując z uczuciem rękę matki.

— Czy mama płakała? — żałośnie wyrzekła Ocia, i drugą rękę matki do swoich przytuliła usteczek.

— Nie, Ociu, mnie oczy bolą.

Matka nalała dla Julji mlecznéj kawy, dla Oci samego mleka — rozkroiła pszenną bułeczkę, chwaląc Julją, że jéj się pieczywo udało.

— Mamo, ja w sypialnym pokoju wypiję mleko i zjem bułeczkę, bo gąski na mnie pod oknem czekają.

— Dobrze moje dziecię, ale zawołaj Jagusi i poproś jéj aby ci otworzyła okno, a wysypawszy jęczmień, zamykajcie je zaraz, ażebyś się nie zaziębiła, bo dzisiaj wielki mróz na dworze, a ty jeszcze zupełnie zdrową nie jesteś.

— Mateczko, jam już zdrowa! — i z tą odpowiedzią pobiegła wesoła Otolka.

Pani Borzecka zostając z Julją sam na sam, w następne do niéj odezwała się słowa.

— Już dzieckiem nie jesteś, moja Juljo, mogę ci więc] wyjawić, jak wielkie czeka nas zmartwienie..... Po śmierci naszego poczciwego sąsiada, pana Łuckiego w Dębicy, adwokat Sprawnicki trudni się wszystkiemi interesami jego syna, to jest dzisiejszego dziedzica. Młodzieńca tego nie znam wcale, ile że od lat kilku bawił za granicą, a teraz podobno w Warszawie gości. Otóż pan Sprawnicki wytoczył mi process, w którym dowieść zamierza, że Osin należał do pani Rastowieckiéj, któréj siostrzeńcem i jedynym spadkobiercą jest młody Łucki; że ś. p. ojciec wasz, przy kupnie Osina nie dopilnował się, a raczéj że nieprawne uczynił kupno i dzisiaj pierwsze przysłano mi pozwy.

— Moja kochana mamo, i jakiż może być skutek w najniepomyślniejszym razie?

— Że nam Osin odbiorą, i za cały majątek pozostanie dla nas 20,000 złp. które w gotowiźnie posiadam.

— O moja matko! to będzie dosyć dla ciebie.... Nie martw się mamo, nie zatruwaj sobie życia, wszakże mamy ojca w niebie, który o nas pamięta.

— Dobre, moję dziecię! — wyrzekła rozrzewniona pani Borzecka — mnie wasz los obcho-

dzi, wam tylko pragnę lepszą zapewnić przyszłość.

— Bóg o nas nie zapomni! — odrzekła Julja, tłumiąc żal w sobie — Lecz do kogóż to kochana mama pisać zaczęła?

— Do mojego obrońcy.

— Może ja mogę mamę wyręczyć,

— I owszem moja Julciu, lecz wprzódy zbiorę dowody.

— Pójdę więc teraz wydać na objad i następnie Ocię uczyć będę, a jak mama łaskawie zawoła, natychmiast pospieszę.

II.

Ze zwykłą uwagą wypełniła Julja, pomimo smutku, jaki jéj serce przytłaczał, i dzisiaj zatrudnienie swoje; ale gdy po wysłuchaniu wokabuł których się Ocia była nauczyła, wskazała jéj wzory kalligraficzne do naśladowania, a sama z ręczną robotą opodal usiadła, cierpkie myśli poczęły się snuć po jéj głowie: Opuścić Osin, w którym się zrodziła, gdzie jéj obok ukochanéj matki i drogiego ojca lata dziecinne tak wesoło

ubiegły; gdzie każdą kmiotkę znała, gdzie każde dziecię wieśniacze, chociażby maleńkim datkiem; obdarzać lubiła, gdzie ją wszyscy kochali.... o! to zbyt bolesnym dla niej było obrazem!.... I jéj dobra matka!... z jakąż-by to dla matki przychodziło goryczą ulubiony Osin pożegnać!...— łzy zalały wdzięczne Julji oblicze.

— Czego płaczesz siostrzyczko?— zapytała Ocia i rzuciła się jéj na szyję— czyliż się na mnie gniewasz?... o! ja będę grzeczną, tylko nie płacz Juleczko! bo widzisz.... że.... że i ja zapłaczę....

— Ja już nie płaczę— odrzekła Julja, przymuszając się do uśmiechu— bądź grzeczna.... ucz się pilnie.... mama ma zmartwienie....

— Mama ma zmartwienie!— zawołało dziecię i smutnie rączki złożyło— będę się modliła, ażeby Pan Bóg mamę pocieszył!

Julja do głębi duszy wzruszona uścisnęła maleńką— i po chwili dopiero Ocia pisaniem, Julja swoją zajęła się robotą.

— O! widzisz Julciu, jak ładnie napisałam.

Julja pochwaliła pilność małéj siostry, i zadawszy jéj do odrobienia 24 drutów u pończoszki, na wezwanie matki pośpieszyła.

— Oto jest list, Juljo odpisz go, ponieważ natychmiast wyprawiam umyślnego.

Julja na ładnym, welinowym papierze odpisała wzorowo pięknie list matki. Potém wyszła

do gospodarstwa, bo starała się matkę we wszystkiém wyręczyć; potém znów powróciła do Oci, wysłuchała ją bajeczki, pouczyła ją na fortepianie, a że słońce w południe mile ogrzewało i Ocia była bardzo grzeczną, otuliła w futerko zadowolone dziewczątko, włożyła jéj na główkę własnéj roboty, podwatowany kapturek, i zaopatrzywszy się sama od zimna, wyszła z nią na przechadzkę.

Po obiedzie, uprosiła Julja matkę, ażeby nieco spoczęła— Oci wolno było z lalką się pobawić, późniéj jednak, znowu kilkanaście drutów u pończoszki zrobiła.

Pani Borzecka krótkim snem tylko pokrzepiła zmartwieniem wycieńczone siły, i gdy do córek swoich wróciła, Julja pokazała jéj dzisiejsze pismo Otolki i pończoszkę; pochwaliła małą siostrzyczkę: że umiała bez zająkania się bajkę i wokabuły; że uważnie grała na fortepianie,— ucieszyło to dobrą matkę i zmniejszyło jéj strapienie— a Ocia otrzymała pozwolenie bawienia się lalką przez cały wieczór.

Gdy więc zapalono świece, uradowana dziewczynka przyniosła wszystkie sukienki swojéj lalki i płateczki, z których cóś nowego dla niéj uszyć zamierzyła. Julja dodała kilka kawałków ładnéj materji, skroiła *kardynałkę*, i pokazała Oci jak ją uszyć miała. Sama zaś usiadła obok matki,

i aby zamyśloną rozerwać, czytała jéj niektóre ustępy z celniejszych pism czasowych warszawszawskich, których jéj uprzejma sąsiadka pożyczać zwykła.

Po wieczerzy, zagrała Julja na *fortepianie* lubione przez matkę utwory muzyczne; potém żwawiéj poruszyła klawisze— ochoczy zabrzmiał mazur— a Ocia z ustrojoną lalką w wesołe puściła się pląsy. Pani Borzecka ze łzą radości w oku spoglądała na ukochane dzieci.

Około dziewiątéj ustały lube muzyki dźwięki— Ocia powiedziała dobra noc,— Julja zaprowadziła ją do sypialni, zmówiła z nią pacierz— maleńka dzisiaj ze szczególną modliła się pobożnością, prosząc Ojca w niebie: ażeby od kochanéj mamy zmartwienie oddalił.— i gdy miła dziecina zkleiła powieki, starsza jéj siostra znowu przy matce usiadła. Poufna poczęła toczyć się rozmowa: bo pani Borzecka z 15 letnią Julją już o wszystkich interesach mówić mogła, przez co ulgę w dolegliwościach znajdowała.

III.

— O, mróz!— wyrzekł stary lokaj Łukasz, i położywszy naręcze suchych drzewek przy ko-

minie, ścierał dłonie; a potém żwawy ogień rozniecił.

— Czy większy jak wczoraj? — zapytała pani Borzecka.

— Niby trochę wietrzniéj.....

— Ale śnieg poczyna pruszyć i niebo się zachmurzyło, zapewne go więcéj w nocy przypada — ozwała się Julja stojąca przy oknie.

— Będzie jutro ponowa! — zawołał uradowany Łukasz, który pomimo lat sędziwych, lubił się czasem przejść z strzelbą.

— Czy to prawda, że wytropiono dzisiaj zrana wilka pomiędzy gumnami? — zapytała pani Borzecka.

— Na własnem oczy poszlakę jego widział, a nie masz się czemu dziwić: mróz trwa już dni tyle i wilczyska w lesie żeru nie mają.

— Jakaś dziewczyna biegnie, płacze — wyrzekła Julja pochylając się ku szybie, lecz zmierzch wieczorny nie dozwolił jéj rysów płaczącéj rozpoznać. Niezadługo weszła do pokoju Magdusia, córka wdowy Jarmużkowéj, bardzo poczciwéj kobieciny.

— Cóż tobie? co tobie Magdusiu? — Julja i Ocia pobiegły ku niéj; obiedwie Magdusię lubiły.

— Matula tak mi bardzo zaniemogła — odrzekła łkając — ma okrutną gorączkę i ból głowy.

— Moja mamo, moja dobra mamo! ja pójdę do Jarmużowéj — zawołała Julja żalem przejęta.

— Idź moje dziecię, idź wszakżeż ja cię nigdy nie zatrzymuję, kiedy z pomocą dla cierpiących spieszysz.... Niechaj z tobą idzie Maczkowska, a opatrz się dobrze, ażebyś się nie zaziębiła. Weź z sobą kwiatu lipowego, cukru, cytrynę, gorczycy....

— Już ja wiem mamo. Do widzenia. — Ucałowała ręce matki, uścisnęła Ocię, i otuliwszy się futrem, pobiegła z Maczkowską, która niosła koszyk, z środkami zaradczemi przeciwko chorobie Jarmużkowéj; przed niemi spieszyła Magdusia.

Jarmużkowa mieszkała na samym końcu wsi, nadto, chałupka jéj stała na uboczu, to jest: nie w rzędzie innych chat wieśniaczych,— przestrzeń więc, którą przebiegła Julja, dość znacznéj była odległości,— ale dobra i litościwa córka pani Borzeckiéj, nie zważała ani na mroźny wiatr, ani na śnieg, który coraz gęstszemi leciał płatami, bo z sercem najżyczliwszém i w szczeréj chęci ulżenia jéj co prędzéj, spieszyła do choréj.

Przyszedłszy do Jarmużkowéj, Julja najprzód sporządziła chłodzący napój dla cierpiącéj, za pomocą Maczkowskiéj, przystawiła jéj wizykatorje, a następnie usiadłszy przy łóżku, przyrzekła jéj: że jeżeli choroba przez noc się nie zmniejszy, wówczas mama bez straty czasu, po lekarza pośle, dała niektóre polecenia Magdusi,— i bło-

gosławiona przez matkę i córkę pożegnała ich strzechę.

Julji, przy zatrudnieniu około chorėj, szybko czas uleciał, przy zatrudnieniu, które powinnością swoją być mieniła i to od cnotliwych swoich rodziców nauczyła się być litościwą, a szczególniéj mieć względność na stan pracowitych chłopków naszych. Nie przypuszczała bynajmniéj że dwie godziny przeszło w ubogiéj strawiła lepiance i dopiero głębokość świeżo upadłego śniegu przekonała ją o twierdzeniu Maczkowskiéj, która jéj po dwakroć późną przypominała porę. Co zaś powrót do domu zbyt przykrym czyniło, była zadymka, niedozwalająca i najbliższe przedmioty wzrokiem dosięgnąć.

— O mój Boże! mój Boże! panienka naziębnie, zmęczy się i zachoruje— wyrzekała Maczkowska, widząc jak Julja ze znaczném utrudzeniem w śniegu aż po-za kostki brnęła.

— Nic mi nie będzie moja Maczkowska....

— Ależ panienka ledwie mówić może.... o mój Jezu przenajświętszy!— poczciwa kobiecina, która na swoim ręku Julją była wypiastowała, kochała ją jak własne dziecię, i zawsze najwyższą troskliwością zwykła ją otaczać.

— Oprzyj się panienka na mnie....

— Dziękuję Maczkosiu, lecz ja się wcale nie męczę....

— Ale, nie! panienka mnie tylko trwożyć nie chce....

Wtém posłyszały brzęk dzwonków— Maczkowska niewymownie się ucieszyła— brzęk co raz więcéj się zbliżał— rżenie koni zwiększyło staréj piastunki nadzieję.

— To pan cześnik z Groszkowa powraca, widziałam jak dziś rano przez wieś jechał... niech panienka tutaj się zatrzyma....

— Moja Mączkosiu, a jeżeli to ktoś zupełnie obcy?

— I gdyby też tak było, to go jednak poproszę, ażeby nas do domu zawiozł.

Julja zdała się na jéj wolę i przystanęła— a Maczkowska zdążała ku sankom głośno o ratunek wołając.

— A co się tam stało?— zapytano męzkim głosem, i sanki się zatrzymały.

— Ot, nasza panienka, panna Borzecka, odwiedzała chorą chłopkę, zatrzymała się tam dłużéj..,. aż tu śnieżyska naleciało, że brodzić potrzeba.... panienka się zmęczyła i już ledwie żywa.... odrzekła zadyszana Maczkowska.

— A gdzież jest panna Borzecka?

— Ot, niedaleko....

Julja zwolna się zbliżyła— chwiała się biedaczka ze znużenia, z wdzięcznością więc podaną

sobie rękę podróżnego przyjęła, i niezdolna słówka jednego wyrzec, do krytych sanek wsiadła.

— Nawróć i ruszaj do dworu.

Woźnica rozkaz pana natychmiast wypełnił.

— Dziękuję, dziękuje panu— wyrzekła nakoniec Julja— a mama moja, jakżeż wdzięczna będzie.

— Jestem bardzo szczęśliwy!.... Ale czemużeś pani na taką zamieć wychodziła? prawda że w nader pięknym celu, jednakże....

— Wyszłyśmy jeszcze za pogody, odparła Julja.

Po odejściu Julji do choréj Jarmużkowéj, zamknięte okiennice nie dozwoliły widzieć pani Borzeckiéj że tak wielki śnieg padał, i dopiero po niejakim czasie, kiedy poświst wiatru usłyszała, wybiegła niespokojna przed sień, i z trwogą, która kochające serce matki obległa, ujrzała śnieżną zawieję.

— Łukaszu! zawołała.

— Jestem pani, jestem!— odrzekł stary sługa, wychodzący z po-za węgła dworu z latarnią wręku.— Oj, byłemci ja już po dwa razy w stajniach, ażeby konie do sanek założyć i po pa-

nienkę pojechać, aleć fornale jeszcze z lasu nie powrócili.....

— O mój Boże! mój Boże!

— Niech się pani niczego nie lęka, ja ot sobie pójdę z latarnią i bezpiecznie panienkę przyprowadzę.

Poszedł— a biedna matka została przed dworcem natężając ucho czy czego nie posłyszy, siląc wzrok swój czyli powracającéj Julji nie ujrzy,— lecz mgła była tak wielka, że zanim Łukasz bramy dziedzińca dobiegł, już tylko bledniuchną łunę światła jego latarni widzieć mogła.

— Moja mamo! moja mamo! pójdź mama do pokoju!— wołała płaczliwie Ocia wychodząc do sieni— O Boże! o Boże! gdyby też ta Julcia już wróciła!

Pani Borzecka ujęła raczkę maleńkiéj, weszła z nią do pokoju, i niechcąc powiększać budzącéj się obawy w małém serduszku, własny przed nią ukryła niepokój.

— Mamo! mamo! słychać dzwonki!

Sanki z brzękiem zajechały przede dwór— pani Borzecka zaledwie drzwi otworzyła, a już Julja była w jéj objęciu!

— Moja mamo, brnęłyśmy aż po-za kostki w śniegu..., ten pan nader wielką wyświadczył nam przysługę odwiozłszy nas do domu, bo inaczéj....

W tę chwilę wszedł do pokoju młody mężczyzna i panią Borzecką powitał.

— O dzięki panu! niewysłowione dzięki! — wyrzekła Julji matka,

— Tak małą była moja uczynność, ale z najwyższą wykonana chęcią....

— I komuż winna jestem tak wielką grzeczność i usłużność?

— Jestem Władysław Łucki.

— Syn nieboszczyka przyjaciela! — zawołała rozrzewniona— Władysław jéj rękę ucałował.

Pani Borzecka prosiła następnie, ażeby pan Łucki na dalszą podróż w nocy i przy tak wielkiéj niepogodzie, więcéj się nie narażał— młody Władysław z największą chęcią przystał na tak uprzejme żądanie.

Wdzięczne matka i córki, starały się w ciągu wieczora grzecznemu gościowi pobyt w ich domu umilić, o ile tylko mogły— i po wieczerzy proszona o to przez niego Julja, zadowoliła słuchających dźwięczną grą na *fortepianie.* Mała zaś Ocia, z całą uwagą, na jaką się zdobyć mogła, zadeklamowała jednę z ładnych bajek naszego, pełnego zasługi, Jachowicza.

— Mamo! to więc jest ów dziedzic Dębicy, co nam chce Osin odebrać?— zapytała Julja matki po oddaleniu się na spoczynek młodego Łuckiego.

— On może i nie zna dobrze téj sprawy, moje dziecię, bo to jego pełnomocnik ją wprowadził.

— On zdaje się być dobrym, uczynnym... tak chętnie dzisiaj swojéj udzielił mi pomocy....

— Niechaj mu to pan Bóg wynagrodzi! — i pani Borzecka czyniąc Najwyższemu podzięki z wdzięczném w sercu uczuciem dla Władysława, ukochaną córkę do swego przycisnęła łona.

Nazajutrz, przy jaśniejącym białém nakryciem stole, gdzie z kamiennego imbryka wonną parą kawa do śniadania wzywała; gdzie w niskich pletkach wyborna śmietanka; przedziwne bułeczki z świeżém masłem i smaczne sucharki nęciły, — zeszli się o rannéj godzinie gość młody i jego uprzejme gospodynie.

Władysława grzeczność dzisiaj jeszcze więcéj ujmującą była, bo był poufniejszym i takim, jak gdyby już oddawna w Osinie znajomym; szczególnie go też Ocia polubiła, z którą wiele rozmawiał, i różne jéj prawił żarciki.

W godzinę po śniadaniu pożegnał się młody Łucki — ale że zadymka ciągle jeszcze trwała, i most zepsuty omijać potrzeba było, o czém

stangret Władysława nie wiedział,— przeto pani Borzecka dała przewodnika, poczciwego Wojciecha który doskonale wiedział, którędy jechać wypadało, ażeby most zerwany ominąć a nie natrafić na śniegiem zasypane rowy.

W drodze rozpoczął Władysław z nim gawędkę— i z dziwną przyjemnością słuchał pochwały, z jaką Wojciech o dobroci pani Borzeckiéj dla swoich włościan mówił, o jéj staraniach, ażeby kmiotkom w każdéj potrzebie dopomódz— nakoniec o *anielskich czynach najlepszéj w świecie panny Julji.* Jak to matka i córka o chorych troskliwie baczą, nie szczędząc ni grosza ni trudu; jak to panna Julja biegnie nieraz w slotę i zimno chorego odwiedzić; jak to jéjmość nie każe chłopa karcić za lada przewinienie, ale mu sama przekłada, że źle zrobił i do dobrego go napomina. Jak to panna Julja nieraz dziewczętom wiejskim w dni świąteczne piękną nauką albo powiastkę przeczyta, i zawsze im tak prześlicznie wyłoży: ażeby Pana Boga i rodziców swoich miłowały, ażeby im jako i przełożonym posłuszne były; ażeby szanowały ludzi sędziwych, były pracowite i o porządek dbałe. A kiedy która dziewczyna na to zasłuży, to pewno nie zaniedba udarować ją jaką wstęgą barwistą albo kwiatkiem, *co to je tak umie składnie robić, że iście jak gdyby żywe były.*

W kilka dni potém zajechały ładne saneczki przed dworzec Osina — wyskoczył z nich pan Władysław Łucki, i mile został przywitanym.

— Przyjeżdżam z prośbą do pań, do obudwóch pań — wyrzekł po przywitaniu, zwracając się od pani Borzeckiéj do Julji.

— I czemże się panu odwdzięczyć możemy? — zapytała z uprzejmością pani Borzecka.

— Ażebyście mnie łaskawie nauczyć raczyły, jak sobie serca moich włościan mam zjednać: jesteście tak kochane, tak wielbione, przez kmiotków waszych.... obym i ja kiedyś podobnego doznawał szczęścia! jest to najwyższém życzeniem mojém.

— Z tak pięknemi uczuciami, jakie w sercu pana odgadłam — odrzekła pani Borzecka — z tak chlubną żądzą, jaką w téj chwili wyraziłeś, dojdziesz rychło do zamierzonego celu.

— Chciéj-mi pani niezawodną wskazać drogę! — prosił Władysław całując rękę pani Borzeckiéj — bo czyliż może być rozkosz więcéj zadowalająca serce, jak być kochanym od tych, którzy wiek swój w ciężkiéj pracy spędzają, w pracy na nasz pożytek! — A oni są tak dobrzy, tak cnotliwi! tak mało wymagający! tak wdzięczni za świadczone im dobro!.... Pozwól pani łaskawie, ażebym często w Osinach mógł bywać, będzie to dla mnie najlepszą szkołą nauczenia się miłości

dla bliźnich, miłości dla poczciwego ludu naszego!

Pani Borzecka z rozczuleniem odrzekła: że zawsze z równie wielką przyjemnością powita w domu swoim tego, który rozpoczynając zawód obywatelski, tak godnie w ślady ś. p. szanownego ojca swego wstępować zamierza.

We dwa tygodnie po pierwszéj bytności Władysława w Osinie — bo odtąd częstym tamże był gościem — odebrała pani Borzecka list od swojego obrońcy, w którym jéj donosił: że pan Władysław Łucki, dziedzic Dębicy, nietylko że cofnął skargę swojego mecenasa, ale nadto, wyrzekł się téj sprawy nazawsze!

— Moj Boże! mój Boże! — zawołała Julja ocierając zwilżone powieki — jakiż on dobry!

— Jak szlachetny! jak względny w pięknych swoich postępkach — dodała pani Borzecka — bo czyliż kiedykolwiek o téj nieszczęsnéj wspomniał sprawie? — Boże wynagrodź mu!....

— Dobry, zapewne że dobry — wtrąciła uważna na wszystko Ocia. — Ależ on się prawdziwéj dobroci dopiero od mamy i od ciebie, Julciu, nauczył, wszakżeż mi to sam mówił — dodała z pewną dumą luba dziecina — wówczas kiedy mu stara Tomkowa dziękowała, że jéj dzieciom ciepłe posprawiał sukienki.

— Bóg widzi czyny jego! wyrzekła pani Bo-

rzecka — a czyje serce tak wzniosłe przepełnia ją uczucia, ten w wypełnianiu szlachetnych chęci, już wszelką pociechę znajduje.

Paulina z L. W.

OPATRZNOŚĆ BOSKA.

(zdarzenie prawdziwe).

„Dzisiaj już musi być bardzo ciepło, bo czuję jakąś rzeźwość i widoczną ulgę w mojém cierpieniu.“

Tak mówił ojciec schorzały do swoich dzieci, otaczających razem z matką jego łoże, którego od lat dwóch, ciężkim paraliżem ruszony, nie opuszczał. Gospodarny to był swego czasu szlachcic: miał piękne porządki w domu, zapasy były w gumnie i w stajence hodowało się kilka koników; słowem nie zbywało mu na niczém. Ale kiedy przez nieszczęśliwy wypadek, uległ

okropnej słabości, a ta go pozbawiła możności pracowania, wszystko się zmieniło; bo choć poczciwa żona jego starała się, ile jéj sił starczyło, o utrzymanie podupadającego gospodarstwa, nie mogła przecież sama wszystkiemu podołać. Prawdziwe to widać przysłowie: pańskie oko konia tuczy. Czule kochająca męża swojego, najwięcéj czasu trawiła na czuwaniu przy nim, nie chciała go przy tém utrudzać ciągłém zasięganiem rady, a sąsiedzi, najczęściéj swój pożytek mając na celu, niezawsze dobrze jéj doradzali. I tak, wyczerpały się powoli zapasy i doszło do tego, że ledwie mieli za co opędzić gwałtowne potrzeby życia. Nie upadali wszakże sercem; w duchu zgadzali się zawsze z wolą Opatrzności i mieli otuchę niezachwianą, że ta ich nie opuści w niedoli.

Izdebka w któréj się mieścili, przedstawiała rażącą sprzeczność z resztą domostwa, gdzie oddawna smutne zaległy pustki: tam tylko nagromadzone sprzęty zdawały się świadczyć o dostatku. Było to skutkiem przezorności troskliwéj gospodyni: wyzuła się ze wszystkiego prawie mienia; ale z przed oczu chorego nie odważyła się nic usunąć, ażeby nie dać mu nawet przeczuć nadchodzącéj nędzy. W téj więc izdebce była stara kanapka i kilka krzeseł wypłowiałém obitych płócienkiem, nad kanapą lustro

w złoconych niegdyś a dziś zczerniałych już, ramach, w orszaku kilku niezgrabnych kopersztychów, pośród których odznaczał się rysunek, wyobrażający ofiarnik z płomieniem, z dwoma przeszytemi strzałą sęrcami i umieszczonym podspodem jakimś dwuwierszem: wszystko znać roboty jakiego guwernera wiejskiego. W kątku stała komódka,chociaż próżna, z szafką na wierszchu, opatrzoną w szyby szklanne i firanki z zielonego merynosu. Nad łóżkiem wisiał obraz Matki Boskiéj Ostrobramskiéj, uwieńczony kłosami zboża i święconemi ziołami. Pośrodku stał niewielki stolik, nakryty podług zwyczaju litewskiego białym obrusem, a na nim leżały zawsze chléb i sól, oznaka gościnności nieobłudnéj.

— „Wiesz co, matko, odezwał się znowu chory,“ tak się już mnie sprzykrzyło nie widzieć świata bożego, że mam jakąś chętkę przejechać się na swoim gniadoszu. Ty mnie może żałujesz, że ja tak baję od rzeczy, ale wierz mi, czuję w sobie dość siły, ażeby wnijść na konia, więcéj mi też nie trzeba — wszak leżenie nic nie pomaga, a tak odetchnę przynajmniéj świeżém powietrzem.“

— „Dziękować Panu Bogu i świętym Pańskim, że ciebie ratują w nieszczęściu, ale czyżbym ja mogła pozwolić na to, ażeby ciebie puścić tak jeszcze słabego na pole.“

— „Nic, nic, moja matko, ja muszę pojechać, Józiu, osiodłaj mego konia i powracaj prędko, a tymczasem dajcie mi kapotę, któréj od lat dwóch już nie przywdziewałem. Mój Boże cóż się ze mną stało?“ i łza sie stoczyła po wyschłém, ale poważném obliczu jego.

Żona nie miała mocy opierać się dłużéj woli męża; przyzwyczajona bowiem była dogadzać mu we wszystkiém. I stało się, jak żądał: przy pomocy synów, ubrał się, wsiadł na konia, a błagając prawie, żeby go nikt nie przeprowadzał, odjeżdżał powoli od swego domostwa. Pozostałéj rodzinie zdawało się, że go nazawsze utraca i wszyscy rzewnemi zalali się łzami. Przywiązana żona, kazała dzieciom pozostać, a sama w oddaleniu zwolna kroczyła za biednym mężem swoim.

Stary gniadosz, uradowany widokiem dawnego pana swojego, zdawał się poznawać, jak drogi mu powierzono ciężar, spokojnie i oględnie na przód postępując.

Widnokrąg zupełnie był czysty; świeża zieloność barwiła odmłodnione przyrodzenie i rzeźwiący wietrzyk szeleścił w drobnych jeszcze listkach rozpuszczających się brzós i klonów a po słońca promieniach zlewała się jasność na umajone tchem wiośnianym przyrodzenie. Chory z czystą radością w sercu powitał dawno wi-

dziane okolice, a hymn leśnych śpiewaków towarzyszył gorącemu wylaniu się uczuć jego. Zapomniał on o swojém położeniu; duszą tylko wzniósł się do Boga, składając korne dzięki, że mu pozwolił dożyć téj chwili, w któréj może po raz ostatni, jest w stanie tak mocno czuć wielkość swego Stwórcy i swoją własną potęgę.

Kiedy tak pogrążony był w modlitwie, a szczęście jaśniało w jego oku, wzmógł się nieco wiatr i napędził lekką chmurkę, która się zatrzymała nad schyloną w pokorze głową niedołężnego jeźdzca i w téjże chwili, nagle, uderzył w nią grom i razem z koniem obalił na ziemię modlącego się gospodarza.

Któż opisać zdoła boleść nieszczęsnéj żony: niewidząc w nim znaków życia, pobiegła ku wsi, złorzecząc sobie, że mimowolnie stała się przyczyną śmierci męża, zezwalając na zgubną przejażdzkę. Wszyscy sąsiedzi pracowali o téj porze w miejscu dosyć odległém, z podwojoną rozpaczą pędziła, wydając krzyki żałosne i już nieprzytomna prawie i upadająca na siłach, zaledwie zdążyła sprowadzić ich na miejscu nieszczęśliwego wypadku. Lecz o Boże! jakież jéj było zdziwienie, kiedy ujrzała drogiego męża swojego, spieszącego o własnych siłach w jéj objęcia. Nie chciała wierzyć szczęściu niespo-

dziewanemu: okropném widziadłem zdało się jéj to zjawienie.

„Widzę, pojmuję wasze przerażenie, droga żono moja i przyjaciele“ mówił głosem uroczystym i jakby w natchnieniu uzdrowiony nasz paralityk „wytłumaczyć wam tę zmianę cudowną, przechodzi możność moją— tyle tylko mogę wam powiedziéć, że kiedy mnie uderzył piorun, postradałem zupełnie przytomność; nie wiem, ile przeszło czasu w takiém otrętwieniu, po którém, jakby obudzony ze snu głębokiego, wstaję zupełnie zdrowy. Upadnijmy, bracia, na kolana; uwielbiajmy święte imię Pana Zastępów, którego drogi są niezbadane.“ I całe grono, przejęte skruchą, ukłękło przed Najwyższym Sędzią i w szczerych wyrazach złożyło hołd Jego dobroci niewysłowionej.

I my, upatrując w tém zrządzeniu wolę Najwyższego, postarajmy się wytłumaczyć, jakim sposobem mógł się wydarzyć podobny wypadek: oto był on skutkiem działania elektryczności, która tak potężnie objawiająca się w piorunie, wstrząsnęła cały organizm chorego i w jednéj chwili przywróciła go do stanu naturalnego; trzeba tylko koniecznie przypuścić, że piorun nie dotknął chorego, ale uderzając bardzo blisko na chwilę go ogłuszył. Wielu z was, kochani moi czytelnicy, zapewne wiadomo że w różnych sła-

bościach używają, jako środka bardzo dzielnego wpływu elektryczności, wydobywanéj w umyślnie na ten cel urządzonych machinach. Ale czémże jest ta cząsteczka elektryczności, w porównaniu z ogromną jéj massą, nagromadzoną w atmosferze?

W kilka lat po tym wypadku nasz chory powrócił do dawnych dostatków i powiększył je nawet przy pomocy dorastających już dzieci swoich. Pośród błogosławionéj rodziny dożył on późnéj starości i prawnukom jeszcze swoim zostawił w spuściźnie, jako zakład prawdziwego szczęścia, tę jedyną przestrogę; pracujcie i nie traćcie w nieszczęściu nadziei, a Bóg was nie opuści i zleje na was błogosławieństwo swoje!

Alo... Ku.

POWIASTKA.

Henryk w dwunastym roku utracił matkę; był on najstarszym z sześciu pozostałych dzieci. Ojciec ich pan W: mając obszerne włości, rozle-

głe gospodarstwo, obok tego sześcioro drobnych dzieci, potrzebował osoby z wielkiém poświęceniem, któraby troskliwością swoją zabezpieczyła od upadku pracą nabyty majątek i choć w części wynagrodziła bolesną stratę matki ukochanym dzieciom. Znalazł ją w dalekiéj swéj krewnéj, a poznawszy jéj łagodny charakter i przymioty duszy, nie wachał się wejść w powtórne związki.

Henryk po śmierci matki, najstarszy z dzieci, bardziéj niż inne uczuł swoje sieroctwo,— stał się smutnym, zamyślonym, łzy prawie nie osychały mu z oczu, a ile razy pojechał z ojcem do parafjalnego kościoła, modlił się w pokorze, bo słyszał od ojca, że największym dowodem miłości Boskiéj jest poddanie się Jego woli— jednak mimo świętych zasad religji, ugruntowanych w młodocianém jego sercu, widok grobowca matki, wzbudzał w nim żal niezwyciężony, wtedy, już nic nie wstrzymało głośnych narzekań, a łzy tylko łagodziły jego boleść.

Dobry i czuły ojciec obawiając się o zdrowie Henryka, nie widział innego sposobu, jak zawieść go o kilka mil do dziadka, ojca zmarłéj swéj żony. Tam Henryk wkrótce stał się weselszym, bo go okrywano pieszczotami, bo się starano zwrócić myśli jego na inne bawiące go przedmioty; nie przestał jednak tęsknić do kochanego Żarnowca, miejsca swego urodzenia, bo tam każde

drzewko, każda roślinka, każda ławeczka, prawie każdy kamień, umilał mu wspomnienie upłynionych lat dziecinnych! Tam i ptaszki wdzięczniéj śpiewały, motylki świetniejszą miały barwę; a nawet róże i inne kwiatki w jego ogródku, woń przyjemniéjszą wydawały. Bydełko i owieczki rozumiały głos jego i brytany podworzowe wierniejsze mu się zdawały. Taka to jest potęga głosu natury. Człowiek przywiązuje się do istot martwych, nierozumnych i zdaje się pojmować wzajemne ich przywiązanie, bo to przeczucie umila byt jego na ziemi. Wszystkie twory przyrodzenia są jak ogniwa w jeden wielki łańcuch powiązane, mające jedną dążność uszczęśliwienia człowieka, i odpowiadają wielkiemu i świętemu celowi Stwórcy. Dwunastoletni Henryk udarowany od natury mocném czuciem, bystrém pojęciem i czynną imaginacją, uczuł wpływ tego dobrodziejstwa. Po całorocznym pobycie w Łaszkowie prosił dziadka aby go odwiózł do ojca, tam on widział szczęście swoje! bo czyliż łzy i żal nie mieszczą tajemnéj rozkoszy w sercu niewinném? Stało się więc zadosyć woli Henryka, a porzuciwszy koniki i biczyki, dziesiątego] sierpnia przed wschodem słońca wyruszył z Łaszkowa z ukochanym dziadzią i z radością w sercu wracał pod rodzinną strzechę.— W kilka godzin już się zbliżali do Żarnowca, już

widział krzyż parafjalnego kościołka i czerwoną dzwonnicę, nakoniec i białe kominy dworu. Henryk od godziny prawie stał milcząc w powozie z podniesioną głową, z natężonym wzrokiem i rozpoznawał każdy przedmiot swéj wioski. Jakichże doznawał wrażeń, jak miłe uczucia kołysały jego młodą duszę, kiedy już w miejsce marzeń, widział przed sobą bliskie spełnienie się drogich swych nadziei.

Ale któżby myślał, że i niewinne dziecię w tak świętych i czystych uczuciach zawiedzioném być może, i że niespodziewana nowina przerwie swobodnie usnutą nić szczęścia? Tak jest, z tego słodkiego zachwycenia przebudziła go mowa dziadka, który chcąc przygotować Henryka do powitania nieznanego mu gościa w domu ojca, odezwał się do niego:

Dz: O czém tak myślisz Henrysiu, usiądź przy mnie mam ci cóś ważnego powiedzieć.

Hen: Zaraz mój dziadziu, bo zdaje mi się że spostrzegłem mego ulubionego kasztana — to on — to on — jak biega po podwórzu — przeczuwa że jadę!

Dz: Dajże pokój tym uniesieniom, niedługo zajedziemy, to wszystko będziesz zbliska widział a teraz słuchaj co ci powiem.

Hen: Cóż takiego mój dziadziu bo ja od tego

nowego mostku, już na piechotę pobiegnę uściskać tatę i siostry.

Dz: Otóż to właśnie mam ci powiedzieć że prócz ojca i siostr przywitasz jeszcze kogoś innego.

Hen: O! już się domyślam, to pewno ciocię Barbarę, która była za granicą?

Dz: Nie, mój Henrysiu, powitasz inną osobę, również dobrą, uprzejmą jak ciocia, którą odtąd drugą swoją matką zwać będziesz.

Na ten wyraz *matka*, nagły smutek ogarnął Henryka, zbladł i pomimowolnie usiadł przy dziadku, bo reszty słów, już nie dosłyszał.

Dz: Cóż ci to Henrysiu? chciałem ci tylko oznajmić że zastaniesz w domu osobę dobrą, przyjemną, która ci utraconą mamę zastąpi. Te ostatnie słowa przywróciły Henrykowi całą przytomność umysłu.— Jakto, dziadziu zawołał— ja mam mieć drugą matkę? nie pojmuję i nie rozumiem tego!— Mama mi mówiła, kiedym się czasem naprzykrzał, lub cóś złego zrobił: Ej Henrysiu nie martw mamy, bo tém skracasz jéj życie, a wiesz że dziecko, tylko jednę matkę mieć może!

Dz: Widzę że mnie nie rozumiesz, a więc pomówię z tobą jaśniéj: pamiętasz jak żona naszego ogrodnika Jana umarła, a on miał kilkoro dziatek i niemałe gospodarstwo, którego sam dopilnować nie mógł, a dzieci zostawały bez

opieki gdy poszedł do pracy,— pojął więc drugą żonę, córkę wójtowską dobrą i rządną kobietę, która troskliwie dogląda gospodarstwa, a dzieci jak własne wychowuje. Otóż to i twój ojciec tak zrobić musiał.

O Boże! zawołał Henryk, ja nikogo tak kochać nie będę jak moją drogą mamę, bo mocno wierzę jéj słowom, że drugiéj takiéj mieć nie mogę! Pamiętam także co mi stara Antoniowa mówiła o téj drugiéj żonie Jana, co ją nazywają macochą— ale co mi mówiła!....... tu zamilkł i kilka łez spłynęło mu po twarzy.

Roztropny dziadek zwrócił na inny przedmiot rozmowę— wolał aby Henryś z własnego przekonania nabył innego wyobrażenia o przybranéj matce, i spokojnie dojechali do mostku.

Tu Henryś już nie z uśmiechem na twarzy, nie w uniesieniu radości, wyskoczył z powozu. Nie była to już ta gorąca chęć powitania drogich mu osób, ale, inny, tajemny zamiar, jaki jego młoda główka naprędce ułożyła, powodował jego krokami.— Za chwilę już był w ogrodzie, tam jednem spojrzeniem ogarnął i powitał całą okolicę.-- Ujrzał te same drzewa, te same kwatery, ale kwiaty nie miały tego powabu, bo nie ręką Henrysia sadzone; te same darniowe ławeczki, ale trawka nie tak bujna i nie tak zielona, bo jej sam nie polewał— i pawie, które

przelęknione zbliżeniem się jego przeraźliwy krzyk wydały, nie wabiły jego wzroku, bo głos ich ponury zdawał mu się być przepowiednią złego! Tak jest zawołał sam do siebie. Wszystko inaczéj zastałem niż było, wszystko smutny mi obraz przedstawia! Tak tu głucho, ponuro, nie czuję żadnéj rozkoszy, nie mam tu co robić! — Uściskam kochanego tatę, ucałuję drogie siostrzyczki, pobawię się z niemi, ukłonię się téj nowéj mamie, a za parę dni pożegnam ich i znowu z dziadzią odjadę. — Na tę myśl swobodniéj oddychał— i spojrzał czy już dziadek nie zajechał przed dwór, kiedy ten już dawno cieszył się z innemi wnuczkami i o wszystkiém zawiadomił ojca jego.

Pan W. zcicha wszedł do ogrodu i ukryty za gęstemi drzewami słyszał narzekania i zamiary jedynego syna.— Teraz Henryś śmieléj zwraca kroki ku domowi, ale niespodzianie dostaje się w objęcia ojca. Któż tu opisze nagłą radość dziecięcia i uczucia ojca? wyrazy nie odmalują téj chwili wzajemnego szczęścia i niekażdy też ma sposobność doświadczyć podobnych wrażeń. O! niezbadana potęgo miłości rodzicielskiéj! Henryś w objęciach ojca zapomina o wszystkich układach, a ściskając ręce jego zdąża do dworu: Już widzi i siostrzyczki przed gankiem, które niecierpliwie wyglądając brata, wszystkie pięć za zbliżeniem się jego chyżo przeciwko niemu wybiegły.—

Tkliwém było przywitanie rodzeństwa, pani W. o wszystkich troskliwa, miłą obdarzona wesołością ujęła sobie wkrótce Henrysia, lecz jeszcze ją za obcą sobie uważał, zastawiono podwieczorek a Henryś znalazł na stole najulubieńsze swoje przysmaczki; — wieczorem przybrana matka oprowadzała małego gościa po całém gospodarstwie, a Henryś podziwiając wszędzie roztropne i czułe jéj rządy mówił sobie. „Zupełnie tak jak za mamy było.“ — Doszli do stajni; — Pani W. pokazała Henrysiowi ujeżdżonego kucyka i prześliczne siodełko dla niego przeznaczone; młody jeździec podziękował serdecznie za dar tak miły, ale serce jeszcze nowéj matki uznać nie chciało. — Nagle krzyk przerażenia rozległ się u drzwi stajennych, psotny kozioł chowany przy koniach rozdrażniony na dziedzińcu, w złośliwych podskokach powracał na swoje legowisko, a spostrzegłszy u wnijścia Helenkę średnią pana W. córeczkę, wymierza w nią potężne rogi, lecz najbliższa przybranéj córki pani W. z szybkością błyskawicy zastawiła dziewczynkę rękami i odebrała cios dla niéj przeznaczony. Silne wstrząśnienie i przestrach pozbawiły ją na chwilę przytomności, ale ten dowód poświęcenia ileż ją droższą uczynił mężowi, jak wzruszył serce Henrysia! „Takby i mama była zrobiła“ rzekł zcicha, a całując z wdzięcznością skaleczoną rękę macochy,

dodał: „Bóg nam zabrał prawdziwą mamę, lecz nie zapomniał o nas, bo nam zesłał ciebie. Twarz tylko twoja odmienna od pierwszéj, ale serce toż samo.

M. B.

O ROBÓTKACH KOBIECYCH.

Już to podobno zdawna dowiedziona prawda że igiełka koniecznie w zatrudnieniach kobiety ważną grać musi rolę. Jakiekolwiek Bóg jéj pozwolił zająć w świecie stanowisko, jakikolwiek stan i obowiązki ją wiążą, zawsze igiełka jéj potrzebna, zawsze bezkarnie wyprzeć się jéj nie może.

Przy zajęciach umysłowych igiełka jest miłym wypoczynkiem; w dostatkach przyjemność niesie,

w miernym stanie polepszenie bytu sprowadza, a w ubóstwie ona jedynym skarbem,jedyną ucieczką. Próżnobym się siliła na wsparcie dowodami zdania mojego, kiedy każda z was, dziewczki lube, w sobie, w bliskich sobie codziennem to stwierdza doswiadczeniem. Ja wam tylko chce wykryć jak ta igiełka błędną często obiera drogę, ja was chcę przestrzedz jak tę igiełkę na wodzy trzymać należy.

Nie wiem, czy to jest dobrą czy złą stroną sztuki, ale podobno każda tę samą przebywa koléj, w każdéj prostotę pierwszych myśli, wytworność przesadna późniejszych chwilowo,albo też i nazawsze gładzi. Robótki kobiece tym samym uległy wpływom i czyto chęć wykwintnéj nowości, czy poezja artystek je przeistoczyła, zawsze i sztukmistrz i dzieło poniosło klęskę a wywyższenie cel piękny poniżyło.

Tak, dzieweczki miłe, prababki wasze przędły, tkały same, same liczną obszywały rodzinę, a jeżeli prawdziwie czynnéj jeszcze wolna pozostawała chwilka, to haft ją zajął, ale haft tylko dla ozdoby kościoła, albo dla wykończenia szlubnéj szaty najstarszéj córki, którą w długie przechowano pokolenia; bo haft to była strata oczu; to był zbytek tylko możniéjszym znany, samo jego nazwisko pokazuje, że ogółowi obcy nie mógł się spolszczyć prawdziwie.

Dziś jednak chociaż majątki się bardziéj rozdrobniły, prawdziwa zamożność rzadsza, haft tak się upowszechnił, zamiłowanie do niego tak wkorzeniło że obawiać się trzeba, aby to tak niewinne na pozór zajęcie, nie podkopało domowego szczęścia wielu rodzin.

Wejdziesz gdzie do salonu stolicy, tam ujrzysz na wstępie lekko na dłoni opartą dziewicę, przed nią rozrucony stos włóczek, peli, sznelek, kordonków, blaszek, bajarków; paciorki w różnych kształtach i kolorach, kanwy zwoje, teka deseni,— a ona marzy jakąby nową robotę na imieniny ojca, lub na dzień matki święta wymyślić.

Już wszystkie znane kanwowe fraszki i ozdoby napełniają komnaty, wszystkie niemi obwiesiła ściany, zapełniła kąciki; chce teraz jaki nowy wykonać pomysł, do niego wynaleźć potrzebę, mówię wynaleźć potrzebę, bo już i tak mnóstwo bezużytecznych jéj robót przepełnia mieszkanie.

O! to musi być bardzo pracowita panienka! przypatrzcie-no się tylko jak zgrabnie leży jéj sukienka, jak ładnie ułożone fałdki otaczają jéj kołnierzyk, jak gładko zaczesane włosy, w jak regularną mereszkę zakończony obręb jéj chusteczki! — Tak, tylko że tę sukienkę robioną u krawca matka drogo opłaciła, a córka właśnie kończyła wtenczas *szyfonierkę* na papierowéj kanwie, któréj wartość poznalibyście pewnie gdy-

by ten nieznośny pył miejski i nieubłagane muchy tak wielkiego nie były zdziałały przeistoczenia. Kołnierzyk garnierowany w magazynie, gdzieżby się ona takiemi drobnostkami zajmować mogła, ona przecież wykończyła już pokrycie na dwanaście krzeseł i na kanapę, które, (ale o tém w sekrecie) przed ukończeniem móle jeść zaczęły. A chusteczkę musiała obrąbić szwaczka, panienkę oczy bolały, po tym ogromnym lanszaſcie. Przypatrzcie się tylko temu dziełu zbliska, ile tu drobniutkich ściegow, bo zdaleka już nie dojrzycie nawet barwy włóczek i peli, słońce je zniszczyło, a to przecież był śliczny obraz!

Sprawunek jaki zwabi cię do skromnego sklepiku noremberskiego i tam ustawione krośna a nad niemi pochylona dziewczynka wyszywa pilnie jaskrawym cieniem dziwny jaki krajobraz. Niedługo w złocone oprawny ramy zabłyszczy on w ciasnéj izdebce, obok dawnych prac dziewczynki, których wieczny ślad w wywyższoném prawém ramieniu pozostał, bo sama natura karze zbyteczne nad krośnami ślęczenie. — Myślicie może: ta dziewczynka nie ma żadnych obowiązków, żadnego innego nie znalazłaby zajęcia; ależ oto jéj stiostrzyczka młodsza z wydartym chodzi łokciem a u jéj saméj sukienki kilka haftek odprutych szpilka zastępuje; lecz jakżeż do łatania, do naprawiania starych sukienek

zniżyć się może panienka, która od trzech lat samą *krzyżową robotą* zajęta....

Zresztą wejdziesz prypadkiem na poddasze i tam najstarsza córka włóczkowe matce haftuje pantofle, chociaż ta matka częstokroć przyboś chodzi dla oszczędzenia drogiego obuwia, a pantofle włóczkowe schowane starannie na dnie kufra, spoczną na długie lata bezużytecznie.

O, prawdziwie, zupełny szał włóczkowy opanował dzisiejsze młode robotnice; jedne nie wiedzą że błądzą, drugie nie mają odwagi oprzeć się przewadze mody. A gdybyście się tylko zastanowić chciały, lube czytelniczki moje, jakto dużo te wszystkie krzyżowe roboty kosztują, a jak krótka ich trwałość, jak mały z nich użytek! Ileby to ślicznych książeczek kupić można za te pieniądze, które corocznie rodzice wasi na te zbytkowe hafty wydają. A książeczka przecie nie wypłowieje na słońcu, pastwą się móli nie stanie, książeczka ukształci serce główkę ozdobi.

Ależ, powie może z was która, cóżby robiła młoda panienka jeśliby krośna porzucić miała? O! ja wam ręczę każda dosyć znajdzie zajęcia jeżeli zechce sama utrzymywać swoją bieliznę, kroić sukienki, obszywać kołnierzyki, czepeczki ranne, słowem zająć się temi drobnostkami ubrania, które koniecznie potrzebne, a tak drogo zwykle opłacane bywają. Zresztą jeżeli zamo-

żność jéj rodziny pozwala szukać wyręczenia w uzupełnieniu swojego stroju, czyż nie potrafi znaleźć zajęcia, któreby cierpieniu innych ulżyło. Jéj ręką uszyta koszulka dla biednéj sieroty, wywatowana czapeczka dla sędziwéj a ubogiéj niewiasty czyż nie milszém będzie jéj sercu zatrudnieniem? czyż nie trwalszą zjedna nagrodę?

Tak dzieweczki drogie, wróćcie do pierwiastkowéj prababek waszych prostoty, same wystarczcie sobie, pogódźcie się z prostém szyciem, a hafty tylko na wielkie cele, tylko na ważne okoliczności życia zostawcie i to hafty trwałe, grube niepsujące oczu, długą pamiątkę obiecujece. Usłuchajcie rady mojéj, ona rodzinom waszym polepszenie bytu przyniesie, pomyślność pomnoży, a wam tę chlubną zjedna zasługę że pierwsze wracając z błędnéj ścieżki na prostą drogę, innym błądzić dłużéj mającym, do zboczeń zniszczyłyście powody.

W. T.

JÓZIO.

Józio sprzykrzywszy w domu swawole,
Raz w porannéj wiosny porze
W gronie współ-towarzyszy wybiegł sobie w pole,
A ujrzawszy człowieka siejącego zboże:

„Żal mi cię bardzo— rzeknie do niego
„Patrząc na pracę twą marną;
„Śladu nie będzie trudu twojego,
„W ziemi zniszczeje to ziarno.

„Bo jakież nadal rościsz korzyści
„I kto zapewnić cię może,
„Że twa nadzieja wiernie się ziści
„Że ziemia wróci ci zboże?

—„Posłuchaj— rzeknie rolnik chłopczynie,
„Praca jest moim udziałem,
„Ziemia mi wróci co w nią zasiałem
„Bo ziarno w ziemi nie zginie.

„A potém czekaj tylko cierpliwie
„Gdy chwile wiosny upłyną,
„Powódź kłosistą ty na téj niwie
„Zobaczysz jeszcze chłopczyno.

„Żniwem się moja nagrodzi praca
„Bo słuchaj powiem ci szczerze;
„Kto siał na wiosnę w jesieni zbierze
„Jesień rolnika zbogaca.“

Pracujże pilnie i ty cna młodzi,
A co się wcześnie zasieje,
Wiosna rozkrzewi — lato dojrzeje
A jesień bujnie urodzi.

Jg. Dobrski.



WYCIĄGI
Z DZIENNIKA PODRÓŻY
DO WÓD MINERALNYCH
KAUKAZKICH.

(*z ryciną*).

. . . .
. . . .
. . . . . . : . Kamieniec, bez wątpienia, jest jedném z miejsc, pierwsze w dziejach naszych zajmujących stanowisko: -- Jego historja zajęłaby wiele ciekawych kart, w dzienniku mojéj podróży; ograniczę się przecież ile mi czas, i okoliczności tego dozwolą.

Na szczycie wyniosłéj bystrą rzekę Smotryczem oblanéj skały, wznosi się miasto, od kamienistéj podstawy, słusznie Kamieńcem nazwane, a obok, ruiny słownego w dziejach naszych zamku.

Jeszcze podobno w początku 13 wieku koczujące w téj stronie sławian plemiona, znalazłszy to od natury obronne miejsce, na niém

szukały schronienia, w czasie pamiętnego w dziejach najścia hord Dżengiskana.

Lecz jak całego Podola, tak równie i Kamieńca pewniejsza historja zaczyna się od zwycięztwa, odniesionego w roku 1331 nad tatarami przez Olgierda Wgo księcia Litewskiego pod Sinemiwodami.

Spokrewniony z nim jeden z książąt Kurjatowiczów stawszy się panem tego kraju, był pierwszym założycielem miasta a bardziéj zamku kamienieckiego. Jakoż ustawiczne turków i tatarow napady przekonały późniéj, ile ta warownia potrzebną była nietak już dla samego Podola, jak bardziéj dla zabezpieczenia granic Litwy i Polski.-- Następca Zygmunta III. Władysław IV nowemi wzmocnił zamek murami a granice owczesnego Podola 4ma twierdzami zabezpieczył.

Mimo to jednak hordy wołochów, turków i tatarów, a nakoniec kozactwo pod przewodnictwem Chmielnickiego ogniem i mieczem pustosząc żyzne niwy Podola, po kilkakroć i samemu zagrażały Kamieńcowi

Panowanie Michała Wiśniowieckiego stanowi najsmutniejszą epokę w dziejach tego kraju,— Wypowiedziana wtenczas przez turków wojna skończyła się opanowaniem przez nich Kamieńca— a tém samém i całego Podola.— Ileż to

wówczas tysięcy bezbronnego ludu uprowadzonych z rodzinnéj ziemi jęczało w więzach bissurmańskiéj niewoli!

Żyzna kraina Podola, w dziką zamieniła się pustynię, a Kamieniec co tyle lat stał nieugiętym na straży granic słowiańskich, uległszy raz tureckiéj potędze, zostawał w niéj aż do roku 1699 t. j. do traktatu Karłowickiego, mocą którego zamek ten znowu wrócił do Polski.— Dziś jednak jeszcze, już to w świątyniach Pańskich wówczas na maczety zamienionych, już to w niektórych częściach miastach, widać ślady rządów tureckich.

W teraźniéjszym rzeczy stanie Kamieniec wykreślonym został, z liczby miejsc do obrony kraju potrzebnych, w przeciwnym zaś razie, gdyby posunięta dziś tak wysoko sztuka fortyfikacji dopomogła choć w części, tak groźnie od natury utworzonemu miejscu, Kamieniec śmiało mógłby walczyć, o pierwszeństwo, z najmocniéjszemi warowniami Europy.

Następne historyczne podanie najlepiéj przekonać nas może o téj rzeczywistości. Osman cesarz turecki, oblegając przez długi bardzo czas bezskutecznie Kamieniec, spytał raz obok stojącego wezyra.

Kto i kiedy wzniósł to niedostępne miejsce?

—„Bóg.“ — odrzekł z pokorą wezyr.

—„Niechże go Bóg sam zdobywa“— rzekł rozgniewany Osman, i kazał uderzyć wojsku do odwrotu.

Oto niektóre z wspomnień jakie nastręczyły się mojéj pamięci, gdym w przejeździe swoim zwiedzał te groźne kiedyś, dziś już wiekiem pochylone mury zamku, który po tylu przecierpianych burzach syt sławy, spoczął po trudach na zwycięzkich swoich laurach, w gruzach niestety!

Po kilkogodzinnym zaledwie pobycie moim w Kamieńcu, w dalszą puściłem się drogę.

Okolice Podola szczególniej dla podróżującego w wiosennéj porze roku, zachwycające przedstawiają widoki. — Pasma gór Miodoborskich krzyżujac się w różnych kierunkach sprawiają tém przyjemniéjszy, im-mniéj jednostajny krajobraz, a bujnym powiewające urodzajem niwy, obfitość strumieni i lasów, upiększając ten krajobraz, stanowią zarazem przedmioty z których pracowita ręka podolanina, obfite dla siebie wyprowadza korzyści. — Posunięta zaś do wysokiego stopnia doskonałość rolnictwa, odpowiada godnie, szczodrej w uposażeniu téj ziemi, ręce przyrodzenia. Podole zaś nazywane kiedyś spichlerzem Polski dziś słusznie śpichrzem Europy nazwać-by można. Przejeżdzając przez Podole, trudno jest dostrzedz gdzie niwy odłogiem leżącéj, lub sioła bez porządku, niestarannie wybudowanego; a ochę-

dożny, choć prosty, i niezbyt kosztowny ubior mieszkańców, przekonywa dostatecznie o ich zamożności.

C. . . . . , ...

Takiemi zajęty uwagami nieznacznie przybyłem do Bracławia.— Jakto —?! łatwo kto zapytać może: tak wielka przestrzeń między Kamieńcem i Bracławiem, i czyż w téj całéj przestrzeni nieznajduje się nic— nic coby godném było wspomnienia?!!

Na Podolu, odpowiem każda niemal piędź ziemi ma swoje historyczne pamiątki ale te dzieje, ta historja, nie będzież-to, (z małym tylko wyjątkiem) powtórzeniem tego co się mówiło o Kamieńcu. Wszędzie rzeź, mordy, pożogi, wszędzie często posiane mogiły, i te bielące się na niwach i pługiem rolnika wydobyte z ziemi kości człowieka— oto pomniki— oto dzieje Podola.

A więc słów kilka o Bracławiu— Bracław potomek znamienitego kiedyś w historji naszéj, Bracławia w niczém dziś nie odpowiada swemu poprzednikowi.— Na nowém nawet wzniósł się miejscu, — zostawiając zupełnemu zniszczeniu szczątki murów, obronnego kiedyś zamku. Założony podobnie jak Kamienie przez księcia Kurjatowicza, jedne też z tamtym przechodziło koleje: — Spalone naprzód w połowie 15 wieku, przez mieszkańców Koffy, już do pierwszéj wra-

cało świetności, gdy powtórnie przez turków, a w końcu przez kozactwo Chmielnickiego do szczętu zburzone, już nigdy do pierwszgo nie powróciło stanu — Komu choć trochę znaną jest historja 1792 roku temu nastręczy się równie wielkie i tkliwe o Bracławiu wspomnienie— Ztąd po dwugodzinnéj drodze, stanąłem w Tulczynie.

Tulczyn miasto dość ludne, porządnie nad rzeczką Sielnicą zabudowane. Ma dosyć zabudowań— szczególniej, kościół, pałac, dom rządowy na spital wojskowy przeznaczony, wspaniale wjeżdzającego do Tulczyna uderza w oczy. Dwa dni poświęciłem czasu na zwiedzenie Tulczyna i jego okolic, szczególniej zaś Niemirowa i Kowalówki— Każde z tych miéjsc ma w sobie odzielne równie godne wspomnienia przedmioty. Omijając już historycne wypadki, wiele potrzebaby czasu aby choć w części skreślić przybliżony obraz, tyle zajmującéj teraźniejszości.

Znany i powszechnie, uwielbiany poemat Trębeckiego Zofjówka, jest nie tylko nie przesadzonym ale, nawet słabym odcieniem, przepychu, bogactwa, piękności i sztuki — wszystko to winno swe istnienie, świetnéj i w dziejach naszych tyle zasłużonéj familji hrab: Potockich.

Z żalem prawdziwym opuściłem Tulczyn, tém bardziej że oko moje zbałamucone tém co przed

chwilą widziało, napróżno w dalszéj drodze, szukało cóś równego dla siebie.

Przeciwnie coraz smutniéjsze okolice ani na chwilę mnie nie zatrzymały; ku wieczorowi stanąłem w Bałcie. Balta co do ludności i liczby zabudowań może się policzyć do pierwszych miast w gubernji

Przerznięta rzeczką na dwie części, z których każda nosi na sobie oddzielną charakterystyczną cechę. Pierwsza kiedyś posiadana przez turków; gustem wschodniéj architektury, wązkiemi, w różnych kierunkach przecinającemi się uliczkami— świadczy niemylnie o rzeczywistości téj prawdy.— Druga część miasta, w późniejszych wzniesiona czasach ma bardzo wiele domów murowanych, między niemi rządowe pierwszą na siebie zwracają uwagę.

Nad wszystko, przyozdabiają to miasto cerkiew i kościół katolicki.

Ostatni zwłaszcza z miejsca na którém zbudowany, zdaje się nad całém panować miastem— Mieszkańcy powiększéj części żydzi i mołdawianie.— Łatwo więc sobie wystawić, jakie wewnętrzny porządek miasta czyni na podróżującym wrażenie.

Zostawmy więc Baltę i spieszmy coprędzéj ku téj tyle tu zachwalonéj Odessie.

Na nieszczęście trakt z Balty do Odessy, przerznięty w wielu miejscach pasmem gór, coraz

bardziéj wzrastających ku Dniestrowi — nie pozwala ani na chwilę przyspieszyć drogi — tak, iż w wielu miejscach, pieszo potrzeba przebywać głębokie parowy. — Ta jednak nieprzyjemna na pozór dla podróżujących okoliczność, w tych jednak miejscach zdaje się być niejako,potrzebną— ona bowiem jedyna, urozmaica zkądinąd smutny i z lasów ogołocony krajobraz.

Z pierwszéj stacji pocztowéj, pożegnałem na dość długo dzisiejsze Podole. Nie wiem czy to skutkiem uprzedzenia, czy tak jest w rzeczy saméj, lecz zdawało mi się że ta część gubernji Chersońskiéj przez którą przejeżdżałem, w porównaiu z Podolem nader mi się dziką, smutną, nietak już zaludnioną i zagospodarowaną— jak tamto wydaje. — Prawda, że i przyrodzenie nie tak chojnie obdarzyło darami swemi tę okolicę.

Dopiero Sewerynowka, dziedzictwo hr: Pot: wyprowadziła mnie z tego dość niemiłego urojenia. — Wspaniały kościół, obszerne dworskie zabudowania— austerja— zgoła cała wieś tak porządnie i kosztownie wybudowana przekonywa każdego o zamożności dziedzica— a dobry byt mieszkańców o łaskawości jego rządów. — Po chwilowym spoczynku opuściłem Sewerynówkę i w parę godzin już się znalazłem w Odessie.

Jg. Dobrski.

ZIELONE-ŚWIĄTKI

OBRAZEK WIEJSKI.

Wieczór się zbliżał cichy, pogodny, słońce ostatnim promieniem, przez gęste krzewy otaczające domki, na długą, wiejską spoglądało ulicę, a echo niosło odgłos przeciągłych dzwonów z miasteczka, koniec nieszporów głoszących.

Niezwykły ruch panował w całéj wiosce; gospodarze powracający z pola skrzętnie na klepisku stodółki ustawiali pługi, zataczali wózki, bydło do obór spędzali, Gospodynie już drób uprzątnęły, wydoiły krówki, tatarakiem wysypały umiecione podwórko i teraz smaczną wieczerzę przyrządzały swoim. Parobcy i starsi synowie gospodarzy przynieśli z lasu młodych drzewin brzeziny, szereg ich od chaty do wrót wytykali, albo samo przystrajali wnijście, albo wokoło

ocieniali podwórko. Dziewczęta niemniej zajęte, wieńcami bławatków postroiły obrazy świętych, na świeżo wybielonych pozawieszane ścianach, okiennice na znak swojego w chacie pobytu białemi upstrzyły centkami. A teraz zasiadłszy przy malowanych półskrzynkach, wyjmowały powoli jutrzejsze ubiory, ze skrytek wzorzyste wysuwały wstęgi i jaskrawe sztuczne kwiaty, gdzieniegdzie srebnym upstrzone liściem, złotą gałązką ozdobne. Bo to jutro Zielone-swiątki, jutro wszystko musi być kwieciste, jaśniejące, a głowa każdéj dziewczyny w śliczny przybrana wieniec. Dziatki nawet wcześniéj dziś zwabione do chaty, to pomagały starszym ochotnie, to przypatrywały się kolejno wszystkiemu, to wreszcie swoje jutrzejsze układały zabawy, lub dobierały stroje z odrzuconych przez starsze dziewczęta drobnostek. Słowem ruch i zajęcie było ogólne, ogólna radość wszystkie zdawała się ożywiać spójrzenia.

I tylko w jednéj maleńkiéj chatce na uboczu nie było zielonych drzewek brzeziny, nie było tataraku przed progiem a w chacie jakoś cicho i spokojnie, chociaż to jutro Zielone-świątki. Łatwo zgadnąć dla czego?— tam— mieszkała wdowa i sierota. Poczciwa Bartoszowa od dwóch lat osamotniona, ze śmiercią męża, za gospodarstwo panom podziękować musiała, z małą dziewczynką swoją osiadła w téj oto nędznéj chacie

i jako wyrobnica czynna i skrzętna radziła sobie i dziecku.

Ależ oto od kilku tygodni jakoś bardzo zaniemogła, długa gorączka wyniszczyła jéj siły — a chociaż starannie panów i rady lekarza przy życiu ją utrzymały, tak wolno powracała do dawnego zdrowia, że teraz jeszcze żadnego nie mogła przedsięwziąść zatrudnienia. Dawne zasoby się wyczerpały, krówka poszła do ludzi, potrzeby życia były ciągłe i konieczne, a dziesięcioletnia Rózia, mimo najszczerszéj chęci, nic zapracować nie mogła. Już-to myślała ona nieraz: jakby-to mogła iść okopać sąsiady kartofle, albo rosadę z nią przesadzić, albo jéj pomódz w oprzątku domu, a za to kilka groszy przynieść matce; ale jakże tu było słabą, chwiejącą się na nogach odstąpić niewiastę?

Pozostała więc w domu, wybrała śliczne swoje wstęgi ze skrzyni, różową bawełnicową spódniczkę, zaniosła sąsiedzie i za to kilka garncy kartofli, trochę kaszy, funt soli i kawałek staréj słoniny przyniosła, tém przez kilka dni żywiły się obie, ale za to w *przeddzień* Zielonych-świątek cicho i spokojnie było w ich chacie.

— Róziu! powiedziała podnosząc się z łóżka matka, do skrobiącéj na jutro kartofle dziewczynki, jakoś mi lepiéj teraz, zdaje mi się żem

mocniéjsza, święty Antoni mi dopomógł, tak gorąco modliłam się do niego.

— „I ja dziś trzy pacierze za wasze zdrowie mówiłam, matulku kochana.

— Dobrze to nasz dobrodziéj mówił na kazaniu: „kto z Bogiem z tym Bóg.“ Otoż Róziu kiedy ja dziś mocniéjsza, to ty jutro pójdziesz z Sobkową do kościoła do miasteczka, jutro taka wielka uroczystość.

— Ależ matulku!....

— Nie bój się, dziecię moje, mnie się nic złego nie stanie, jam zdrowsza dzisiaj.

Rózia zarumieniła się mocno — ona myślała o swojéj ślicznéj bawełnicowéj spódniczce, o wstęgach swoich. Matka zgadła jéj myśli, westchnęła ciężko, łzę skrycie otarła i rzekła spokojnie.

— Wiem, dziecię moje, że nie śmiesz pokazać się w kościele w starém, nędzném ubraniu; ja to rozumiem, ale Róziu! pamiętaj że w oczach ludzi nędza uczciwych nie krzywdzi— a Bóg na suknię nie patrzy.

— Dobrze matulku, to już pójdę, pomodlę się przed obrazem świętego Antoniego, on nas pocieszy.“

Żywo Rózia skończyła zajęcie swoje, potém i ona otworzyła półskrzynek i przeglądać zaczęła kilka zużytych szmatek na samym dnie staran-

nie ułożonych, ależ nic im poradzić nie można było;— wybrała jednak białą kartonową spódniczkę która pomimo cer i łatek jeszcze niezgorzéj wyglądała, takiż fartuszek, małą chusteczkę na głowę. I zastanowiła się teraz, nowy smutek ją ogarnął, łza duża stoczyła się po smętnéj twarzyczce, oto— w całéj skrzynce, żadnéj wstążki, żadnego kwiatka nie było; a jakże tu w dzień Zielonych-świątek bez kolorowéj wstążki, bez wieńca, pokazać się w kościele.

Zadziwi to może kogo, ale Rózia wychowana pośród téj klassy, gdzie cześć wewnętrzną zewnętrznie wyrażać muszą, podzielała jéj wyobrażenia i dla tago tak mocno bolała ją myśl, że ona w dzień Zielonych-świątek żadnego kwiatka nie przypnie do jasnych swoich splotów, że je żadną nie zakończy wstążeczką.

Pamięć jednak na matkę wstrzymała jéj silniejsze rozczulenie, zamknęła skrzynkę, dokończyła dziennych zatrudnień, tylko dłużéj tego wieczora klęczała przy pacierzu, żarliwiéj błękitne oczki wznosiła ku niebu, zkąd jedynéj oczekiwała pociechy.

Nazajutrz ze świtem porwała się Rózia z ubogiego posłania, ona miała iść do kościoła, a tu przed wszystkiém trzeba było ogień rozpalić, przy-

nieść wody, matce śniadanie zgotować, i saméj się trochę ogarnąć.

Cicho wysunęła się z chatki, przed domem poranną odmówiła modlitwę i ze dzbanuszkiem do studni poskoczyła po wodę— Przechodząc koło chaty Sobkowéj zobaczyła w oknie wieniec, do dzisiejszego przeznaczony ubrania dla rówiennicy jéj młodéj Marynki;— wczorajsze myśli jéj wróciły i znowu smutna ze spuszczoną główką dumać nad swojém ubóstwem zaczęła. Wtém spostrzega że w jéj ogródku przy domu, cóś tak odmiennie jaśnieje.... czerwieni.... przybliża się skwapliwie i o, radości!... na dużym krzaku różanym trzy śliczne stoliste róże téj nocy się rozwiły. Krzak ten to przeszłoroczny dar ogrodnika który staraniem swojém w tak pięknym stanie Rózia utrzymywała,— że nawet we dworze jeszcze tak dużych nie było pąków, jeszcze tak cudnego kwiatu nie widać.

Już wszystkie smutki znikły z jéj myśli— o robionych zapomniała kwiatach, o wstęgach wzorzystych, bo czyż może kłopotać się o ustrojenie głowy dziewczynka, która ma tak piękne, dziś dopiero rozwite trzy róże.

Nasyciwszy się ich widokiem dowoli, dziewczynka wszystkie trzy ze świeżutką urwała gałązką i już chciała wchodzić do domu, nowinę

szczęścia swego nieść matce, kiedy na drodze nagle młodą spostrzegła dziedziczkę.

I zdziwiona i ciekawa poskoczyła ku wrotom aby przypatrzyć się dobréj panience, łagodne od niéj usłyszeć słówko— i dowiedzieć się może co tak rano dziś ją zbudziło.

W saméj rzeczy, nie była to zwykła godzina wstania młodéj Melanji— ale i ona pomyślała o dniu Zielonych-świątek i dla ukochanego ojca który tak bardzo kwiaty lubi, milą z nich umyśliła zrobić niespodziankę; uprosiła sobie dobrą Wrzosińską wybiegły raniuteńko w pole, nabiegały się po życie i oto teraz właśnie wracały z pękami modrych bławatków.

Przechodząc koło nizkiéj chatki Bartoszowéj Melanja spostrzegła Różię i w jéj ręku śliczne trzy kwiaty.

Ach Wrzosińsiu! zawołała radośnie, patrz jakie śliczne róże! jeszczem żadnéj w tym roku rozkwitłéj nie widziała— w naszym nawet ogrodzie ledwie za tydzień spodziewać się ich można. O, gdyby Rózia dała mi te kwiatki, coby-to za uciecha była dla kochanego ojca!

— Sprobójmy panienko, Rózia taka grzeczna, usłużna. Przybliżyły się do witającéj dziewczynki -- „Jak się masz Róziu? Co robi matka twoja? zapytała uprzejmie Melanja.

— Matulka zdrowsza Bogu dzięki — dziś mi nawet pozwoliła iść z Sobkową do kościoła.

— A zkądże masz te śliczne róże?

— Ach! to panienko droga, święty Antoni mi podarował.

— Jakto?

— Oto wczoraj tak się troskałam że nie mam wianeczka na głowę w dzień Zielonych-świątek — i modliłam się do świętego Antoniego;— a dzisiaj na krzaczku mojéj róży, te oto znalazłam kwiaty. Prawda panienko że śliczniuchne? i chociaż przy mojéj staréj spódniczce zawsze się cudnie wydadzą — a wszystkie dziewczęta przypatrywać, dziwować się im będą.

— O, zapewne powiedziała Melanja, i zasmuciła się trochę, żal jéj było, że róż tych kochanemu ojcu pokazać nie może.

Ale Wrzosińska zgadując myśli panienki dodała:

— Prawda że piękne są twe róże, ależ tylko kilka godzin ucieszysz się niemi, zwiedną i opadną — lepiéj sprzedaj je panience— a za te pieniądze.....

— Mam sprzedać moje śliczne róże?... przerwała dziewczynka, przysuwając skwapliwie rączkę do siebie.

— A za pieniądze kupisz sobie śliczne koraliki, albo wstęgę jasną— dodała Wrzosińska.

— Albo je choréj oddasz matce, powiedziała nieśmiało Melanja i przesunęła w ręku wyjętą z fartuszka dwuzłotówkę nowiuteczką.

Widok pieniędzy, wspomnienie choréj matki, dla któréj za te dwa złote na dni kilka posilniejsze może kupić pożywienie, a tém jéj zupełne zdrowie powrócić, zmieniło postanowienie Rózi; bojąc się prawie chwili rozwagi — cnotliwe dziecię prędko wręczyło kwiaty panience, a uchwyciwszy dwa złote, odbiegło do chaty, powtarzając zcicha „To dla matki.“

— Ach, to zawiele powiedziała! rozczulona Malanja czy widziałaś moja kochana Wrzosińsiu, całą jéj postać i te oczy przepełnione łzami? Nie, ja nie mogę przyjąć takiéj ofiary — pójdę za nią, oddam jéj róże.

— I zmniejszy tém panienka całą zasługę jéj poświęcenia.

— Prawdę mówisz, moja jedyna; ależ jakże tu zostawić bez nagrody tak szlachetny postępek! — O już wiem, śliczna mi myśl przychodzi — a jeżeli mama pozwoli.... o, moja droga Wrzosińsiu! jakże ja będę szczęśliwa!

To mówiąc zaczęła biedz prędko do pałacu, poczciwa Wrzosińska ledwie jéj wydołać mogła. Wbiegły zdyszane do pokoju matki, Melanja jednym tchem całe spotkanie z Rózią opowiedziała, a potém tak prosiła matki, tak całowała jéj ręce, że otrzymała pozwolenie wykonania myśli swojéj.

Patrz Wrzosińsiu jak mi się ślicznie udało wyjednać pozwolenie mamy, mówiła do wiernéj sługi — wybierając różne ubiory z komódki swojéj i do koszyka je wkładając; moje dawne z kostiumowego baliku przebranie zupełnie będzie dobre na Rózię, jakże się biedne dziewczę ucieszy! Ale ja jéj nie oddam w ręce, tylko pod krzakiem róży postawię, aby tém silniejsze było zdziwienie. Na dnie koszyka położę jeszcze dziesięć złotych z moich przychodów oszczędzonych, to dla jéj choréj matki; na wierzchu przypnę tę kartkę, i napisała dużemi głoskami na kawałku papieru:

„Nagroda cnotliwéj Rózi.“

Potém obiedwie pośpieszyły ku chatce Bartoszowéj — zbliżyły się niespostrzeżone do ogródka niziutkim ogrodzonego płotkiem; Melanja postawiła koszyk przy krzaku — a usłyszawszy odgłos kroków w sieni domu, lekko wyskoczyła z ogródka, i za słup wrota utrzymujący się skryła.

W saméj rzeczy była to Rózia, która usłyszawszy szmer na podwórku wyszła zobaczyć, czy nie Sobkowéj Marysia wołać ją przychodzi; — nie zobaczyła nikogo z sieni. — Ej! pomyślała, może figlarka za dom się skryła — i wybiegła z chaty ku stronie ogródka. — Spostrzega koszyk, zdziwiona zbliża się do niego — oczom swoim nie wierzy, jednakże czyta karteczkę, wyjmuje stroje. Cóż-to za skarby w jéj oczach!

Koszulka ślicznie u gorsu i na rękawach kolorowo haftowana, spódniczka biała, cieniuchna, przejrzysta, cztery razy naprzemian czerwoną i błękitną oszyta wstęgą, gorsecik szafirowy atłasowy z sutemi toczkami i prześlicznem sznurowaniem; tiulowy fartuszek także zręcznie wyszyty odpowiedniemi spódniczce wstążkami.— Do tego cztéry sznurki prawdziwych koralików, pęk wstążek barwistych, trzy róże robione śliczne, duże jak tamte prawdziwe, a nawet trzewiczki na korkach jedwabne, garnirowane wstążeczką!

Biedna Rózia nie pojmuje swojego szczęścia, myśli że senne łudzą ją marzenia, przeciera oczy, rąk się dotyka i widzi że ona nie śpi że to na jawie taka ją wielka radość spotkała,— Lecz ktoż-to tak cudne stroje mógł zrobić? kto je Rózi przysyła? Myśl jéj się plątać zaczyna; wierzyła że święty Antoni przyśpieszył kwiatów rozwicie, ale takie ubranie....

Wtém z za słupa wiatr jasną powionął sukienką. Rózia patrzyła w tamtą stronę i w jednéj chwili już była przy nogach dobréj panienki, już jéj czułemi słowy za dary dziękowała.

A Melanja ściskając jéj drobne rączyny mówiła: nie mnie Róziu dziękować trzeba, to Bóg przeze mnie cnotę nagradza.

W T.

POLOWANIE NA ORŁY.

Wieśniacy w Sardynji i Korsyce, odważni a ubodzy utworzyli sobie źródło przemysłu, wybierając gniazda orłów i sępów, które się licznie w ich górach lęgną, i przedając delikatny puszek pokrywający młode ptaszęta.— Pewnego razu trzéj bracia wieśniacy spostrzegli w głębi okropnéj przepaści kilka gniazd orlich, z wybrania których znaczną sobie rokowali korzyść, lecz kamienne ściany przepaści tak były prostopadłe, tak niedostępne, że niepodobna było spuścić się w nią inaczéj jak za pomocą sznura. Opatrzyli się zatém w mocną linę, okręcili ją do połowy o drzewo rosnące nad brzegiem przepaści, do drugiej zaś połowy mieli przywiązać jednego z pomiędzy siebie, i w ten sposób spuścić go w głębinę.— Niebezpieczne to było przedsiewzięcie, nietylko bowiem spuszczający się śmiałek mógł

spadając z wysokości kilkudziesięciu sążni spotkać się na dnie ze śmiercią, ale nadto groziło mu w drodze mnóstwo drapieżnych ptaków, mieszkańców przepaści, których ostre szpony i zakrzywione dzioby migały w głębi otchłani.

Trzéj bracia zdali się na los, którego do spuszczenia się naznaczy, i wnet wybrany uzbroiwszy się w pałasz ku odpieraniu dzikich napastników, kazał się przymocować do końca liny, zbliżył się ku brzegowi przepaści, i zsunął się po jéj ścianie;— był to dwudziestoletni młodzieniec wysokiéj postawy, silnéj budowy ciała, z czarnemi oczyma i włosami, słowem żywy obraz południowéj piękności.— Dwaj pozostali na powierzchni ziemi opuszczają zwolna linę, śmiały łowiec buja w powietrzu, już jest naprzeciw rozpadliny w któréj upragnione spoczywają gniazda, zatrzymuje się lina, a czworo orląt żółtawym puchem pokrytych stają się nagrodą odwagi.— Lecz nie tu koniec dzieła, trzeba jeszcze wracać do góry. — Woła na braci by ciągnęli sznur co go unosi, głos jego zabrzmiał donośnie, powtórzyły go echa, ale niestety! zbudziły i srogich nieprzyjaciół!— Dwa olbrzymie orły, zapewne rodzice zabranych piskląt wpadają wściekle na zuchwałego porywcę, sępy, krogulce, spieszą ku pomocy sąsiadom, wrzask ich przeraźliwy napełnia pieczarę. Coraz liczniejszą gromadą ota-

czają nieszczęsnego młodzieńca, któremu już i sił do obrony nie staje, wszelako w zręczności tylko swojéj widząc ocalenie, wywija rozpacznie pałaszem na wszystkie strony; tu twarz i oczy nim sobie zastawia, tu; odtrąca jastrzębia, który mu ostre szpony w nogę zatopił, tu nakoniec odbija ostry dziób orła, który głowie jego zagraża. Nagle lina zadrżała w dziwny sposób, młodzian spojrzał w górę i spostrzegł że w zapale walki, ostrzem pałasza przeciął ją do połowy.— Poznał całe niebezpieczeństwo swego położenia, i odstąpiła go odwaga.— Okropny dreszcz przebiegł jego członki, opuścił ręce i oręż, i już w zupełnéj prawie bezwładności czekał końca straszliwego wypadku;— ale lina wznosi się coraz wyżéj i wyżéj, i któż opisze radość jego, gdy w chwili w któréj się już za straconego uważał, uczuł pod ręką brzeg przepaści, i nogą stąpił na ziemię? Lecz razem któż opisze zdziwienie i przerażenie braci, gdy zamiast hożéj, kruczym włosem pokrytéj młodzieńczéj głowy, ujrzeli zbladłe lica, i czoło siwizną pokryte!— Chwila przerażenia ubieliła mu włosy na resztę życia, ale odważna ręka nie puściła zdobyczy, i czworo orląt wraz z swoim porywcą ujrzało światło słońca na ziemi odbite.— Wypadek ten zdarzył się w Sardynji w okolicach San Gioisanni de Domus Nowas.

P. K.

DWA OBRAZY.

Jeden z najpierwszych salonów stolicy świetną ożywiony zabawą, grono nadobnych dziewic jakby zatopione w różowym rozkoszy obłoczku, z nadpowietrzną lekkością salon przebiega, a każdą z nich w każdém poruszeniu, w każdéj chwili ściga macierzyńskie oko, pyszne i szczęśliwe wdziękami córki. Wesele maluje się w spojrzeniu wszystkich, zda się że na żadném czole chmurka smutku nie błądzi; zabawa idzie ochoczo, bo tu myślą tylko o zabawie. Swobodni, młodzi, zabawa w téj chwili jest punktem środkowym gdzie się łączą wszystkie ich uczucia, wszystkie ich myśli i dosyć im na tém, innych nie czują potrzeb.... szczęśliwi!

Jest tam młoda dziewica, co także tańczy ochoczo, co z uśmiechem na ustach dzieli zabawę z drugimi, a jednak ktoby badawczém spojrzał

na nią okiem, ktoby w zwierciadle jéj duszy, obraz jéj uczuć i myśli zbadał, poznałby że ona czegoś więcéj prócz zabawy szuka, czégoś jéj więcéj potrzeba; że jéj serce w obec ułudnéj rozkoszy przemawia: to wszystko jeszcze niedosyć. — O! zapewne, to niedosyć dla zaspokojenia duszy, dla napełnienia serca, dla zajęcia umysłu; zabawa tylko roztargnienie dać może, ale nic więcéj.

Biedne dziewczę, jeżeli pośród balowego tłumu, chcesz szukać uczuć, przyjaźni! Zapytaj o nie w milém zaciszu domowego pożycia, ale tu ich nie szukaj, bo to napróżno. Ty słuchasz mnie z zadziwieniem, nie pojmujesz jak może tyle osób zbierać się tłumnie dla zabawy, dla saméj tylko zabawy! Dziewico, ty nie rozumiesz tego, ty nie rozumiesz ludzi ani ich uczuć, ani ich sposobu myślenia i oni nie rozumieją ciebie. To nie ich wina, to nie twoja wina także, że ci natura inne dała wyobrażenia, inne uczucia, że w duszy twojéj tkwi obraz innego szczęścia, innego życia. Dziewico! ty pośród balowego grona, nie możesz być w zgodzie ani z ludźmi ani z sobą samą. Ale poczekaj, przyjdzie może dla ciebie inna, szczęśliwsza chwila, która cię ze wszystkiém pogodzi.

Odgłos dzwonu zwołuje na pierwszą mszę poranną pobożnych chrześcijan do przybytku Pana; kapłan u stopni ołtarza słucha wyznania dziewicy i wskazując niebo, znękanego serca goi rany i schorzały umysł uspakaja i przemawia z łagodnością wrodzoną bożemu słudze: „Córko, Bóg cię ukochał, Bóg cię tyloma obsypał darami, a za to wszystko żąda od ciebie miłości, a tę miłość tylko poddając się bez szemrania świętéj jego woli okazać możesz.

I oddaliła się dziewica od duchownego ojca, ze skruchą uderzyła się w piersi i na jéj żal wejrzał Zbawiciel. Wkoło uroczysta panowała cisza, kiedy Pan pod skromną postacią chleba zstąpił do serca dziewicy i zjednoczył się z jéj duszą — a w jéj sercu zabrzmiała pieśń dziękczynna i uczuła się w zgodzie z sobą i z ludźmi..... w Bogu.

Alfonsyna K.



FIJOŁEK I RÓŻA.

Dnia jednego do róży rzekł fijołek skromnie:
„Różyczko! przybliż się do mnie;
Tutaj w miłém ustroniu będziem razem żyli
Rosa cię nawet więcéj niż słońce posili.“

Lecz róża dumna tak odpowiedziała:
„Nazbyt jesteś nikczemny bym z tobą żyć miała.
A ty tak drobna istoto!
Jak śmiałaś pytać mnie o to?

Patrz jaki strój mój świetny i bogaty,
Jak różne od twéj barwy me szkarłatne szaty;
Jam chciwa światła, blasku, ty rośniesz tak skromnie,
Każdy też cię omija, wszyscy idą do mnie.

Fijołek na to nic nie odpowiedział
I wcisnąwszy się w trawkę cicho sobie siedział.
Lecz wtém nagle gwałtowna burza się zerwała
I wszystkie listki róży gniewnie oberwała.

Po burzy znowu tak świeżo tak, miło,
Jakby nanowo wszystko odżyło;
Ocalony fijołek swe wonie roznosił,
I każdy się nad miłym zapachem unosił.

Jakaż ztąd dla nas wypływa nauka?
Nie ten wygrał, kto szczęścia w blasku świata szuka
Lecz ten który spokojnie i cnotliwie żyje,
Podobny fijołkowi w ustroniu się kryje.

Wincentyna T.

ZBUDZENIE FELCIA.

Ozwij się, piosenko miła,
Niech dźwięk słodki zmysły łudzi,
A harmonja co uśpiła
Teraz Felcia nam obudzi.
Tak mówiła matka tkliwa
I uderza harfy strony,
Słodko dzwięczny wtór przyzywa
I z nim łączy głos pieszczony.

Śpiewka.

Zbudź się, zbudź Felciu jedyny!
Ciesz nas chwilką co ulata;
Zbyt krótkie szczęścia godziny
.Zbudź się, zbudź, używaj świata!

Dawno biały dzionek świeci,
Już i ptaszek się ocucił,
I drobne zgromadził dzieci
I radośnie im zanócił.

Już i kwiateczki rozwiłe
Lube wonie sieją wkoło,
I słoneczka oko miłe
Dawno w twoje patrzy czoło.

Zbudź się, zbudź się, drogie dziecię!
Felciu, rodziców pieszczotko!
Snu marzenia przerwij przecie
I uśmiechnij nam się słodko.

I oczęta wznieś nadobne,
W ojca, w matki oku czytaj;
I wyciągnij rączki drobne,
I uśmiechem nas powitaj.

Bo w twym niemowlęcym wzroku
W twych uściskach pieszczotliwych,
Cała moc szczęścia uroku
Skryta dla rodziców tkliwych.

Zbudź się, zbudź Felciu jedyny,
Ciesz nas chwilką co ulata;
Zbyt krótkie szczęścia godziny
Zbudź się, zbudź używaj świata.

W. T.

NOC.

Już noc swe czarne rozpostarła cienie,
Już blady księżyc w górę wzniósł swe czoło,
Złotego słońca przygasły promienie,
Grobowa cisza panuje wokoło.
Wszystko snem twardym zda się być uśpione,
Tylko gdzieś w dali słychać szmer strumienia,
Srebrną powłoką zioła ubarwione,
I słowik w lesie nuci tkliwe pienia.
Głucha spokojność okrywa doliny,
Gdzie-niegdzie tylko czujne psy szczekają,
I perłą rosy lskniące się krzewiny
Mile wzrok bawiąc umysł zachwycają.

Któż się tak tkliwym widokiem nie wzruszy?
Gdy wiosna nowe życie swe otwiera,
Któż nie uwielbia wielkość Boga w duszy,
I łez wdzięczności z swych oczów nie ściera?
O! jakże słodko koić swe zmartwienia
Kiedy się wdzięcznie uśmiecha natura,
I w dzwięku lutni szukać pocieszenia,
Gdy serce żałość ogarnie ponura.
I cóż wyrównać zdoła téj rozkoszy?
Co wiekszą radość niesie w udręczeniu?
Gdy troska z powiek sen człowieka płoszy,
Lubemu wówczas oddać się marzeniu!

Władysław Kościuszko.

DO
malutkiéj
MARYNI W......
W DZIEŃ IMIENIN.

Kiedy wiosenne płyną życia chwile
Wesołość czoło barwami ukwieci,

Gdy wabią tylko róże i motyle,
A gwiazda marzeń w myślach nie świeci,
Swobody niebo gdy w duszy panuje,
W sercu słodziuchny niewinności datek;
Cóż w tedy bawi? Cóż wtedy zajmuje?
Ach kwiatek tylko, ach kwiatek!

Lice pogodne jak światłość promyka;
Tajemne piersi nie wznosi westchnienie,
A łza dziecinna tak błyska, tak znika
Jak w perle rosy grające promienie,
Jak mgła co wietrzyk to wpędzi to zżenie
To na fijołek, lilję, lub bławatek:
Cóż to jest wtedy uczucie, marzenie?
Ach kwiatek tylko— ach! kwiatek!

Kiedy cię wieńczą życia pierwsze lata
Duszę anielskie bawią zalecanki,
Serce dalekie od urojeń świata,
Z kwiateczków tylko wijesz sobie wianki:
Gdy świetny życia twojego początek
Niesie ci lilji fijołków dostatek,
Cóż ci nieść mogę w ofierze pamiątek?
Ach kwiatek tylko, ach! kwiatek!

Władysław Kościuszko.

BAJKA
DWA PŁUGI.

Leżąc nieczynnie, pod szopą czas długi,
Płużycz, rdzą okryta, dziwiła się drugiej
Która z roli wraca, nietknięta rdzy skazą;
To szczególna! przemówi, jedno w nas żelazo,
Tan sam kowal nas ukuł, ty błyszczysz więc za co
Ja rdzewieję? czém doszłaś tego blasku?— Pracą.

Wład. Miniewski.



MICHAŁ ANIOŁ
BUONAROTTI

W naszym czasie, gdzie sztuki piękne tak ważne w wychowaniu zajmują miejsce, nie może nikomu być obojętném wspomnienie ludzi, którzy się w nich odznaczyli, tém bardziéj jeżeli zdolności ich tak były olbrzymie, tak rozmaite, i takie po sobie zostawiły ślady, jakie dziś jeszcze w dziełach Michała-Anioła podziwiamy.— Przekonana że czytelnicy Zorzy z zajęciem przyjmą wiadomość o tym sławnym mężu, zebrałam dla nich niektóre szczegóły dotyczące życia i prac jego, na których mogą poprzestać, dopóki nie będą w stanie sądzić sami o dziełach sztuki, i badać jéj źródła i dążność.

Michał-Anioł urodził się w Toskanji, w zamku *Caprese* dnia 7 marca 1474 roku, z rodziny dawniéj szlachetnéj, ale ubogiéj.— Ojciec jego Leonardo Buonarotti Simoni był w ówczas rządcą

zamków *Caprese* i *Chiusi* a ukończywszy rok urzędowania, przeniósł się do folwarczku swego Settignano o trzy mile od Florencji.— Okolica ta, pełna gór i skał zamieszkaną była przez mnóstwo rzeźbiarzy, albo raczéj kamieniarzy, którzy w rozmaity sposób obrabiając twarde głazy, ciągnęli z nich korzyści, i utrzymywali swoje i rodzin swoich życie.— Żona jednego z takich kamieniarzy wykarmiła Michała-Anioła, czego pamiętny mistrz, pisał w późnym już wieku do przyjaciela swego *Vasari:*— „Cokolwiek w méj duszy i myśli dobrego być może, tom winien żywemu powietrzu w Arezzo, a zamiłowanie dłuta i młotka z mlekiem mamki wyssałem."

Z woli rodziców chodząc do szkoły, nie dbał zupełnie o naukę, a czas na nią przeznaczony rysunkom tajemnie poświęcał.— Zapoznał się z Dominikiem Grannachi, który dostarczał wzorów młodemu artyście, a Michał-Anioł nadzwyczajną uwagą, ciągłą wprawą w wiernem naśladowaniu najdrobniéjszych szczegółów, wytrwałością a raczéj uporem w pracy do tego stopnia rozwinął swój talent, że Leonardo lubo ze wstrętem widział że potomek hrabiów Canosse kieruje się na malarza, musiał ustąpić widocznemu powołaniu syna, i kiedy Michał-Anioł doszedł czternastego roku, umieścił go w szkole braci Ghirlandajo sławnych na ówczas florenckich malarzy.

Tam zamiast płacić za naukę młody Buonarotti od mistrzów swoich pobierał wynagrodzenie, za doskonałe kopijowanie rycin i rysunków; cierpliwość i dokładość z jaką naśladował dzieła mające wkrótce zgasnąć przed jego tworami, godną jest podziwienia; raz naprzykład przerobił piórem sławny miedzioryt Marcina Tedesco wyobrażający pokusy Ś. Antoniego, tak starannie, że nie można było rozeznać pierwowzoru od naśladowania;— i często młody sztukmistrz przerobiwszy jaką starą rycinę, kopcił i smolił swe dzieło, a potém pokazywał je znawcom, którzy po długim namyśle brali najczęściéj za starożytne pomniki sztuki, kopje Michała-Anioła, ku wielkiej jego zabawie.

Ale w miarę jak ręka Buonarottego pewniejszą i śmielszą się stawała, zaczął się i duch mistrza objawiać; w samém naśladowaniu błyskała własna myśl młodzieńca; zimna kopja pod piórem jego nabierała życia i wyrazu, jakim mistrzowie nie mogli dotąd tworów swoich obdarzyć, a Ghirlandajo patrząc na prace Michała mówił z tajemną zawiścią: „Więcéj on umie odemnie."

Właśnie wtedy Wawrzyniec *Wspaniały* książe Florencji zakładał w pysznych swoich ogrodach szkołę rzeźbiarską, a chcąc zaraz z początku zjednać jéj wziętość i sławę, szukał za pomocą

malarzy, zdatnych wychowańców.— Ghirlandajo wskazał mu Michała-Anioła, w skrytéj nadziei że go na zawsze z drogi malarstwa usunie, a młodzieniec ujrzał się nagle w przybytku sztuki, otoczony najrzadszemi jéj pomnikami, wśród starożytnych posągów, które smak i bogactwa Medyceuszów zgromadziły w to miejsce. — Cztery lata przeżył w owéj szkole, nie było mu trudno przejść od pędzla do dłóta, i sam powiada że rzeźba i malarstwo równie są łatwemi dla dobrego rysownika.

Wszyscy prawie członkowie rodziny Medicis, otaczali się zwykle ludźmi wielkimi w nauce i talentach, dla też imie ich tak długo i świetnie słynęło, i książe Wawrzyniec poznawszy budzący się jenijusz Michała-Anioła, otworzył mu dom swój, przyjmował go do stołu, i obchodził się z nim jak z własnym synem, a Buonarotti tymczasem zdobił Florencję rzeźbami i płaskorzeźbami trwającemi do dzisiaj, i niezaniedbując pierwszych nauk doskonalił się ciągle w malarstwie.

Nie wszyscy jednakże oddawali sprawiedliwość artyście, jeden z współuczniów Michała w szkole Medyceuszów, *Torregiano* zazdroszczący mu sławy i względów książęcych, oddawna różnémi sposobami okazywał niechęć swoją młodemu mistrzowi, i raz wśród gonitwy i zabawy uderzył go niby żartem, ale tak silnie w twarz, że chrząstka

nosowa skruszyła się pod ciosem, ą lubo nędznika na zawsze wygnano nietylko ze szkoły, ale i z Florencji, szlachetne Buonarottego oblicze zachowało do końca życia świadectwo złośliwéj zawiści.

Kiedy po śmierci księcia Wawrzyńca Piotr Medicis nastąpił po swoim ojcu, i odrodziwszy się od szczepu swego, nietylko że nie czcił sztuk i nauk, ale je na pośmiewisko prawie wystawiał, i mężowi którego dzieła wieki przetrwać miały kazał tworzyć posągi ze śniegu topniejącego pod pierwszym słońca promieniem, Michał-Anioł opuścił Florencję, i zwiedził północne Włochy.— W czasie téj podróży przyłożył się do wykończenia ołtarza S. Dominika w Bolonji, i wyrobił posąg wyobrażający spiacego kupida.— Rzymianin który był nabył ten posąg, poznawszy nadzwyczajną jego piękność, zakopał go w winnicy swojéj, a potém niby przypadkiem znalazłszy, udał za starożytny i przedał go za znaczną summę kardynałowi Giorgio.— Buonarotti był właśnie w Rzymie, i wraz z innemi artystami obiadował u kardynała, gdy tenże po uczcie chcąc gościom miłe sprawić zdziwienie ukazał im uśpionego kupida. Wszyscy unosząc się nad doskonałością jego, poczęli się sprzeczać któregoby z starożytnych mistrzów mógł być dziełem, a nie mogąc się zgodzić w zdaniach wezwali wyroku Michała

Anioła.— To jest dzieło naszego wieku, rzekł młodzieniec.— Mylisz się! zawołano ze wszech stron.— Znam tego, kto ten posąg wykonał, dodał Michał.— Więc powiedz nam, powiedz, kto to jest; byśmy mu mogli złożyć hołd podziwienia? rzekli jednomyślnie zebrani.— To ja!— Na te słowa ostygł zapał;— najprzód wątpienie, potém wyraźne zaprzeczenie tak wysokich zdolności usłyszał zmięszany rzeźbiarz. — Przez chwilę w milczeniu pogrążony zawołał nakoniec.

Przekonam was!— ten posąg niema ręki, ja wam ją przyniosę.— I w rzeczy samej pobiegł do swego mieszkania, i wziąwszy rękę która przypadkiem jeszcze przed przedaniem posągu odtłuczoną została, zawstydził nią wątpiących, a razem dał chlubnie poznać talent swój w Rzymie gdzie czas jakiś pozostać zamierzał.

W Rzymie też wykonał gruppę Bachusa i Satyra, którą późniéj Rafael przyznał Fidiaszowi lub Praxitelesowi, i zmarłego Chrystusa spoczywającego na ręku Panny Marji.— Gruppa ta cudownéj prawie piękności, któréj wyrazu i wykonania znawcy dość wychwalić nie mogą, zdobi kaplicę N. Panny. Na tém jedném dziele Michał Anioł podpisał się, a to z przyczyny, że raz w kościele usłyszał jak kilku podróżnych z uwielbieniem poglądając na ten śliczny utwór, przypisywali go Krysztofowi Solari najzręczniejszemu

Medyolańskiemu rzeźbiarzowi. — Buonarottemu żal się zrobiło że pracę i sławę jego komu innemu przyznano, i téjże saméj nocy przyszedłszy do kaplicy z dłótem i pochodnią, wyrył nazwisko swoje na opasce N. Panny.

Wróciwszy do Florencji, i pragnąc nadać cenę ogromnemu odłamowi marmuru który przed pół wiekiem niezręczny jakiś rzeźbiarz ociosał w kształcie potwornego olbrzyma, Michał-Anioł wykował z niego kolosalnego Dawida który teraz stoi na placu *Signori*. Powiadają że Piotr Soderini ówczesny Gonfalonier (*) przypatrując się posągowi temu zbliska, rzekł do mistrza, że Dawid ma nos zbyt duży, i że to koniecznie poprawić trzeba; Michał-Anioł nierad wchodzić w sprzeczkę z nieznającym sztuki, wstąpił na nieodjęte jeszcze rusztowanie, i udając że poprawia mniemaną wadę, sypnął garść marmurowego pyłu pod nogi Gonfaloniera, a ten uradowany że radę jego przyjęto, zawołał: Teraz dopiero nadałeś mu wyraz życia!

W tymże czasie na żądanie jednego z współziomków swoich wymalował Buonarotti N. Pannę pokazującą dziecię Jezus świętemu Józefowi, i zażądał za ten obraz 70 tylko dukatów, ale gdy miłośnik malarstwa począł się targować

---

*) Rządca miasta.

Michał podwoił cenę, i Florentczyk rad nierad musiał 140 dukatów zapłacić.

Juljusz II wstąpiwszy na papiezką stolicę wezwał znów do Rzymu Buonarottego, i powierzył mu wykonanie dla siebie pysznego nagrobka;— plan Michała podobał się nadzwyczaj papieżowi, lecz różne okoliczności wstrzymały wystawienie jego.— Tymczasem Michał-Anioł zrobił posąg ojca świętego na dziesięć stóp wysoki;—praca około przygotowania formy, odlania z bronzu, i ustawienia go nad drzwiami kościoła S. Petronijusza w Bolonji zabrały mu dwa lata czasu, a kiedy ukończywszy wszystko powrócił do Rzymu, znalazł dwóch zaciętych nieprzyjaciół w budowniczych stolicy apostolskiéj Bramanti i Sangallo, którzy obawiali się przenikliwości i poczciwości jego.— Namawiany od nich Juljusz II powziął zamiar ozdobienia *frescami* *) Syxtusowej kaplicy, i wykonanie sklepienia polecił Buonarottemu.— Gdyby Michał-Anioł odmówił, obraziłby papieża— gdyby przystał— ręce jego strudzonéj młotem i dłutem, trudnoby było stanąć w szrankach

---

*) *Fresco, depingere a fresco* malowanie na świeżym murze, dla tego tak nazwano, że tu malarz rozpoczyna i kończy swą pracę na świeżo tynkowanéj ścianie i to dopóki tynk nie zaschnie; tym sposobem kolory łączą się ściśle i wrastają niejako w gips lub wapno;— malowania al fresko są trwałe, ale delikatne być nie mogą.

z młodym Rafaelem, którego charakter pełen wdzięku i słodyczy, pędzel lekki i czysty odbijał się w cudnych freskach, powstających mu pod ręką na ścianach Watykanu. — Michał-Anioł wahał się z początku, nakoniec przystał, i wyznaczenie ceny za swoją pracę zostawił Sangallo' wi najgłówniejszemu nieprzyjacielowi swemu, a tak zazdrość co go niegdyś odwróciła od malarstwa, podała mu na nowo pędzel do ręki.

Przybywszy do kaplicy, rozruca kosztowne a źle urządzone rusztowania, i podług własnego pomysłu rozkazuje wznieść nową budowę, prostą bezpieczną i tanią; potém wykończywszy kartony *) wzywa najzdatniejszych florenckich malarzy, by mu w pracy pomogli; ale zaledwie zobaczył sposób jakim malować należało, odsyła ich, zaciera ich robotę, zamyka się w kaplicy, i rozpoczyna na nowo.— Przezorny i umiejętny, sam tworzy i wynajduje tynki, pokosty, dobiera i trze farby, nie spuszczając się na fabrykantów ani najemników;— słowem w przeciągu dwudziestu miesięcy wykończa to ogromne dzieło, a w dzień Wszystkich Świętych uradowany papież sam odprawia nabożeństwo w świeżo ozdobionéj kaplicy, i mnogi lud z Rzymu i okolic w zachwyceniu podziwia nowy talent mistrza.

---

*) **Karton wzór do fresków.**

Po śmierci Juljusza II, na żądanie synowców jego Michał-Anioł dokończył od dawna zaczętego grobowca, potém papież Leon X. zdał mu zupełne przerobienie kościoła Ś. Wawrzyńca w Florencji. Trzeba było szukać potrzebnych ku tak wielkiemu przedsięwzięciu marmurów, w kopalniach Carrara i Saravezza, trzeba było wynajdywać środki odkopania, wymyślać machiny do wyciągnienia ogromnych głazów, równać drogi by je przewieść w właściwe miejsce, i dopiero w posągi i kolumny wykuwać; praca około tego gmachu dziesięć lat życia Buonarottego pochłonęła. Tymczasem po zgonie Leona, Klemens VII. z Medyceuszów rodziny wstąpił na tron papiezki.— Na jego żądanie Michał-Anioł mając ozdobić i przebudować bibliotekę i zakrystyę u Ś. Warzyńca, z malarza i rzeźbiarza staje się budowniczym. Odrzuca przyjęte zasady, tworzy i wymyśla nowe;— kolumny, ozdoby, podstawy, kapitele, drzwi, gzemsy, framugi, łuki i sklepienia, wszystko pod jego ręką powstaje nowe, inne, piękniejsze; pomysły silne i wytworne, wykończenie cierpliwe odznaczają to dzieło. Michał-Anioł do każdego kącika, do każdéj drobnostki przyłożył się myślą i ręką; tu wschody kręcone śmiało, tu w dziwne kształty łamana poręcz, tu wiązane sklepienia, tu ozdoby u okien, tu nakoniec podług jego rysunku ułożona po-

sadzka. Wielki ten mistrz nie gardził drobnémi pracami, ale umiejętnością swoją w wielkie je przetwarzał.

Ukończywszy wspomnioną budowę, Michał-Anioł pojechał do Rzymu i tam wyrobił prześliczny posąg Chrystusa obejmującego krzyż, który teraz ku podziwieniu znawców stoi w wielkiéj kaplicy Minerwy. Lecz w krótce gdy wojna całe Włochy wzburzyła, wierny florentczyk pospieszył do rodzinnego miasta, i tam z malarza, rzeźbiarza, budowniczego, zmienił się w inżyniera. — Wznosi szańce i mury, zasłania piękniejsze budowy, chroni mieszkańcow od strat i pocisków, i przez czas oblężenia niedozwala zbliżać się zbytnio nieprzyjacielowi. — Mimo jego usiłowań zdrada otworzyła Medyceuszom mury Florencji, ale rodzina ta, pragnąc korzystać z talentu Michała-Anioła, zapomniała że w wojnie był jéj przeciwnikiem, i powierzyła mu nowe prace. — Buonarotti zajął się więc znowu zakrystyą Ś. Wawrzyńca i pomnikami które zawierać miała; siedm posągów rozpoczął w owym czasie; — z tych jeden przedstawiający księcia Wawrzyńca de Medicis, pierwszego opiekuna Michała-Anioła, nosi nazwę *Zamyślenia* ze względu na zadumaną postawę; — drugi zwany *Czujnością* wyobraża Juljana Medyceusza, inne uosobiły *Dzień*, *Mrok*, *Zorzę* i *Noc*, któréj piękność nie jeden opiewał poeta.

W krótce po wzniesieniu tego posągu, ktoś napisał na podstawie:

Patrzcie! tę noc tak lekko i wdzięcznie uśpioną
Ujrzał Anioł, marmurem przykrytą w połowie,
Rozburzył ściany głazu, uwolnił więzioną. —
Wątpisz?... zbudź ją i spytaj, ona ci odpowie. —

Michał Anioł przeczytawszy te wiersze, odpisał:

Błogo mi że spać mogę, i jestem z kamienia,
Bo wtych czasach boleści, wstydu, poniżenia
Szczęśliwy kto nie czuje, nie widzi, nie słyszy;
Nie budź mię więc przechodniu— przez litość, mów ciszéj! —

Papież Paweł III nastąpił tym czasem po Klemensie VII; na jego wezwanie Michał-Anioł przybył do Rzymu, i najprzód wykończył grobowiec Juljusza II od tylu lat zaczęty, z ośmiu posągów zdobiących ten pomnik cztery są dziełem Buonarottego, między nimi Mojżesz.— Powiada *Vasari* że nim ten posąg wraz z innemi umieszczono w kościele S. Piotra w okowach, żydzi zbierali się massami przed nim, starcy, dzieci, kobiety, męczyźni z uwielbieniem poglądali na swego prawodawcę, dziwiąc się ze chrześcijanin tak go wystawił jakim być musiał zstępując z góry Synai, kiedy na obliczu jego jaśniał jeszcze odblask chwały boskiéj.

Największém, najpiękniejszém z malarskich Buonarottego utworów jest fresk na ścianie Syxtusowéj kaplicy wyobrażający sąd ostateczny. Ośm lat pracował nad nim, ale też niema mu równego w świecie co do wielkości pomysłu, i ścisłego wykonania szczegółów.— W obrazie tym widzisz całą okropność ostatnich dni świata.— Chrystus przeklina złoczyńców, otaczają Go grona proroków, apostołów, świętych; — siedmiu aniołów dmą w trąby, na ich odgłos straszliwy poruszają się kości w prochu, łączą się w szkielety, porastają ciałem; — zmartwychwstali unoszą się ku niebu, inni pod ciężarem win spadają w otchłanie.— Błoga radość na twarzach wybranych, rozpacz i przerażenie malują się w rysach potępionych; — mówią że Michał Anioł zazdrosnych nieprzyjaciół swoich umieścił w liczbie skazanych, czém oni obrażeni przyszli do papieża z prośbą by kazał Buonarottemu odmienić tę część obrazu, ale Paweł III znając ich złośliwość odpowiedział poważnie „Modły mogą skrócić karę doczesną, lecz dla tych co na wieczną karę skazani, niema ratunku.

Sąd ostateczny odkryto ku publicznemu widokowi w Boże narodzenie 1541 roku, i prawie natychmiast Michał-Anioł zaczął malować kaplicę Pawłową gdzie skreślił, nawrócenie Ś.

Pawła i ukrzyżowanie Chrystusa. — Były to ostatnie jego freski, miał już bowiem lat 75.

Oddawna już papież zamyślał wznieść bazylikę Ś. Piotra w Rzymie, oddawna chciwość i chytrość budowniczych otwarte miały pole, aż nakoniec kiedy Sangallo przez kilka lat pracując nad wyrobieniem wzoru do wspomnionego kościoła, do kilku tysięcy dukatów koszta jego policzył, Paweł III wezwał rady Buonarottego.— Michał Anioł skreślił plan, szczytniéjszy, piękniéjszy od poprzednich, na którego wykonanie żądał 300000 talarów mniej, i połowę tyle czasu niż Sangallo i jego towarzysze.— Papież zdał zatém Michałowi najwyższą władzę nad całém przedsięwzięciem, upoważnił go do zmienienia, przerobienia, odrzucenia nawet wszystkich poprzednich planów, zdając rzetelności jego rachunek kosztów, i wynagrodzenie jego pracy.— Michał Anioł odpowiedział że za trudy swoje nic nie przyjmie, dzieła tego podejmuje się jedynie dla miłości Boga.— I rzeczywiście, nietylko że sam nic na téj budowie nie zyskał, ale nielitościwie odkrywał chciwców, wypędzał z domu bożego zdzierców którzy sobie z tąd źródło majątków utworzyć chcieli; ta rzetelność i surowość zjednała mu niemało nieprzyjaciół, których niechęć zatruła mu ostatnie dni życia.

Nietylko że do saméj śmierci kierował praca-

mi około kościoła S. Piotra, którego kopuła i najpiękniejsze części są jego pomysłu, ale zrobił plan przestawienia Kapitolu, pałac Farnèse jego jest dziełem, niemniéj całe przecięcie ulicy Giulia w Rzymie. — Papież umiał ocenić wielkiego artystę, i wszelką mu cześć okazywał, a nawet w zgromadzeniu Kardynałów sadzał go obok siebie. — Kosma I książe Toskanji wielce go poważał, i chciał go zwabić znowu do Florencji, ale próżności świata nie miały już dla starca powabu, i tylko zamiłowanie sztuki wiązało go do ziemi. W późnym wieku, bo przeszło ośmdziesięcioletni starzec pracował bez przerwy, czuł on że zazdrośni jego przeciwnicy czychali na jego sławę, że radziby zniszczyć jego arcydzieło; dla tego więc naglił roboty około S. Piotra, kazał pracować ze wszech stron, i w jednym czasie, bo nie mogąc już sobie długiego obiecywać życia, chciał o tyle posunąć olbrzymią budowę, aby po jego śmierci nie można było zmienić ogólnego planu. Obok tego dawał pomysły do pysznego kościoła który florentczycy wznieść zamyślali, rysował bramę Pijusa, tworzył plany do łaźni Dioklecjana, i kościoła N. M. P. Anielskiéj, czasem też kuł jeszcze i wyżłabiał marmury „dla wprawy i zdrowia“ jak mawiał.

Cały oddany sztuce i jéj piękności, Buonarotti nie znał słodyczy rodzinych związków, jednakże

silne, serdeczne uczucie łączyło go ze światem, oprócz przyjaźni Vasarego, tkliwsze jeszcze stosunki miał ze służącym swoim Urbanem, od którego tysiączne odebrał dowody wierności i przywiązania, i którego sam jak brata kochał.— Urban zachorował w ostatnim roku życia Michała-Anioła, a szanowny mąż pielęgnował go jak własnego syna, i czuwał nierozbierając się przez kilkanaście nocy przy jego łożu.

„Wiesz“ pisze Buonarotti do Vasarego; wiesz jak Urban umarł; jest to dla mnie razem ciężki bolesny smutek, i łaska Boga,— łaska, bo ten który żyjąc utrzymywał mię przy życiu, umierając uczy mię umierać bez żalu, lecz z roskoszą i utęschnieniem; -- smutek— bo z Urbanem znikła lepsza mojego bytu połowa, a nędza i troski przy mnie zostały.“

W dziewięćdziesiątym roku życia, po lekkiéj dwudniowéj gorączce Michał-Anioł zgasł na ręku kilku przyjaciół;— przytomność zachował do ostatniéj chwili, „Duszę moją— rzekł: polecam Bogu, ciało oddaję ziemi, majątek najbliższym krewnym zostawiam.“ - Potém prosił by mu czytano o męce Jezusa Chrystusa, i w czasie czytania skonał.

P. K,

ALINA Z PRĄDNIKA

KOMEDYJKA

W DWUCH AKTACH.

OSOBY.

WOJCIEHOWA, ociemniała wdowa.
ALINA, jéj córka,
KRYSTYNA } wieśniaczki.
ROZIA }
JADWISIA, ich siostra.
JANEK, parobek.
PANI.
MARJA, jéj towarzyszka.
GUCIO, synek pani.

Rzecz dzieje się w dolinie Grodziska przed wiejską chatą.

AKT I.

SCENA I.

KRYSTYNA, RÓZIA.

(Siedzą przed chatą, Krystyna przędzie na kółku, Rózia kończy wyszywać czółeczko).

KRYSTYNA. *(spoglądając na robotę Rózi).* To pewno na jutrzejszy odpust, chciałabyś zrównać ładnéj Alinie z Białego Prądnika.

RÓZIA. *(nieco urażona).* Zrównać Alinie? o ty wiész dobrze że ja bym w niczém równą jéj być nie chciała.

KRYSTYNA. A jednak zazdrość ci tych pochwał które jéj cała oddaje wioska, nawet mi przykro było żeś obrażona za pierwszeństwo na ostatnim jarmarku, tak oziemble ją pożegnała.

ROZIA. To niepochodziło z zazdrości, ale przecie ja nigdy czuléj z nią nie byłam— nie lubię Aliny, taka dumna! Na wesele, na okrężne, ledwie ją czasem uprosić można; a do karczmy to ani myśleć!.... Mój Boże! żeby to było co wielkiego! córka ubogiego flisa— i to gdyby

nie łaska tego poczciwego pustelnika, co im chatę i kawał gruntu kupił— musiałaby jak niepyszna iśdź na wyrobek z owdowiałą matką swoją.

KRYSTYNA. *(żywo).* Moja Róziu! niesłusznie powstajesz na Alinę ona wcale dumną nie jest— chociażby mogła się wynosić nad innych jako najmądrzejsza z całéj wioski— pamiętasz jakto ona umiała się rozmówić z tą przejeżdżającą bogatą panią co to nikt rozumieć nie mógł— albo te papiery cesarskiego żołnierza, co sam wójt przeczytać nie potrafił, ona jakoś dziwno wymawiała, a potém co do słówka nam wytłumaczyła.

RÓZIA. I wielka sztuka— gdyby téż i ciebie na tylu uczono książkach! Nie darmo się przecie poczciwy pustelnik z nią napracował. Oj! żeby to u naszéj matki, nie pozwoliłaby na tak wielką naukę, zapędzałaby za młodu do sierpa, do kądzieli; my przecież szczęśliwe, na jednéj nabożnéj czytając książce, a Alina często zamyślona, smutna, chociaż taka uczona! doprawdy w głowie jéj się przewróciło, myśli że jest wielką panią i płacze kiedy przyjdzie pracować w polu.

KRYSTYNA. Moja Róziu! już dosyć tego, bardzo jesteś niesprawiedliwą. Prawda że Alina delikatna, słabowita, nieprzyzwyczajona do ciężkiéj pracy, że z trudnością jéj przychodzi cały

dzień pędzić zchylonéj nad zagonem, i to prawda, że rydel, sierp, motyka niezręcznie w jéj drobnych wyglądają rączkach, ale przecież to ona swoją pracą, utrzymuje życie ociemniałéj matki— a jaka przy tém uległa— łagodna — jak stara się o miłość wszystkich! jakiem to dla niéj dobrodziejstwem jeżeli komu przysługę wyświadczyć może.

RÓZIA. Już mnie nie przekonasz, doprawdy nie mogę jéj lubić choćbym chciała.

KRYSTYNA. To jest skutek zazdrości, która cię mimowolnie opanowała. — Widzisz Alinę— dorodną— uprzejmą, słyszysz zewsząd pochwały które dawniéj tobie oddawano, i dla tego szukasz w niéj wad, któreby przewyższyły jej dobroć i piękność.. Ale gdzież jest Jadwisia? zdaje mi się że jéj płacz słyszę?

SCENA II.

(Ciż i Alina wchodzi trzymając płaczącą Jadwisię).

ALINA. Jak się masz kochana Krysiu? Jak się masz Róziu, przyprowadzam wam maleńką siostrzyczkę— biedna dziecina przelękła się trochę.

(całując Jadwisię). Uspokój się, uspokój kochanie.

KRYSTYNA. Czegóż płaczesz Jadwisiu? co ci się stało.

JADWISIA. Ja poszłam zbierać wiórki około tartaka, i nabrałam pełen fartuszek, i biegłam sobie żeby mię matulka uściskali, ale kładka się załamała, i ja się zlękłam, i wiórki wysypałam i byłabym się utopiła.

KRYSTYNA. A zawsze mówię Jadwisi żeby nie chodziła na drugą stronę rzeki.

ALINA. Ale tam woda nie głęboka. Szłam właśnie do Komorczynéj odnieść jéj talki uprzędzione; zobaczyłam waszą siostrę nad Prądnikiem i wstrzymałam się, obawiając się o jaki wypadek, bo mała za wiele wzięła wiórków i za prędko biegła — jeszcze jakby naumyślnie weszła na starą przegniłą kładkę.

JADWISIA. I kładka zaczęła się łamać pode mną, ale mi Alina podała rękę.

KRYSTYNA. O, kochana Alina! ona zawsze jak anioł czuwa nad nieszczęśliwymi!

ALINA. Krysiu nie zawstydzaj mnie, czyż to jest warte wspomnienia że kto poda rękę dla wyjścia na brzeg płaczącéj dziecinie, czyż każda z nas nie zrobiłaby tego?

KRYSTYNA. To prawda że niewielka rzecz podać rękę — że każdaby to samo zrobiła, ale

nie każda może zatrzymałaby się dla jéj podania przewidując dopiero nieszczęście!....

JADWISIA. Ja bardzo kocham Alinkę (*ściska ją czule*).

KRYSTYNA (*cicho do Rózi*). A ty jéj jeszcze nie lubisz.

ALINA. Ale moje kochane już was muszę pożegnać, śpieszę się matkę zaprowadzić na nieszpór; do widzenia Krysiu. A ty Róziu czém tak zajęta? (*zbliża się do niéj*) ładne czółeczko!

RÓZIA. Tak, chciałam go jeszcze na dzisiejszy skończyć nieszpór, ale widzę że już nie zdążę.

ALINA. Jeszcze dużo do roboty— ale wiesz Róziu ja mam nowiuteńkie czółeczko— nie nosiłam go wcale, mogę ci go ustąpić.

RÓZIA. Ale ty je dla siebie zrobiłaś.

ALINA. To prawda— jednakże go nosić nie będę.

RÓZIA. A to dla czego?

ALINA. Kiedy je robiłam byłam szczęśliwszą— a teraz kiedy matka moja ociemniała-- schorzała długiém ciérpieniem, kiedy ja biedna patrzę na jéj boleść i nie mogę jéj w niczém zaradzić— powiedz sama czyżby stosowném dla mnie było ubraniem? Wierz mi Róziu z wielką ci go ustępuję przyjemnością.

RÓZIA. Ale czémże ja ci się wywdzięczę?

ALINA. Wzajemną w razie potrzeby pomocą.

RÒZIA. Nie Alino ty dla mnie nie powinnaś tyle robić, ja nie warta twojéj dobroci.

ALINA. Ach pozwól, pozwól! tędy będę szła na Grodzisko z matką moją. zaprowadzę ją do kościołka, a potém przybiegnę ci oddać czółko. Do widzenia, do widzenia!

SCENA III.

(Też same bez Aliny).

KRYSTYNA. No i cóż Róziu? czegożeś tak zamyślona.

RÒZIA. Tak— bo to.—

KRYSTYNA. Powiedz prawdę, żal ci tego coś na Alinę mówiła.

RÒZIA. Przekonała mnie swoją dobrocią żem się bardzo myliła. Ale otóż i dzwonią na nieszpór, śpieszmy się ubierać *(wychodzą)*,

SCENA IV.

(Pani i Marja wchodzą powoli. Gucio biegnie naprzód skacząc wesoło).

GUCIO. Mamo! jak tu ślicznie, jakie ładne kwiatki.

PANI. O! prawda cudowna okolica! i cóż Marjo: wszak nie żałujesz opuszczonego towarzystwa, oni odpoczywają, a my niezmęczone nowe robimy wycieczki.

MARJA. Wielka byłaby szkoda, wyjechać z tych stron nie zwiedziwszy Grodziska, a jeszcze powiadają że to gdzieś bardzo blisko.

PANI. Jednakże samym trudno będzie znaleść — a tutaj nie ma nikogo — ale otóż i chatka, sprobujmy.

MARJA *(zbliżając się)*. Jest tam kto?

SCENA V.

(Ciż Krystyna i Jadwisia.)

KRYSTYNA. Czy wielmożne panie czego potrzebują?

PANI. Oto, moja droga, chciałyśmy zapytać o drogę do Grodziska.

KRYSTYNA. Ach to ztąd bliziuteńko! Pójdą W: panie tą drogą *(pokazuje na prawo)* prościuteńko aż nad sam Prądnik, potém się przejdzie kładką i zaraz góra, a na górze kościół i już W: panie będą w Grodzisku.

PANI. Dziękujemy, dziękujemy, moja piękna dziewczynko.

KRYSTYNA. Za mało, ale nie wiem czy W: panie obejdą się bez przewodnika, wejście na górę jest przykre, i niebezpieczne, a pod samą górą płynie rzeka bardzo głęboka w tém miejscu. Panicza przynajmniéj potrzebaby przeprowadzić.

GUCIO. O! ja sam pójdę — ja lubię sam biegać.

KRYSTYNA. Ale nie - to być nie może — niech W: pani nie pozwala na to.

PANI. Czybyś nie mogła wezwać nam kogo znajomego z tém miejscem.

JADWISIA. Ja pokażę paniom drogę.

GUCIO. O, dobrze moja mamo! *(skacze)* będziemy zbierać kwiatki.

KRYSTYNA. Ty za mała Jadwisiu — idź lepiéj zawołaj Janka, tylko niech się pośpieszy.

JADWISIA. Zaraz biegnę *(wychodzi)*.

SCENA VI.

(*Ciż sami, niedługo Janek i Jadwisia*).

KRYSTYNA. On panie najlepiéj zaprowadzi — to raźny chłopak, zna każdy zakątek, każdy kamień, każdą skałę.

PANI. Czy na Grodzisku mieszka dotąd pustelnik?

KRYSTYNA. Od śmierci dawnego niema dotąd nikogo.

PANI. Któż tam mieszkał wprzódy?

KRYSTYNA. Bardzo uczciwy człowiek przystępny i litościwy — ale ktoby tam pamiętał o nazwisku — zawsze go pustelnikiem tylko wołali.

PANI. (*do Marji*). Prawda, słyszałam, wyszło mi tylko z pamięci. Ten sam co pogardził światem i w cichém ustroniu oddał się naukom samym.

JADWISIA. (*przyprowadzając Janka*). Oto te panie.

JANEK. (*kłaniając się do nóg magierką*). Czego Wielmożne potrzebują.

PANI. Mój przyjacielu, chciałyśmy abyś nas na Grodzisko zaprowadził.

JANEK. Bardzo dobrze, to ztąd niedaleko.

PANI. Będziemy się starały wynagrodzić ci za to.

JANEK. To niepotrzebne— ja właśnie sam idę na nieszpór.— Czy W: panie chcą iśdź górą, czy drogą od Pieskowéj skały.

PANI. A którędy bliżéj?

JANEK. Jużci bliżéj górą— ale tamta droga jak dla Wiel: wygodniejsza będzie.

MARJA. Ach idźmy górą, ja tak lubię wdziérać się na skały, dopiéro po trudach i zmęczeniu można prawdziwie ocenić piękności przyrodzenia.

PANI. Tak, prawda że tracą dla nas powab kiedy łatwo oglądać je możemy— ależ Gucio!

GUCIO. O, ja pobiegnę tak prędko, zobaczy mama.

PANI. Właśnie téż tego się boję— ale ruszajmy, i tak długo na nas czekać będzie towarzystwo.

SCENA VII.

(*Krystyna, niedługo Alina i Rózia*)

KRYSTYNA. Jakie miłe panie! jaki śliczny ten mały chłopczyk, kręci się, biega, skacze, jakby żywe srebro! Boję się o niego— czy tylko Janek będzie go umiał prowadzić.

RÓZIA *(wchodząc)*. Z kim to rozmawiasz? myślałam że Alina przyszła— coś długo jéj nie widać, może się wszystko skończy na obietnicy— ja tak zaraz pomyślałam sobie.

ALINA. *(wbiegając)*. Otóż jestem, takem się śpieszyła, bo to biédna moja matka taka słaba na nogi, ledwo ją doprowadziłam do kościoła.— *(zbliżając się do Rózi)*. Oto twoje czółeczko, ale się spieszcie bo już śpiewają psalmy.

RÓZIA. Ach Alino, ty zawsze mnie zawstydzasz. W téj nawet chwili mogłam myśléć...

ALINA. Ale teraz?

RÓZIA. O kocham cię z całego serca! *(kładzie czółko)*.

KRYSTYNA. Czy pójdziesz z nami Alino?

ALINA. Jeszcze wypocznę trochę, jestem bardzo zmęczona. *(Krystyna i Rózia odchodzą)*.

SCENA VIII.

(Alina sama)

Tak, niech wypocznę trochę, niech wypoczną skołatane myśli — jaka tu cisza do koła! zupełnie jak gdyby natura, podobna duszy znękanéj

długiém cierpieniem, chciała chwilką martwego spoczynku nabrać mocy do nowego życia!

Już dawno wzdychałam za chwilką samotnego rozmyślania, ach! jakże ja jestem godną litości!— a przecież ci wszyscy którzy mnie otaczają, widzą mnie najszczęśliwszą z ludzi; i tyś tak sądził mój dobroczyńco, mój opiekunie!

'Ale:

Ty mię zabiłeś, ty mię nauczyłeś czytać
W pięknych książkach w piękniejszém przyrodzeniu czytać
Ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś i rajem
A to jest tylko ziemia!

Tak, twojéj to pracy szlachetny Soboniewski, twojéj szczególnéj o mnie troskliwości winnam całą moją wyższość umysłową. Zbudziłeś umysł uśpiony, zwróciłeś go do zastanawiania się nad cudami przyrodzenia, nauczyłeś mię szukać w dziełach wielkich ludzi pokarmu spragnionéj duszy, żywiołu wątłym myślom. Słowem wyniosłeś mię z gminu moich pojęć do wyobrażeń godnych człowieka.— Ale na cóż przydadzą mi się te wszystkie korzyści? Zrodzona w najniższéj klassie społeczeństwa, otoczona istotami, które ani mnie rozumieć ani pojąć mogą—. o jakże jestem nieszczęśliwa! *(chodzi nócąc).*

Źle mi w złych ludzi tłumie,
Płaczę a oni szydzą,

Mówię, nikt nie rozumie
Widzę oni nie widzą.

(Zatrzymuje się i patrzy w bok).

Otóż jakieś śmiałe panie, tak zręcznie się wdzierają na spadzistą ścianę wąwozu, ale ten mały chłopczyna, o! i to nie da się prowadzić— ale zbyt śmiały! otóż puścił przewodnika, jakby nie widział rzeki pod jego płynącéj stopkami. Przybliżmy się, może zapobiedz złemu wypadnie *(wybiega, po chwili słychać krzyk kilku połączonych osób. Alina wpada na scenę trzymając Gucia na ręku.).*

SCENA IX.

(Alina, Gucio, Pani, Marja, Janek).

ALINA. Otóż jeszcze jedna ofiara wydarta śmierci, dziécię, kochane dziécię! jakteż można było tak śmiało biedz po skale!

PANI *(wchodząc).* O anielska dziewico! o drogi mój synu, wróconyś matce— zbyt nieszczęśliwéj matce, któraby drugiéj tak okropnéj straty przeżyć nie potrafiła.

JANEK. Ale też odważna dziewucha z naszéj

Aliny, nigdym się tego nie spodziewał. Bardzo mi markotno Wielmo: że to przy mnie taki się ot zdarzył przypadek, nie myślałem żeby paniątko miało tak słabe nóżki, nasze przecież dzieci codzień za owcami po téj górze biegają, a żadnemu Bogu dzięki jeszcze się noga nie pośliznęła.

ALINA. Ależ mój przyjacielu, dzieci tych okolic przyzwyczajone, i mocniejsze od téj delikatnéj istoty.

PANI. Dziewico, winnam ci więcéj jak życie— bo życie mojego jedynego dziecięcia; przyjm moją wdzięczność, powiédz czém ci mogę nagrodzić to wielkie poświęcenie.

ALINA. Zawstydzasz mnie pani— któż nagradza powinność ludzkości. Czy pani płacisz słońcu dobroczynny dar światła i ciepła kiedy ogrzewać i oświecać jest jego naturą, jego przeznaczeniem; a człowieka jakież jest przeznaczenie jeżeli nie być użytecznym dla bliźnich swoich, czyż nie upokarza go nagroda?

PANI. Tak narażać życie dla ocalenia zupełnie obcéj istoty!

ALINA. Dla mnie nie jest obcy kto tylko jest człowiekiem.

PANI *(do Marji)*. Tak wielkie myśli w ustach téj prostéj dziewczyny;— to musi być jakaś tajemnica. *(do Aliny)* Kto jesteś dziewico?

ALINA. Córka flisa.

PANI. Żyjąż twoi rodzice?

ALINA. Matka tylko, ojca już dawno straciłam, i dobrodzieja także.

PANI. Któż był ten dobrodziéj?

JANEK. Ach to pewno mówi o pustelniku co ją zawsze uczył, co ją kochał jak własne dziecko, co byłby pewno nie zostawił ją w nędzy z ociemniałą matką, gdyby go nagle śmierć nie była zaskoczyła.

PANI. Słuchaj Alino, i wierz mi że cię bardzo pokochałam, że poznaję twoje wyższe ukształcenie, że radabym cię widziała pomiędzy ludźmi godnymi ciebie.— Niechciałoś przyjąć żadnéj ofiary z mojéj strony, ale nie możesz odrzucić mojéj przyjaźni— nie odmówisz mi rozkoszy posiadania ciebie bliżéj — Tak, ty będziesz moją córką, ty wynagrodzisz mi stratę téj, którą niebo odebrać mi chciało.

ALINA. Jakto? cóż pani chcesz przez to rozumieć.

PANI. Że chcę cię wziąść do siebie, kochać sercem matki, i pomyśleć o twojéj przyszłości.

ALINA. A moja biedna matka?

PANI. Zajmiemy się polepszeniem jéj losu, pamiętać o niéj, odwiédzać ją będziemy.

ALINA. Co? ja miałabym opuścić kochaną matkę moją, a opuścić wtenczas kiedy jéj wiek

i słabość najwięcéj potrzebuje dozoru. O! pani! ja kocham cię bardzo, ale dla ciebie nawet matki mojéj opuścić nie mogę.

PANI. Więc zostań cnotliwa córko, zostań dopełniać świętych powinności dobrego dziecka, ale przyrzecz mi wprzódy, że w każdéj ważnéj okoliczności twojego życia, w każdém zmartwieniu, w każdéj smutnej przygodzie nie zapomnisz o mnie, przyjdziesz na łonie przyjaźni szukać pomocy, rady, i pociechy. Jeszcze jedna prośba — od dziś za miesiąc, ostatniego sierpnia właśnie będę w Grodzisku, nie wiem gdzie szukać ciebie, czy mogłabym cię na tém samém miejscu zobaczyć.

ALINA. Bardzo i dla mnie pożądana będzie ta chwila *(słychać dzwonienie)* ale otóż i nieszpór się kończy, matka mnie czekać będzie, pozwól pani że cię pożegnam. *(chce ucałować jéj rękę, pani się usuwa i ściska Alinę).*

PANI. Bądź zdrowa kochanko. *(Alina odchodzi).*

JANEK. Dobreć to dziewczę, dobre i robocze i potulne i ciche, i gdyby nie te zbyteczne nauki pustelnika szczęśliwąby była pomiędzy nami na zagrodzie, ale to zawsze jakieś markotne, zadumane, oj doprawdy tylko dla panów te wielkie uczenie, ale nie dla nas biédnych.

PANI Dobrze mówisz, nauka do stanu zmierzona być powinna *(obracając się do Marji)*

Ale cóś bardzo długo bawimy, niespokojnie czekać nas będą, a jeszcze dobra godzina zejdzie zanim połączymy się z naszém towarzystwem.

MARJA. Prawda że wracać trzeba, słońce już blizkie zachodu, może dla bezpieczeństwa weźmiemy tego chłopczyka z sobą.

JANEK. Bardzo chętnie pójdę— bezpiecznież tu prawda wszędzie, ale zawsze pod wieczór źleby samym paniom było *(odchodzą)*.

SCENA X.

(Alina wchodzi trzymając pod rękę ociemniałą matkę).

WOJCIECHOWA. Tak, wszystko mi powiedziała Krystyna, odrzuciłaś ofiarę téj bogatéj pani— nie zapieraj się Alino.

ALINA. Czyżbym ja mogła opuścić moją matkę, biedną matkę moją?

WOJCIECHOWA. Dla mnie więc chcesz poświęcić twoje szczęście, dla mnie wyrzec się świata do którego jesteś stworzona?

ALINA. Matko! czy dziwi cię uczucie dziecięcego przywiązania?

WOJCIECHOWA. Nie Alino, ty nie pozo-

staniesz tutaj, bież szukaj téj pani bogatéj — jedź z nią, zapomnij o mnie nawet— niech to będzie karą za moje przewinienia. Nie zwlekaj Alino, bież dopełnić ostatniego rozkazu.

ALINA. Cóż się to dzieje? Ach czemże zasłużyłam na gniew twój najdroższa najukochańsza matko?

WOJCIECHOWA. Ty na mój gniew aniele!

ALINA. A wszakże mnie chcesz oddalić od siebie.

WOJCIECHOWA. Powinność mi to nakazuje, byłabym niesprawiedliwą względem ciebie, gdybym ci zagradzała drogę do szczęścia. Tak Alino, zbyt długo cierpiałaś z mojéj przyczyny, dla mnie znosiłaś nędzę, niedostatek, upośledzenie, nie mogłam ja wprawdzie zaradzić złemu, ale teraz kiedy się zdarza sposobność, powinnam nakłonić cię do opuszczenia nizkiéj strzechy naszéj.

ALINA. Matko jabym nie była szczęśliwa, a przytém mogłyby mnie uwieść bogactwa, zapomniałabym o mojém urodzeniu, a jeszcze może... wstydziłabym się stanu mojéj matki.... i téj strzechy w któréj się urodziłam.

WOJCIECHOWA. Zapomnij o mnie drogie dziecię. Spiesz, znajdziesz jeszcze panią. Alino nie zasmucaj mnie dłużéj, mój zamiar jest nieodmienny.

ALINA. Więc odpychasz od twego łona własną córkę?

WOJCIECHOWA. Nie tyś nie moja córka— jam nie twoja matka Alino.

ALINA Jakto? gdzież są moi rodzice? gdzie moja matka?

WOJCIECHOWA. Ja sama niewiem..... ty jesteś dziecięciem znalezionem.

ALINA. O ja nieszczęśliwa! ja nie znam moich rodziców, nigdy znać ich nie będę! czemże jest swiat dla mnie teraz— pustynią— ani jednego serca do któregobym miała prawo! o nieszczęsna sieroto! Teraz nie chcę ci być natrętną, ale miéj litość nademną, na kolanach cię błagam o to... nie odpychaj mię od siebie! Ja nie chcę znać świata, w nimbym tylko mocniéj czuła moją nicość pozwól mi zostać— doglądać twego sędziwego wieku, i przyczynić się do osłodzenia dni twoich — bo ja, to już nigdy szczęśliwą nie będę *(płaczc)*.

WOJCIECHOWA *(przerażona na stronie)*. Nie sądziłam aby taki wpływ na nią wywarły te wyrazy— niebaczna, ja chciałam niemi nakłonić ją do używania szczęścia!.. *(do Aliny)* Uspokój się diécię moje.

ALINA. Twoje dziecię! jakże te wyrazy obce są teraz dla mnie, jak dziko brzmią w uszach sieroty, tułaczki.

WOJCIECHOWA. Nie Alino! to było tylko powiedziane dla zniewolenia ciebie do przyjęcia ofiary téj bogatéj pani. Pragnąc twojego szczęścia chciałam się nawet wyrzec praw do twego przywiązania. Alino tyś moją córką — moją kochaną Aliną!

ALINA. Jakto? odzyskałam matkę — już nie jestem sama rzucona wśród świata *(rzuca się w objęcie matki).*

WOJCIECHOWA. Tak, tak, *(na stronie)* znowu na nowe skazuję ją cierpienia, znowu patrzeć będę na jéj łzy, na jéj smutek, na pracę do któréj nie ma siły.

ALINA *(zamyślona).* Ale nie, to może nowe złudzenie? i chcę i boję się wierzyć ci najdroższa..... jedyna..... matko! matko moja!... ale ty mnie już nie odepchniesz od siebie, nie rzucisz mię pomiędzy obcych ludzi?

WOJCIECHOWA. O nie! już się nie rozłączemy *(całuje ją).*

W. T.

KONIEC AKTU I.

(Dokończenie nastąpi).

LIST Z CZĘSTOCHOWY.

Wspominałam ci w ostatnim liście, że mama moja miała zamiar wyjechania na święta wielkanocne do siostry swojéj w kaliskie — otóż zamiar ten przyszedł do skutku; na dwa tygodnie przed świętami powitałyśmy ciocię w jéj pięknéj majętności S... Nie chcę ci mówić o radości cioci i rodzeństwa jakiéj nasze przybycie było powodem, nie chcę spisywać tysiącznych zabaw jakiemi starano się pobyt nasz w S... uprzyjemnić— dodam tylko iż po kilkodniowéj rozrywce, zaczęłyśmy się wybierać do domu, gdy ciocia chcąc się dłużéj nami ucieszyć, podała myśl zrobienia wycieczki do Częstochowy siedm mil stąd odległéj. Pojmujesz łatwo z jaką radością myśl tę pochwyciłam, jak błagalnym wzrokiem patrzyłam w oczy mamie, chcąc z nich od-

powiedź wyczytać— i... o radości! mama zezwoliła na tę podróż.— Poskoczyłam uszczęśliwiona, klasnęłam w dłonie i z tkliwą wdzięcznością ucałowałam ręce drogiéj matki. Było to już nad wieczorem, nazajutrz przeto miałyśmy odbyć pobożną naszą pielgrzymkę — pielgrzymkę mówię, bo uprosiłam mamy że ile mi tylko siły pozwolą pieszo iśdź będę. Zgadujesz że prawie bezsennie noc przepędziłam, a zaledwie pierwszy promień słońca powitał ziemię już byłam na nogach. I towarzyszki mojéj podróży nie długo na siebie czekać dały, dosyć więc rano wyruszyłyśmy z S... Nic ci nie powiem o okolicy jakąśmy przebywały, bo tak byłam jedną myślą, jednym zajęta przedmiotem, że chybaby tylko cóś nadzwyczaj uderzającego mogło było moję zwrócić uwagę— to tylko pamiętam że droga nie musiała być dobra bo zdawało mi się że nigdy do Częstochowy nie zajadę. Przed zachodem słońca przecież ukazały mi się Jasnéj góry wieże, a ja rozrzewniona, przejęta skruchą wysiadłszy z powozu już do saméj Częstochowy pieszo doszłam. Było już bardzo późno i myśmy zaledwie gościnnéj izdebki dostały.

Chociaż znużone podróżą nie zaspałyśmy przecie, i na pierwszéj mszy która się odbywa o godzinie 5 jużeśmy były w kaplicy Marji. Józiu! wierz mi, wyrazy za słabe, za zimne aby

godnie odmalowały uczucia, wrażenia jakich się w tém świętém miejscu doznaje; serce tylko, dusza zdolne je pojąć. Z świętą bojaźnią wzniosłam oczy na cudowny obraz Boskiéj dziewicy, na ten obraz starożytny który tyle już wieków przetrwał, tylu wypadków był świadkiem.—Według tradycji obraz ten miał być przez Ś. Łukasza w Jeruzalem malowany, przeniesiony potém z Konstantynopola do Bełza przez Leona księcia ruskiego, w zamku tamecznym złożony został. Za panowania Ludwika, króla węgierskiego, siostrzeniec jego Władysław książe opolski, wojewoda węgierski, przez czas jakiś rządca polski prowadząc obraz ten do Opola szląskiego, własności swojéj, zatrzymał się z nim w Częstochowie— i po krótkim odpoczynku chcąc dalszą przedsięwziąść drogę, pomimo wszelkich usiłowań z miejsca go ruszyć nie mógł.

Wyższym powolny rozkazom, umyślił cud ten uwiecznić; w tym celu wybudował kościół, gdzie obraz złożył, nadto sprowadził XX. Paulinów z Węgier około r. 1382, w klasztorze na Jasnéj górze osadził, znacznemi dochody uposażając. W kilkanaście lat potém, funduszem i staraniem pobożnego i walecznego Jagiełły przybudowano kaplicę, gdzie obraz Marji w ołtarzu z hebanu złożono. Szerzyła się chwała świętéj dziewicy, śpieszyły ku Jasnéj górze pobożne tłu-

my sławiańskich ludów korne niżyć czoła, bogacił się klasztor kosztownemi ofiary— te jednak bogactwa wzbudziły chciwość w Hussytach *), wtargnęła na Jasną górę wyuzdana tłuszcza, złupiono kościół, klasztor i o zgrozo! nie wzdrygnięto się ściągnąć rąk świętokradzkich ku cudownemu obrazowi, obdarto go z bogatych ozdób i twarzy dwie blizny zadano. I jakby na uwiecznienie tego bluźnierstwa, blizny te, dziś jeszcze dostrzedz się dają.

Chcąc się na przyszłość od podobnych zabezpieczyć napadów, zakonnicy zaczęli klasztor murami wzmacniać; nie mało wspomagały ich pobożnych osób ofiary, jednak dopiero Władysław IV. uczynił Jasną górę warownią, jakby przewidując iż jéj się przyjdzie opierać nieprzyjaciół sile.— Jakoż do nieszczęsnego Jana Kazimierza panowania, przyłączyła się wojna szwedzka.— Karol Gustaw, książe dwóch mostów, wojewoda

*) Hussyci, zwolennicy Hussa rozsiewającego po całych Czechach przeciwne chrześcijaństwu nauki. Trudno wierzyć jak okropnych skutków nauka ta stała się przyczyną — wzrastała nowowierców siła, wstrząśnięta moralność, zamknięte i zniszczone pańskie świątynie, ucichły religijne pienia! Długo nie mogła zapobiedz szerzącéj się zarazie, zwierzchność duchowna i świecka. Lecz w końcu sprawę Hussa wytoczono na zborze konstancyeńskim, gdzie uznany za heretyka na spalenie skazanym został około r. 1417.

reński, następca Krystyny królowéj szwedzkiéj, która wyżéj nad tron życie ciche i nauki ceniąc, dobrowolnie ustąpiła mu korony, chciwy sławy podżegany od Hieronima Radziejowskiego, w Szwecji szukającego przytułku, podniósł wojnę przeciwko Polakom. Wojna ta długo nieszczęśliwa, odporem szwedów pod Częstochową pamiętna. Roku 1655 dnia 19 listopada Meller generał szwedzki oblegl Jasną górę przeszło w 10,000 wojska— wytrzymała oblężenie przez dni 38 walecznych żołnierzy garstka, mając na czele przeora Paulinów Augustyna Kordeckiego i Stefana Zamojskiego miecznika Sieradzkiego. Nareszcie w dzień Bożego narodzenia rozgniewany niepowodzeniem Meller z wściekłością szturm przypuścił— sypały się gradem ogniste kule, tkwiły w warownych murach żadnego prawie nie zrobiwszy uszczerbku— bo Marya któréj opiece Jan Kazimierz kraj poruczył, wysłuchała błagalnych modłów pobożnego monarchy, zlitowała się nad uciskiem ufnego w jéj łaski ludu i odwróciła grożące Polsce niebezpieczeństwo. Zawstydzony Meller widząc swe usiłowania nadaremne, dnia 27 grudnia od oblężenia odstąpił. Taż twierdza powtórnie oblężona była przez Szwedów roku 1702. pod Karolem XII— sławny także mężny jéj odpór w wojnie z Austryą roku 1809.

Może nie bardzoś mi wdzięczna luba Józiu za moje

historyczne Jasnéj góry wspomnienie, bo to co ci napisałam nie jest ci obcém; daruj jednak że na ten raz nic ci nie mogę więcéj powiedziéć nad to, że kościół jest nadzwyczajnéj wielkości — kaplica również okazała, wszystko w niéj tchnie uroczystością, wszystko głębokie poszanowanie obudza; ołtarz bogato przybrany, sukienka Matki boskiéj z pereł i drogich kamieni utkana. Nie ujrzysz tu nikogo siedzącym, każdy na klęczkach modli się z takim zapałem, z taką ducha gorącością iż nie można wątpić że modlitwa jego wzleci prosto przed tron Boga, że wysłuchaną będzie. W skarbcu jeszcze nie byłam — jutro dopiero zakonnik Eugeni zaprowadzić nas tam przyobiecał. Wybacz Józiu niedokładności mego opisu — na przyszłość będę się starała poprawić.

J. J.

ZWIERZĘCA ARYTMETYKA.

Zwierzęta obdarzone są z natury instynktem, ale prócz tego mają wiele zastanowienia i uwa-

gi; — i tak: widziano słonia który ująwszy trąbą pistolet strzelał z niego, przed wystrzałem jednakże przewodnik uprzedzał zwierzę do wymówienia któréj liczby czekać miało, i rzeczywiście człowiek liczył głośno i bez przerwy, bez zmiany głosu, słoń stał poważnie, licząc w myśli, zaledwie wymowiono oznaczoną liczbę huk wystrzału przygłuszył następne.

Przed kilkoma laty pokazywano w Warszawie uczonego pudla, który pomiędzy innemi, rozpoznawał na zegarku godzinę, i potém takową, ująwszy łapką pałeczkę, uderzeniami oznaczał, nie było przykładu by się kiedy omylił, nawet kwandranse oznaczał szybszém uderzeniem pałeczki w podłogę, jak to nieraz w zegarach stołowych słyszymy.

W pewnym domu był piesek, który przypadkiem wzrok utracił, i oswoiwszy się z ślepotą swoją nietylko że wesoło biegał po pokoju, lecz schodził sam z drugiego piętra, po schodach kilkakrotnie łamanych, i nie omylił się nigdy w zstępowaniu, ani w wymiarze prostych odstępów, niemniéj chodząc po ogrodzie znał długość każdéj ulicy, i zawracał zawsze w właściwém miejscu, z kąd wnosić należy że albo liczył kroki, albo mierzył czas potrzebny na przebycie pewnéj przestrzeni.

W Wersalu, pan Leroi nadzorca królewskiego

łowiectwa, uważał od niejakiego czasu szczególną roztropność i wyrachowanie sroki która sobie na samym szczycie wyniosłéj topoli zbudowała gniazdeczko.— Ilekroć pan Leroi wychodził do lasu z fuzją, sroka spotrzegłszy go, wzlatała ponad gniazdo by uniknąć wystrzału, gdy zaś zamiast strzelby miał tylko laskę w ręku, patrzyła na niego spokojnie z wierzchołka drzewa, szczebiotała wesoło, i skacząc po gałęziach okazywała widocznie że się tylko fuzji, nie zaś człowieka obawia.— Ciekawy jak daleko dojdzie przezorność ptaszyny, nadzorca kazał sobie pod topolą wystawić mały szałasik z gałęzi, i schronił się do niego z strzelbą na ramieniu;— skoro go tylko sroka dojrzała, wzniosła się w górę, i próżno przez kilka godzin czekał na nią w milczeniu, nie wróciła aż się na dobry wystrzał oddalił.— Nazajutrz wziął z sobą strzelca, i obadwa uzbrojeni poszli do szałasu; sroka uciekła nim się zbliżyli,— po chwili strzelec wyszedł i udał się powoli ku domowi, lecz ptaszyna nie wróciła, widziała bowiem dwóch ludzi wchodzących czekała zatém aż ich dwóch wychodzących zobaczy.— Następnego dnia trzech ludzi weszło do szałasu razem, a wychodzili z niego pojedynczo,— sroka czekała jednak z powrotem do gniazda, póki się trzeci przyzwoicie nie oddalił— Pan Leroi coraz daléj chcąc spostrzeżenia

posuwać, co dzień o jedną osobę zwiększał swoje towarzystwo, lecz rachmistrz pierzasty z daleka liczył gości, i wcale niegościnnym lecz przezornym obyczajem, dopiéro po ich odejściu ukazywał się w mieszkaniu.— Pokazuje się więc że nasza sroczka znała dwa pierwsze arytmetyczne działania, dodawanie i odejmowanie, szkoda tylko że wiadomości jéj wtym względzie niedaleko sięgały, kiedy bowiem ośmiu ludzi weszło do szałasu, i przerażona gospodyni topoli uciekła przed ich odwiedzinami, czy to stęschniona do dziatek, czy też w liczeniu się pomyliła, czy wreszcie w maleńkiéj główce tak znacznéj summy pomieścić nie mogła, dość że zaledwie siódmy strzelec odszedł od drzewa, wróciła do gniazdka trzepocząc skrzydłami, i tylko dobremu sercu pana Leroi, nie już umiejętności swojéj winną została ocalenie życia; ten bowiem przekonawszy się o granicach sroczéj wiedzy strzelił na wiatr, by dowieść ptaszynie jéj nieudolność i szlachetnosć człowieka.

Przed kilkoma laty, na wyspie Wight w zamku Carisbruck była głęboka studnia, z któréj osiołek wyciągał wiadrami wodę za pomocą koła urządzonego nakształt młyna deptaka.— Zwierzę to, za najgłupsze ze wszystkich czworonogów uważane, tak się przy téj pracy w rachubę wprawiło, że bez niczyjego kierunku dopóty

tylko chodziło w kole, póki wiadro nie doszło brzegu studni, wtedy osieł zatrzymywał się na chwilę, i strzygąc uszami czekał aż się kto zbliży by je wypróżnić, a skoro uczuł że ludzka ręka wiadro ujęła, odstępował na trzy kroki, by odkręcając łańcuch ułatwić wypróżnienie naczynia.— Jak to jednak nigdy z pozoru sądzić nie należy!— sroka chytra niby i przezorna, do ośmiu zliczyć nie umiała, a jakie to summy ułożyły się w ciasnéj myśli głupiego i pokornego osła!— gdyż wspomniona studnia głęboką jest na 100 stóp, każdy obrót koła unosi wiadro o cztery stopy i pięć cali w górę, a na obrócenie koła, poczciwy osiołek dwanaście kroków potrzebował.— Ile on też kroków zrobił, i ile razy obróciło się koło, nim wiadro wody na brzegu stanęło?...

P. K.

BAJKA
MATKA I DZIECIĘ.

Za oknem, obok siebie, dwie klatki wisiały;
Chłopczyk mały

Słuchając długo śpiewu, zapytał się matki:
Któryż to ptaszek tak miluchno śpiewa?
Czekaj, matka się odzywa,
Każe przynieść obie klatki,
A ty zgaduj.— Przynieśli.— Oto! wielka sztuka!
Naturalnie, moja matko,
Ten z żółtym brzuszkiem i z czerwoną łatką.—
Nie, mój synu, niezgadłeś; zawsze się oszuka,
Kto z pięknego pozoru sądzi o rozumie,
To jest szczygieł: on ledwie zaświergotać umie;
Drugi zaś, który nie wpadł ci w oczy,
Dla tego, że jest skromny w piórkach i postawie,
To jest ów słowik, gajów ten śpiewak uroczy,
Chociaż i w gajach niewidziany prawie.

Wład. Miniewski.

ALINA Z PRĄDNIKA

KOMEDYJKA

W DWÓCH AKTACH.

(Dokończenie).

OSOBY.

WOJCIECHOWA, ociemniała wdowa.
ALINA, jéj córka,
KRYSTYNA } wieśniaczki.
RÓZIA }
JADWISIA, ich siostra.
JANEK, parobek.
PANI.
MARJA, jéj towarzyszka.
GUCIO, synek pani.

Rzecz dzieje się w dolinie Grodziska przed wiejską chatą.

AKT II.

SCENA I.

(Alina (sama) smutna siedzi na odłomku skały).

Dziś miała przybyć nieznajoma podróżna w to samo miejsce— z razu przyrzekłam sobie nie widzieć się z nią wcale — ale jakaś tajemna siła ciągnęła mnie do miejsca w którém widziałyśmy się poraz piérwszy. Nie będę jednak ją prosić o wsparcie— o nie, nie zniżę się do żebrania pomocy—chociaż bardzo jesteśmy potrzebni. O! gdyby o mnie tylko chodziło— ależ biedna moja matka! O! dlaczegóż ja tak niezdolna do pracy! ale słyszę jakieś wesołe głosy— schrońmy się na chwilę *(wybiega za kulisę).*

SCENA II.

(Z drugiéj strony, wchodzi Krystyna, Rózia z Jankiem ska cząc. Ostatni śpiewa) Oj dana moja dana, *(bijąc hołubca)*

RÓZIA. Niech żyje wesołość.

JANEK. Niech żyje! *(wywija czapeczką).*

RÒZIA. Otóż to mi dopiéro uciecha, kiedy zagrają krakowiaka ledwie dusza nie wyskoczy. Dobrześmy się bawili, bodajto co tydzień bywało okrężne!

JANEK. Jeszcze u dobrych panów— bo to się człowiek i wyskacze i posili— Ale cóś Aliny nie widziałem— Ona chociaż nigdy nie była poprzednicą— ale zawsze najpiękniejsza ze wszystkich dziewcząt.

RÒZIA. I ja jéj nie widziałam.

KRYSTYNA *(na stronie).* Dla tego też tak wesoła bo dziś ją tylko chwalili — *(do Rózi)* dajże już pokój tańcom, trzeba myśléć o robocie— pańskie zwiezione ale nasze jeszcze i nie zaczęte. Róziu, Janku, do sierpa! już ojcowie dawno w polu.

RÒZIA. No, idę przecież.

JANEK. Oj trzeba, chociaż się i nie wyspało, zaśpiewajmy weseléj i robota prędzéj pójdzie. *(wybiegają skacząc).*

SCENA III.

(Krystyna oddala się trochę ale nie wychodzi, Alina wraca na scenę).

ALINA. Już wyszli, jakże ta wesołość nie-

zgodna ze stanem mojéj duszy, jak oni szczęśliwi! ze swoją prostotą ze swojém pojmowaniem rzeczy— ładne ubranie, ochocza muzyka, kilka chwil tańców i już szczęście! A dla mnie czyżby to było dosyć?

O! coraz bardziéj się przekonywam że szczęście prawdziwe może zapewnić tylko wychowanie zastosowane do naszego stanu— że im więcéj pojęć tém więcéj żądań, tém trudniejsze ich zaspokojenie. I ja może śmiałabym się teraz z Rózią gdybym jéj podobnie była ukształconą.

KRYSTYNA *(zbliżając się do Aliny).* Czegóż ty taka smutna moja Alino! stałam tutaj przez chwilę, chciałam zrozumieć coś mówiła ale tego tylko doszłam że masz coś na sercu.

ALINA. Słyszałaś co mówiłam!— Tak Krysiu jestem cierpiąca bardzo cierpiąca, nieszczęśliwa.

KRYSTYNA. Z jakiéj przyczyny?

ALINA. Wiész że na przednówku zamożnym gospodarzom, czasem się niedostatek da we znaki— a cóż dwom biédnym kobietom— wdowie i słabéj dziewczynie.

KRYSTYNA. Może ci będę mogła w czém pomódz.

ALINA. Ty sama Krysiu nie jesteś bogatą— a my już tyle winniśmy za podatki— czekano dosyć długo, coraz się więcéj zbierało, teraz ko-

nicznie zapłacić trzeba, bo jeśli na dzisiejszy wieczór nie złożę 50 złotych jutro zabiorą ostatnie sprzęty nędznéj naszéj chaty, a moja biedna matka ile cierpieć będzie!

KRYSTYNA. Pięćdziesiąt złotych! prawda to nie tak łatwo znaleść jeszcze na przednówku.

ALINA. Tém bardziéj u nas biednych, wycieńczonych długą chorobą matki.

KRYSTYNA. Wiész Alino nigdy ci nie daruję tego żeś nie pojechała z tą przejeżdzającą panią — nie byłabyś dzisiaj cierpiała tyle!...

ALINA. A moja matka!... *(przechodzi się po scenie)*.

KRYSTYNA. O! jakże się lituję nad jéj losem, gdybym jéj w czém pomódz mogła — mam nowiutkiego talarka za przeszłoroczny przysiewek. Rózia i Janek może się przyłożą, może i ojcowie co dać zechcą. Komorzyna bogata, Sobkowa i poczciwy Tomasz z Ojcowa pewno mi nie odmówią. Zbiorę Bóg da potrzebne pieniądze jeszcze dziś przed wieczorem, i pocieszę kochaną Alinę — ona przecież tyle razy mnie pomocną się stała! — *(zbliża się do Aliny)* Alino muszę odejść na chwilę, będę myślała nad sposobami zaradzenia tobie — a ty tymczasem bądź dobréj myśli uspokój się, odpocznij trochę, *(wychodzi)*.

SCENA IV.

ALINA (*sama*).

Dobra Krysia— ona jedna mię nie opuszcza, ona chce myśléć ze mną nad sposobem oszczędzenia cierpień naszych— O! gdybyś był żył szanowny mój opiekunie, u ciebiebym najprędzéj i radę i pomoc znalazła. Ale przychodzi mi na myśl, mam jeszcze jeden klejnot, noszę go przy sobie, a mogłam zapomnieć o nim *(wyjmuje krzyżyk rozrywa kryjącą zasłonę)* tak, tak, on mi posłuży do zakończenia naszych cierpień, Ale to jest dar mego dobrodzieja.— Pamiętam chwilę kiedy niedługo przed śmiercią zawołał mię raz do siebie i dając krzyżyk bogaty— powiedział— „Weź go, weź Alino – krzyżyk jest twoją własnością, chowaj go starannie; on może kiedy posłuży ci do szczęścia." Nie rozumiałam wtedy tych wyrazów, teraz się domyślam że pozwolił mi niemi użyć drogiéj pamiątki w wypadku podobnym dzisiejszemu.

SCENA V.

ALINA I PANI.

PANI. Otóż jest Alina! stawiła się na słowie,

ale cóś smutna, zamyślona *(zbliżając się do Aliny)*. Jak się masz kochana!

ALINA. Ach to pani!

PANI. Czyżeś się mnie niespodziewała?

ALINA. I owszem bardzo, w téj nawet chwili myślałam że czekam bardzo długo, tak niecierpliwą byłam widzieć panią.

PANI. Masz mi więc pewno co do powiedzenia?

ALINA. Tak pani— chciałam cię prosić.

PANI. Ach mów, co potrzebujesz?

ALINA. Oto chciałam cię prosić czybyś nie mogła kupić odemnie małego klejnotu?

PANI. Kupić?— niepotrzebujesz pozbywać się twoich ozdób, i tak ci dać mogę ile potrzebujesz.

ALINA. Ach toby było jałmużną.... nie, ja nie żądam jałmużny — chcę aby pani kupiła odemnie krzyżyk i zwróciła mi go kiedy, jeżeli będę mogła zwrócić jéj pieniądze. Oto jest krzyżyk *(podaje go pani)*.

PANI *(ogląda i po chwili woła przerażona)*. Dziewczyno z kąd masz ten krzyżyk?....

ALINA. *(zmięszana)*. Ja..... ja..... go mam..... *(na stronie)* jakże jéj powiedziéć że sprzedaię dar mego dobroczyńcy.

PANI. Mów Alino zkąd masz krzyżyk— ach gdybyś wiedziała! ile twoim milczeniem zadajesz cierpień nieszczęśliwéj....

ALINA. Ja cierpienia zadaję! — niemogę wyznać.

PANI. Dla czegoż mi powiedzieć nie chcesz?

ALINA. Ten krzyżyk jest moją własnością.

PANI. Twoją?

ALINA. Dostałam go, a zatém do mnie należy.

SCENA VI.

(*Alina, Pani, Wojciechowa, która wchodzi z Krystyną podczas gdy tamte mówią*).

WOJCIECHOWA. Alino! Alino! zapomniałaś o naszém położeniu, i tak długo tu zostajesz kiedy tu trzeba wspólnie myśléć o zaradzeniu złemu. Nie mogłam się ciebie doczekać, na szczęście spotkałam Krysię która mię tu przyprowadziła.

ALINA. Tylko chwilkę matko droga.

PANI. To jest twoja matka?

ALINA. Tak jest, matka moja.

WOJCIECHOWA. Któż tu jest więcéj — nie mogą rozpoznać słabe oczy moje.

ALINA. Taż sama pani która miesiąc temu zwiedzała Grodzisko.

WOJCIECHOWA. O szczęście!....

KRYSTYNA *(cicho do Aliny)*. Bądź spokojna już mało mi brakuje *(wybiega)*.

PANI *(na stronie)*. Muszą mi powiedzieć, muszę wybadać prawdę — to ten sam krzyżyk, oczy moje się nie mylą — taż własność mojego najdroższego dziecięcia... *(do Wojciechowéj)* moja kobieto, twoja córka chce mi sprzedać krzyżyk...

WOJCIECHOWA. Co, ten krzyżyk Alino!.... ja nie pozwalam na to.

PANI. I nie chce mi powiedzieć z kąd ma ten krzyżyk.

WOJCIECHOWA. Pani zna ten krzyżyk?

PANI. O! znam aż nadto dobrze,

WOJCIECHOWA. Ten krzyżyk znalazł mój mąż nieboszczyk przy dziecięciu, które Wisła wyrzuciła na brzegi swoje.

PANI. Czy żyło dziecię?

WOJCIECHOWA. Żyło jeszcze.

PANI. Ach gdzież jest teraz? gdzież jest dziecię moje? powiedz powiedz kobieto!..... *(porywa jéj ręce błagalnie)*.

WOJCIECHOWA. Oto jest przed tobą *(pokazuję Alinę)*.

PANI. To córka moja?

ALINA. Moja matka! *(rzuca się jej do nóg po chwili wzajemnego uniesienia)* nie, nie to sen tylko — ja temu nie wierzę ja jestem córką ubogiéj wieśniaczki....

WOJCIECHOWA. Nie Alino, tyś stworzona do innego życia.

ALINA. Ja nie pojmuję jak mogę być córką téj pani.

WOJCIECHOWA. Zaczekaj, zrozumiesz wszystko.

PANI. Ach powiedz mi, powiedz jakim sposobem odzyskuję córkę moją.

WOJCIECHOWA. Nieboszczyk mój mąż był flisem, jeździł do Gdańska czasem ze swojem, czasem i z pańskiém zbożem. Zawsze przywoził nowe talarki i jaki ładny dla mnie podarek. Jednego razu spóźnił się trochę z przyjazdem, niespokojna poszłam do Krakowa potém nad Wisłę dowiedzieć się co o nim— czekałam kilka godzin, nareszcie przypłynęli nasi i między niemi mój Wojtek wyskoczył na brzeg niosąc na ręku małą śliczną dziewczynkę. Co to za dziecina? zapytałam się ciekawie: a Wojtek opowiadać zaczął: jak złożywszy zboże w magazynie poszedł tam gdzie Wisła do morza wpada, aby się niemieckim przypatrzyć statkom, jak na brzegu znalazł wyrzuconą przez wodę maleńką, którą ocucił zemdloną i zaniósł do gospody, jak szukał do kogo dziecko należy ale w obcém mieście mało kogo miał znajomego i nic się o niém dowiedzieć nie mógł, jak nareszcie musieli

rano płynąć do domu i on nie wiedząc co z małą zrobić zabrał ją z sobą.

PANI. A potém czy już nigdy nie był w Gdańsku gdzie tyle robiliśmy poszukiwań?

WOJCIECHOWA. Wkrótce po przyjeździe zachorował na mocną gorączkę, i niedługo zostałam sama na świécie; wchorobie mawiał mi często: pamiętaj Marysiu starać się o wynalezienie rodziców małéj naszéj, którąśmy Aliną nazwali— a jeśli ci pan Bóg znaleść ich nie pozwoli chowaj ją, kochaj, uważaj za swoje własne dziecię— kiedy nam pan Bóg zabrał nasze, może Alina przynajmniéj będzie miała o tobie staranie w późnéj starości!

PANI. Jakże Alinę mogli uważać za twoją córkę.

WOJCIECHOWA. Bo po śmierci Wojciecha przeniosłam się z mojéj wioski tu ot do Prądnika— najęłam chatę i chodziłam na wyrobek. Alina rosła i coraz była piękniejszą— widywał ją pustelnik który tak lubił dzieci— poznał on zaraz że to musi być dziecko jakich wielkich państwa, wypytywał mię zawsze o nią i nareszcie musiałam mu powiedzieć kto była Alina— wtenczas on starał się pisywać do Krakowa, ale nic się dowiedzieć nie mógł.

PANI. Bo my po stracie téj drogiéj istoty nie mogąc znaleźć pociechy w własnym kraju podróżując po obcych szukaliśmy roztargnienia.

WOJCIECHOWA. On jednak zawsze się spodziewał że kiedyś Alina będzie szczęśliwa! że znajdzie rodziców, i dla tego ją uczył ciągle, dla tego kupił nam grunt, chatę, aby wygodniéj żyła;

ALINA. A teraz powiesz mi matko moja jakim sposobem mię wyrzuciła woda -- zkąd ja się tam wzięłam?

PANI. Tyś była maleńką jeszcze kiedy mi doktorzy przepisali morskie kąpiele. Pojechałam do Gdańska i tam raz kiedy morze było spokojne chciałam użyć przechadzki nad brzegiem, tyś była ze mną. Ledwie wyjechaliśmy, wiatr powstał mocny, łódka się przechyliła — ja straciłam przytomność, a kiedy ją odzyskałam już byłam na lądzie — ale ciebie nie było — mocna gorączka nastąpiła po przestrachu i boleści. Niespokojne o mnie otaczające mię osoby — nie miały czasu zająć się w téj chwili wyszukaniem twego ciała — bo wszyscy twierdzili żeś utonęła niezawodnie,późniéj poszukiwania były daremne. Teraz prawdziwém zrządzeniem Opatrzności znajduję ciebie, znajduje zdrową, ukształconą, o jakież to szczęście dla matki!.... Wdzięczność dla ciebie dobra kobieto wiecznie żyć będzie w sercu mojém.

ALINA. A w mojém najczulsze przywiązanie nigdy nie wygaśnie.

PANI. Elwira moja przywiązała się do ciebie będziesz więc mieszkać razem z nami — na niczém ci zbywać nie będzie — wspólnie używać będziemy prawdziwego szczęścia.

ALINA Tylko pozwolisz mi matko zachować dawne imie — ono będzie mi przypominało starania mojéj przybranéj matki — jéj miłość i troskliwość o moje młodocianne lata — ono będzie mi przypominało wdzięczność którą winnam nietylko tym co mi dali życie, ale i tym wszystkim którzy jakimkolwiek sposobem przyczynili się do mego ukształcenia.

W. T.

LEOSIA

POWIASTKA.

W cichy wiosenny wieczór, kiedy powietrze oczyszczone deszczykiem napełniał zapach świeżo rozwitych liści, a radosny śpiew ptasząt do

wesołości zachęcał, pani Krumecka żona bogatego kupca, tkliwa zwykle na piękności natury siedziała zamyślona przy otwartém oknie sypialnego pokoju, nie uważając nawet, że młoda Leosia zdziwiona smutkiem matki, przyklękła przy jéj nogach, i niespokojnie na nią poglądała.

Po długiém milczeniu przysunęła się bliżéj jeszcze do matki, i całując ją w rękę rzekła nieśmiało:

— Mamo! nie odmów mi tego o co cię prosić będę!

— Cóż to takiego Leosiu?

— Powiedz mi, czemu i ty i ojciec tak smutnémi jesteście do jakiegoś czasu?

Pani Krumecka westchnęła, a Leosia rzekła daléj:

— Widzę ja to dobrze, choć się przedemną ukrywacie. — Przytém tyle się rzeczy u nas w domu zmieniło! — Powynoszono piękniejsze sprzęty, pozamykano pokoje, moi nauczyciele nie przychodzą, goście nie bywają, a nawet wczoraj zamiast swoją ładną błękitną karetą, wyjechałaś brudną dorożką do miasta. — Co znaczy to wszystko? powiedz mi mamuniu!

— Słuszne twoje uwagi lube dziecię moje; zmieniło się położenie nasze, z bogatych staliśmy się ubogimi. — Niemówiłam ci dotąd o tém, bo zbyt liczne i ważne miałam zatrudnienia, ale

teraz, czas i ciebie przygotować do nowego życia które prowadzić będziemy.— Tak Leosiu, zamiast jeździć powozem, będziemy pieszo chodzili, zamiast jedwabnych sukien, będziemy miały płócienkowe, z tego obszernego mieszkania przeniesiemy się do małego domku na przedmieściu;— nie będzie już u nas ani służących w liberji, ani balów, ani obiadów, a co najwięcéj, nie będziesz mogła mieć nauczycieli jak dotąd.... i dobra matka mimo udanéj spokojności zalała się łzami.

— Nie płacz mamo! zawołała rozrzewniona Leonora, wszak to jeszcze nie największe nieszczęście, wszak sama mówiłaś nieraz że w każdym stanie szczęśliwym być można byle na nim przestawać.

— Ja też nie dla siebie, ale dla ciebie dostatków żałuję;— spodziewałam się, że po tyloletniéj twego ojca pracy, po tylu i z mojéj strony zabiegach, zapewnimy ci pomyślne i wygodne życie, — ale wspomnieć że wszystkie te nadzieje spełzły na niczém, że ubóstwo i ciągła praca będą twoim udziałem, że nie dojdziesz nigdy do tego wykształcenia jakieśmy sobie dla ciebie obiecywali, to przykro Leosiu!

Dziewczynka całowała ze łzami ręce matki, cieszyła, uspokajała jak mogła, a gdy nakoniec pani Krumecka płakać przestała, Leosia rzekła:

— Jednakże mamo, ja nie pojmuję jakim się to wszystko stało sposobem; wszak nas złodziéj nie okradł, pożaru nie było, skądże więc tak nagłe nieszczęście?

— Dowiesz się — majątek kupca nie leży zamknięty w skrzyni lub komodzie; — powierza on go innym na rozmaite przedsięwzięcia, a wynikające z tąd korzyści powiększają go znacznie — I twój ojciec w ostatnim czasie powierzył znaczne summy pewnemu handlowemu domowi za granicą; — na nieszczęście, nie powiodły się przedsiąwzięcia, dom ten zubożał, i nie może zwrócić ojcu utraconych pieniędzy. — Tymczasem ci, co mu nawzajem swoje lubo mniejsze majątki oddali chcą je odebrać. — Możnaby wprawdzie powołać się na własną stratę, żądać zwłoki, lub za większe, mniejsze pozwracać kwoty, bo tak wielu robi, lecz byłożby to słusznie? — Woleliśmy zatém wyzuć się z wszystkiego, byle zaspokoić wierzycieli i nie mieć niczyjej straty na sumieniu, byle kiedyś nie powiedziano na ciebie wskazując:

— Oto córka tego co nas ukrzywdził!

Leosia przytuliła się ze łzami do kolan matki, a po niejakim czasie spytała:

— A babunia wie o wszystkim?

— Nie wie, i wiedzieć nie będzie. — zmar-

twiłaby się, a w jéj wieku zmartwienie łatwo zabić może.

— Czyż się to przed nią ukryje?

— Nie trudno nam będzie zataić przed nią prawdę— nie wychodzi nigdzie, nie widuje się z nikim oprócz nas; nie dowie się o zmianie naszego mieszkania, a będąc niewidomą nie dostrzeże jéj i w ubiorze.

— Ależ Janowa?

— Ona tak kocha swoją panię, że nam pewnie tajemnicy dochowa.

— Więc babuni nie będzie zbywało na niczém?

— O nie! nie tknęliśmy summy przeznaczonéj na utrzymanie mojéj drogiéj matki, i ufam w Bogu, że ostatek jéj życia spokojnie upłynie.

Długo się jeszcze przedłużyła ta rozmowa, pani Krumecka opowiadała córce w szczegółach plany dalszego życia i pracy, a Leosia choć młoda, pojęła doskonale szlachetność i położenie rodziców, i postanowiła sobie wszelkich dołożyć starań, byle im jakąkolwiek przynieść ulgę i pociechę.

W kilka dni potém, cnotliwy kupiec przywiódł swój zamiar do skutku; — popłacił wierzycieli, i przedawszy resztę kosztowności, przekonał się, że z otrzymanych za nie pieniędzy będzie mógł wraz z rodziną żyć uczciwie choć

ubogo, dopóki nie obmyśli środków powiększenia swego dochodu.

Z lekkiém więc sercem przenieśli się do szczupłego mieszkania na mokotowskiéj ulicy;— mieli tylko dwie izdebki, proste trzciną wyplatane kszesła, co dawniéj stały w przedpokoju, perkalowe firanki u okien, ale to wszystko czyste, porządne, a nadewszystko własne, milszém im daleko było niż pyszne dawniejsze pokoje gdyby je mieli z cudzym uszczerbkiem posiadać.

Pan Krumecki, pragnąc choć w części przywrócić żonie wygody do których przywykła, a córce dostarczyć środków kształcenia rozwiniętego już umysłu, począł się szczerze starać o miejsce w jakim handlowym domu, bez względu na przykrości jakich mógł doznać podlegając obcym, on co przez tak długo rządzić i rozkazywać nawykł.

Żona jego równie odważna i wytrwała w nieszczęściu, nie okazała najmniejszego żalu, z powodu utraty majątku; nieustannie zajęta, to uprzątała skromne mieszkanie, narządzała suknie lub bieliznę, to pomagała w kuchni staréj Barbarze, która z licznych domowników sama w jéj usługach została, i chętnie się podjęła cięższkiéj na swój wiek pracy, byle się z dobrém państwem nie rozłączać. Nakoniec też pani Krumecka powtarzała z Leosią dawne jéj nauki, czytywała

z nią razem, uczyła ją ręcznych robótek, a dziewczynka codzień mocniéj czując jak to miło od matki pobierać naukę, codzień jéj była wdzięczniejszą, codzień ją mocniéj kochała.

Nieraz wprawdzie przychodziły jéj na myśl dawne zabawy i przysmaczki, lecz widząc jak rodzice ochotnie znosili ubóstwo, nie śmiała ich żałować, a kiedy czasem matka oszczędziwszy na dziennym wydatku kilkanaście groszy, owoców kupić kazała, była to prawdziwa uczta dla Leosi, nigdy jéj się tak pięknémi i smacznémi nie zdawały, bo zwykle im rzadziéj używamy czego, tém sie nam przyjemniéjszém staje.

Tak żyli już przez kilka miesięcy, nie bywali nigdzie, rzadko kto ich odwiedzał, ale za to wieczorem przechadzali się po mokotowskiéj drodze, i jak dawniéj co tydzień odwiedzali wszyscy niewidomą babkę, która póznego doszedłszy wieku żyła sobie spokojnie w klasztorze PP. Sakramentek, a odbierając regularnie pieniądze przeznaczone na swoje utrzymanie, nie domyślała się nawet nieszczęścia dzieci.

Oprócz wspólnych odwiedzin, pani Krumecka posyłała Leosię dwa razy w tydzień do babki, bo wesoła i dowcipna dziewczynka bawiła mile staruszkę; — i teraz więc by w niczém nie zmieniać upodobań babuni, stara Barbara co środa i piątek odwoziła Leosię rano dorożką, a wie-

czorem szła po nią i wracała pieszo żeby zbytnio nie powiększać wydatków. — Lubo dziewczynka nie przywykła od tak dalekiéj po bruku przechadzki, nie skarżyła się przecież nigdy na utrudzenie, owszem, wróciwszy do babki weselszą była niż zawsze, i zdawało się że jéj po każdych takich odwiedzinach żywości i zdrowia przybywa. Życzenia pana Krumeckiego spełniły się nareszcie; — Jeden z pierwszych bankierów warszawskich który dawniéj częste z nim mając stosunki umiał cenić rzetelność i zdolność jego, dowiedziawszy się że zacny ten człowiek szuka posady dla siebie, ofiarował mu z radością miejsce swego pomocnika, z znaczném wynagrodzeniem, i pewnym udziałem w korzyściach, jakie za staraniem jego dla domu wynikną.

Późnym wieczorem wrócił pan Krumecki do domu z tą szczęśliwą nowiną; — nie posiadał się z radości myśląc o polepszeniu bytu rodziny swojéj; żona zaś jego również ucieszona, żałowała że Leosia oddawna już powiedziawszy jéj dobranoc, zamknęła się w izdebce, gdzie z starą Barbarą sypiała.

— Nie musi spać jeszcze, rzekł pan Krumecki, bo przechodząc widziałem światło przez szparę od okiennicy.

Dobra matka pragnąc lubemu dziecięciu jaknajśpieszniéj udzielić pomyślnéj wiadomości, zbli-

żyła się do drzwi, i otworzyła je po cichu.— Leosia nie spała jeszcze w istocie, lecz siedząc przy stoliku tyłem do drzwi obrócona kończyła muślinowy mankietek, a drugi już skończony i kilka gotowych czepków leżały przed nią. — Barbara siedziała obok dziewczynki, i uzbrojona szczypcami obiaśniała co chwila cienką łojową świeczkę.

Obie tak były zajęte że niespostrzegły pani Krumeckiéj, aż kiedy stanęła za krzesełkiem Leosi;— przelękniona, odwróciła się młoda szwaczka, lecz widząc matkę wzięła się znów do roboty, mówiąc:— już tylko kilka ściegów mamuniu!

Matka zdziwiona taką pilnością, czekała jednak cierpliwie, aż póki Leosia otoczywszy mankietek tiulem, nie położyła go na stole.

— Cóż znaczy ta kryjoma robota? rzekła nieco surowo do zmieszanéj dziewczynki;— ta spuściła oczy, zarumieniła się, lecz widząc że matka czeka odpowiedzi, rzekła nieśmiało;

— Daruj mamo żem ci o tém nic nie mówiła, bo to....

— Bo to na cukierki dla starszéj jéjmości! dokończyła żwawo podnosząc się Barbara, nie mogąca patrzéć dłużéj na pomieszanie Leosi.

Tak, tak, dodała: to gołąbek kochany, to codzień do północy a czasem i dłużéj pracuje, robi siatki, buciki, szyje czépki kołnierze, far-

tuszki, a ja to wszystko przedaję wychodząc do miasta.— I to jeszcze nie wszystko;— złotówki które pani dajesz na doróżki, panienka chowa, i piechotą chodzi taki kawał drogi,— przecież widzi Bóg, jeszcze sobie wisienki za to nie kupiła, tylko wszystko na cukry jakieś obraca, bo je starsza jejmość lubi.

Leosia zawstydzona temi pochwałami, chciała część ich złożyć na Barbarę:

— A tyż sama? rzekła jéj, nie chodzisz-że dwa razy tyle co ja, choć się przez dzień cały napracujesz; — a ile masz kłopotu z przedażą tych drobiazgów, i kupowaniem materjałów na nowe!

Pani Krumecka z rozrzewnieniem słuchała téj rozmowy, lecz nierozumiejąc jéj dobrze rzekła:

— Widzę że moja Leosia w dobrym celu pracuje, bo uprzyjemnić babce chwil kilka kosztem codziennéj pracy, pięknie jest i tkliwe serce oznacza, ale skądże ci przyszła myśl taka?

— Powiem jeżeli mama pozwoli.— Oto, wie mama, że dopóki żyliśmy inaczéj jak teraz, miałam zawsze dużo cukierków, konfitur i innych słodyczy, wybierałam więc zawsze co najlepsze i zawoziłam babuni, ona brała niektóre dla siebie, innemi zaś karmiła swoją papugę.— Kiedym pierwszy raz z tego mieszkania pojechała do babuni, nie miałam co wziąść z sobą, ale

też nie spodziewałam się iżby babunia na to uważała.— Papuga pamiętała jednak że z mojém przybyciem przybywało jéj przysmaków, i siedząc na stole między mną i babunią przymilała nam się obydwóm, a widząc że pochlebstwem nic nie zyskuje, mocniéj się dopominać zaczęła, dziobała nas po ręku, drapała nogami, aż babunia odpędziła ją pręcikiem mówiąc;— pójdź precz Koko! widzisz że dziś Leosia zapomniała o nas.

Smutno mi się zrobiło, i zaraz w piątek poszłam piechotą, a za złotówkę kupiłam cukierków; ale cukierki były drobne i nieosobliwe, papuga je skruszyła, babunia zaś nic dla siebie wybrać nie mogąc, powiedziała żartem: — dziś Leosia o mnie tylko zapomniała.— Nie mogłam kochana mamo znieść tego — i daruj! skłamałam!— Powiedziałam babuni że kilka razy byłam leniwą i nieposłuszną, i dla tego przez czas jakiś lepszych cukierków nie dostanę;— w duszy jednak postanowiłam zaradzić temu koniecznie, żeby babunia ani mnie o obojętność nie posądziła, ani się broń Boże o smutnéj u nas zmianie dowiedziéć nie mogła; — i — zaradziłam w ten sposób;— rzekła Leosia kończąc swoje opowiadanie, i wskazując na pokończoną robotę.

Łzy szczęścia stanęły w oczach pani Krumeckiej, ocierając je rzekła do córki:

— Czemużeś mi się nie zwierzyła Leosiu! na taki użytek byłabym przecięż kilka złotych co tydzień znalazła.

— Nie śmiałam mamo kochana! widzę ja ile Ty sobie rzeczy odmawiasz żeby mi czasem jaką zrobić przyjemność, miałaż-bym cię na większe jeszcze narażać ofiary? — A potém, jam taka szczęśliwa, kiedy zarobiwszy cokolwiek więcéj, mogę z większą paczką przyjść do babuni, i ona rozłożywszy ją na stole, palcami gatunkuje cukierki, mówiąc, to dla Koko— to— o! to dla mnie; to leslowskie pastylki, to gummowe kuleczki, owsiane karmelki, przydadzą mi się na kaszel— o! już teraz widzę Leosia o mnie dobrze pamięta.— Wtenczas mamo, czy uwierzysz? płaczę pocichu z radości i za nic w świecie nie odstąpiłabym pracy, co mi tyle szczęścia przynosi.

Pan Krumecki, który stojąc we drzwiach słyszał to wszystko, schwycił Leosię na ręce, i przyciskając ją do serca zawołał:

— Nie żałuję dziś straty majątku, przy nim, nie poznałbym może jak tkliwe moja córka ma serce.

— Oj, to złote serce; u panny Leonory, dodała rozczulona Barbara.

Szczęśliwi rodzice opowiedzieli Leosi pomyślną zmianę zaszłą w ich położeniu;— łatwo pojąć ra-

dość przywiązanéj córki, a stara sługa utrzymywała, że ją Bóg zesłał w nagrodę panience.

Wkrótce państwo Krumeccy opuścili maleńki domek, Barbara przy nowo urządzoném gospodarstwie została główną jego dozorczynią, Leosia wróciła do nauk, dostawała znów podostatkiem przysmaczków i pieniędzy; nie potrzebowała już pracować po nocach, jednakże tak zasmakowała w pracy, tak zna cenę zarobionych pieniędzy, że nietylko nie wydaje ich na niepotrzebne rzeczy, ale kiedy chce sobie prawdziwą sprawić radość, wtedy na podarunki dla rodziców i babki, na wsparcie nieszczęśliwych, własnemi zarabia rękami; — nie myślcie lube dziatki że jéj zarobek, to drobnostka; w ręku skrzętnéj i zręcznéj dziewczynki igiełka, dróciki, pędzelek, niemało przynieść, niejedną łzę z oczu cierpiących osuszyć mogą.

P. K.

WYCIĄGI
Z DZIENNIKA PODRÓŻY
DO WÓD MINERALNYCH
KAUKAZKICH.

(Ciąg dalszy).

. . . .

. . . . Odessa dzieło zeszłego wieku, lubo nie ma w sobie prawie żadnych historycznych pomników, co do teraźniejszego przecież stanu zasługuje aby o niéj słów kilka powiedzieć. — Dziś miasto to niepoślednie w Rossyi zajmuje miejsce— a jeżeli wzrastająca olbrzymim krokiem pomyślność Odessy, jakimś nadzwyczajnym wypadkiem wstrzymaną nie będzie, śmiało rzec można, Odessa w krótkim bardzo czasie stanie w rzędzie pierwszych miast handlowych Europy.

Po zawartym traktacie z Turkami Piotr

Wielki zabezpieczając od południa granice Rossyi wzniósł kilka na pograniczu miejsc warownych, a między innemi Odessę na brzegu morza Czarnego, w porcie przez Turków Adibey zwanym, o kilka mil geograficznych od miejsca gdzie kiedyś było starożytne miasto Greckie Edessa, od którego też dzisiejsza Odessa swoje wzięła nazwisko.

Pierwszą myślą Piotr Wielki wznosząc Odessę, przeznaczył ją punktem centralnym flotylli czarnomorskiéj, a zarazem jéj zasłoną. Dopiero od czasu gdy port Sewasto polski należéć zaczął do Rossji, Odessa przestała być uważaną jako warownia, i tu właśnie zaczyna się epoka jéj handlowéj świetności. Ogłoszona wolném miastem, Odessa kilkaset zaledwie wówczas domów licząca ujrzała zewsząd zbiegających się kupców, rzemieślników, negocyantów. a przy korzystném geograficznym położeniu, miejsce to stało się wkrótce centralnym punktem handlu Podola, Ukrainy a nawet całéj Rossyi.

Dziś liczne nawy handlujących żeglarzy, z dalekich krańców Europy zwożą wyroby swych krajów w zamian za produkta Rossyi, a mianowicie pszenicę, mięso solone, skóry, łój, wosk, tytuń ukraiński (Bakun) obficie zewsząd lądem i wodą tu dostawiane.

Przystań odeska szczególnie na mnie zachwy-

cające uczyniła wrażenie; tu bowiem pierwszy raz w całéj okazałości ujrzałem morze, a na niém takie mnóstwo różnokształtnych statków kupieckich, to spokojnie zwolna kołyszących się na wodzie, to znów z natężoną, piętrami wznoszącą się piersią, biegących na wyścigi do portu jakby spragnionych rychłego spoczynku, po zbyt już może długiéj podróży.— Odessa ma dwie przystanie— w pierwszéj statki przybywające z Dardanelów, lub téż Trebizondskich brzegów odbywają kwarantaunę, od 14 do 40 dni, a to stosownie do stanu zdrowia w miejscu z którego przybyły; — po odbytéj dopiéro kwarantannie, przechodzą w drugą przystań, gdzie zbywszy przywiezione dalekich krain wyroby nabywają produkta krajowe i gotują się znowu, do nowéj podróży. I dla tego to w téj przystani od samego świtu do późnéj nocy trwa ustawiczny ruch fizyczny, i spekulacyjny.

Dla dogodniejszego wyładowania przywiezionych towarów, i wzajemnie prędszego nabierania zboża, statki tak blizko przyciągnione są do brzegu i tak pomiędzy sobą skupione, iż wstąpiwszy z brzegu na jeden z nich, można z łatwością wszystkie z kolei obejrzeć.— Patrzącemu zaś na nie ze znacznéj odległości zdaje się jakoby widział gęsty las masztów z wody wyrastających.

Wieczór, w dniu świątecznym przy pogodnym

i spokojném niebie, jest nader zachwycającym w téj przystani— tysiące majtków z dalekich przybyłych tu krańców ziemi, zbierają się wówczas na pokładach swych statków, a zasiadlszy w rozliczne zformowani gruppy, opowiadają częstokroć bardzo ciekawe szczegóły odbytych podróży morskich,— to znowu we właściwém sobie narzeczu, zgodnie dobranemi głosy nucą stron rodzinnych pieśni, przeplatane akkordem narodowego jakiego instrumentu, wszystko to zlewa się w jakąś fantastyczną, dziką, lecz zachwycającą harmonię. Często tu bardzo słyszeć się zdarzy obok dzikich tonów bałałajki ruskiéj, cudnie brzmiące akkorda gitary hiszpańskiéj, a nieraz bujna, dzika, i tęschna duma ukraińca, zlewa się w harmonijną melodję spiewu dźwięcznego śpiewaka z nad Tybru.— Mnóstwo zaś łodzi wijących się po cichym wody przestworze w przystani, połyskując iskrami fosforycznego siłą wioseł z wody wydobytego ognia, sprawiają widok zachwycający, któren tém jest świetniéjszy im bardziej noc jest ciemną. Miasto samo, na wzniosłém, z dwóch stron wodą oblanym wybudowane wzgórzu, na pierwszy rzut oka przekonywa iż jest świeżego gustu w architekturze utworem; ulice proste, szerokie, szczególnie Riszeliewska i Hersońska najpiekniejszą część miasta zajmują. Odessa liczy w sobie kilka dość

wspaniale wzniesionych świątyń pańskich — między niemi jeden kościół katolicki przy którym kilku znajduje się księży, stosownie do liczby głównych narzeczy mieszkańców wyznania Rzymsko-katolickiego.

Z gmachów publicznych teatr włoskiéj opery pierwsze podobno jesli nie co do wielkości, co do gustu w architekturze trzyma miejsce; widok szczególnie stąd na morze i bliższe miasta okolice jest zachwycający.

Co do mieszkańców, trudno jest podobno znaleść drugie miasto, mieszczące w sobie tyle plemion różnych między sobą narzeczem, religją, ubiorem, zwyczajami, i obyczajami ile Odessa — wszystkich tu nagromadziła chęć zysku, wielu z nich czasowo tu tylko przebywa, większa część na zawsze już zamieszkała, w tém na spekulacyjnych wyrachowaniach opartém przekonaniu że tam ojczyzna gdzie dobrze. — Z tego względu Odessę nazwać by można małą handlującą Europą. — Co do towarzyskiego pożycia i zwykłej miastom większym wesołości, miasto to podrzędne zajmuje miejsce — Handel wyłącznie jest jedynym żywiołem, jest że tak powiem duszą rozmów, i schadzek wszelkich klass ludu, oddanego li tylko saméj spekulacji.

Wiosna przecież wabiąc znakomitsze domy Podola Ukrainy, a nawet głębokiéj Rossji uży-

ciem kąpieli morskich jest jedyną chwilą zabaw, na których zapomnianą bywa spekulacyjna interessowność. — Lato z powodu nadzwyczajnych upałów i braku ogrodów publicznych, gdzieby ochłody skosztować można jest najnieznośniejszą porą roku dla mieszkańców Odessy — Wówczas zamożniéjsze osoby wyjeżdzają do Krymu i tam do późnéj zostają jesieni.

Oto niektóre z uwag moich o mieście gdziem z prawdziwém kilka dni czasu przepędził zadowolnieniem; dodam jeszcze: iż miłośnicy literatury winni Odessie i jéj okolicom niejedną słodko spędzoną chwilę na czytaniu utworów nieporównanego twórcy Grażyny.

Wielki ten poeta, zachwycony cudownemi widokami Krymu, przejęty duchem miejscowości, w cichym zakącie Odessy utworzył, a przynajmniej wykończył te pełne fantastycznych uroków godne jego ognistéj imaginacji sonety.

Powszechnie znane jeszcze poemata „Cyganie i Fontanna Bakczysarajska,“ równie wielkiego a przynajmniéj z równém czytanego uwielbieniem poety ruskiego Alexandra Puszkina, który jednocześnie prawie z pierwszym przebywając w okolicach Odessy, równie jak tamten zostawił po sobie miłą pamiątkę swego w Bessarabji i Krymie pobytu; a w godnym swego talentu utwo-

rze, trafnie włożonym w usta starego cygana monologiem oddał winny hołd, pamięci nieporównanego w dziejach literatury łacińskiéj, niepomyślnością losów w te strony, z nad brzegów Tybru zapędzonemu Owidiuszowi.

Godzina wyznaczona nastąpiła; paropływ Piotr Wielki wywiesił znak że jest w gotowości do drogi, nietracąc przeto ani minuty czasu mając już naprzód zamówione sobie na statku miejsce, udałem się do przystani gdziem zastał licznie zebranych passażerów w jedną ze mną puszczających się podróż.

Jg. Dobrski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PODRÓŻ BAWEŁNY

Z RÓWNIN INDYJSKICH

DO EUROPY

I PRZEMIANY JAKIM ULEGA.

Jakże mnie bawi ta Panna Darnielska, rzekła dziewięcioletnia Jadwisia do matki swéj pani N.

ubierając mnie w sukienkę z perkaliny angielskiéj, ciągle mi prawi kazanie: „a niechże panna nie rozedrze„ a niechże od razu nie posmoli, a szczególniéj atramentem nie poleje... i gdy jéj się zapytuję dla czego ta przemowa do sukni? odpowiada:— bo to perkalina angielska, pół-rubla łokieć kosztuje: Mamo! wszak wszystkie perkaliny są z bawełny i ledwie po złotemu za łokieć się płaci?—Tak kochane dziecię rzekła matka ale to nasze krajowe, gdzie nie tyle rękodzielnie wydoskonalone, tak wytwornych perkalin wyrabiać nie mogą.— Dobrze mamo ależ to zawsze tkanka bawełniana... Tak lube dziecię, ale z większemi kombinacyami wyrabiana.—Dla tego kochana mamo jeżeli trzy razy droższa od naszéj, to przecież przesadnie wiele zapłacona.— Posłuchaj dziecię moje i dowiedz się, iż ta skromna tkanka wiele pracy i zabiegów kosztuje tych, co ją przemieniają w piękną, modną i do noszenia sposobną tkaninę. Bawełna rośnie na równinach Indji; krzew ten bardzo tam pospolity. Gdy już owoc dojrzeje, zebrany spuszcza się wodą Gangesu do Kalkuty, stolicy wschodnio-indyjskiéj angielskiego rządu i handlu. Ztąd jakakolwiek cząstka tych 200 miljonów funtów bawełny, które z portów Indostanu corocznie do Anglji wpływają, gdy się dostanie do Londynu, idzie już na osi do Manszestru, gdzie na jednéj z 300 parowych maszyn zamienia się

na strony, potém na metry. — Po takowéj przemianie, przesłaną jest do fabryki bawełnianéj w Paisléj w Szkocji, która w miesiąc wydaje kilkakroć sto tysięcy łokci, najprzedniejszych wyrobów bawełnianych— Gdy w Paislej już na tkaninę jest przeistoczona, idzie do hrabstwa Air, celem otrzymania tamże dalszego przysposobienia. Ztamtąd wraca na powrót do Paislej i tu za pomocą nader wymyślnych urządzeń, nadają téj tkance wzory; potém dostaje się w prassę, a nakoniec kiedy jest gładka, na warsztatach w Daberton bywa wyszywaną— Poczém odbywa nową podróż do bielnika do Reuszen zkąd powtórnie wraca do Paisléj dla otrzymania nowéj formy. W Glasgowie dostaje już ostatnie wygładzenie i wchodzi w handel— Z tego to portu dostaje się do Londynu i przedstawia się jako kropla w olbrzymim oceanie handlu angielskiego —

—Ah! moja mamo ja sądziłam że z téj bawełny tylko knoty urabiają— Tak kochane dziecię, gdyby nie pomoc mechaniki, chemji i sztuki rysowania, te lekkie kosmyki, przez indyanina na zaroślach bawełnianych zbierane, ten surowy płód bez pomocy sztuki, zapewnie do niczego innego nie byłby zdatnym jak chyba do utrzymania słabego światła— Moja kochana matko jakże pożytecznym jest przemysł... I dodaj dziecię, nauki przyrodzone, technologja, bo wiele

rzeczy tym sposobem potrzeby nasze zaspakaja i życie uprzyjemnia — Teraz moja mamo czuję że takowy perkalik nie jest drogim— A wieluż ludzi winno utrzymanie tym rękodzielniom, ochronienie się od nędzy, bo jakżeby można bez nich znaleść zatrudnienie znacznéj części mieszkańcom każdego ludnego państwa? — To prawda mamo rzekła Jadwisia będę ochraniać perkalinę angielską, aby więcéj zużyć naszej krajowéj, wszak i my mamy także rękodzielników?

J. W.

NIEJEDNAKOWI BRACIA.

(*Treść téj powieści wzięta z niemieckiego*).

Zdaje się że dwaj bracia, lub dwie siostry, istoty tak bliskim przyrodzenia węzłem złączone, i jednakie odbierające wychowanie, jedne uczucia, jedne myśli, jedne skłonności miećby

powinny; inaczéj przecież w swych niedościgłych wyrokach rozrządziła Opatrzność. Synowie pierwszych rodziców naszych jak różne w swych piersiach serca nosili!.... gdy jeden pełen najtkliwszéj pobożności, składa Stwórcy dziękczynne ofiary, drugi w świętokradzkich rękach trzyma bratobójcze narzędzie. Równie i w naszych czasach różnica między rodzeństwem nader widoczną bywa; częstokroć jedno łagodne, posłuszne, pilne, a drugie uparte, leniwe i krnąbrne, ale też miłość powszechną nagrodą jest pierwszego, gdy tymczasem drugie wstręt tylko i niechęć wzbudza; bo Bóg sprawiedliwy jak złego nie zostawia bez kary, tak równie nagradza dobroć, i niewinne dziecię z niebezpieczeństwa przez swego anioła wybawia. Powieść następująca przykładem dowiedzie to, co dotąd powiedziałam. Mateusz pracowity wieśniak, mieszkający w jednéj z najżyźniejszych okolic kraju naszego, miał dwóch synów, starszy Kazimierz złośliwy, chytry nieposłuszny, był postrachem dzieci całéj wsi ojcu, ani matce, w niczém pomocnym być nie chciał, krył się gdy go Mateusz chciał z sobą wziąść w pole, a gdy poczciwa Katarzyna niemogąc sobie dać rady w zapędzaniu krów, trzody, lub zwabianiu drobiu, wołała Kazimirka na pomoc, niedobry chłopiec siedząc za płotem, lub w konopiach śmiał się tylko z jéj kłopotu. Nieprze-

puszczał nawet o kilka lat od siebie młodszemu bratu Karolowi (który tworząc najbardziéj uderzającę sprzeczność z złośliwym charakterem Kazimierza, łagodnym był jak baranek), bił go, wydzierał mu jedzenie, przymuszał wykonywać jemu polecone prace. Znosił to wszystko dobry i potulny Karolek, przytém słuchał ślepo rodziców, bawił się spokojnie z rówiennikami swemi, ustępował im często, nieraz wstrzymywał drobnemi rączkami swemi psów, któremi brat jego szczuł przechodzących żebraków, nie raz śniadanie, lub podwieczorek oddawał biedniejszym od siebie dzieciom, w kościele zachowywał się spokojnie, i modlił nabożnie, lub słuchał z uwagą nauki kapłana, wtenczas gdy Kazimirek myślał o wypłataniu komu nowego figla. Martwili się niesłychanie poczciwi rodzice, bo lubo zrodzeni w klassie zupełnie pozbawionéj oświecenia, mieli uczucie prawości, od natury w duszy człowieka zaszczepione, a bardziéj jeszcze ugruntowane w świątyniach Pana, gdzie słowo Boże równie dumnego bogacza, jak i kmiotka w siermiędze powinności jego naucza. Karali surowo wszystkie przestępstwa młodzieńca, a widząc go niepoprawionym znosili bez szemrania tak wielkie nieszczęście. a całą nadzieję pociechy na téj ziemi pokładali w młodszym swym synu, obiecując sobie że on będzie

podporą ich starości.— Pewnego dnia w końcu czerwca, wysłała matka obudwóch do lasu dla zbierania poziomek, które dziedziczce wioski zanieść miała; dawszy im w koszyk chleba, i sera, aby nie wracali prędko, dopiero z obfitym zbiorem. Szli obaj bracia szybkim krokiem, już to przedzierając się przez gęste rozległego boru zarośla, już to przez umajone ścieszki: gdy nakoniec garnuszki ich napełnione były dojrzałemi jagodami, powiedział Kazimierz Karolowi, że już czas zjeść przyniesioną żywność, i powrócić do domu— usiedli zatém przy drodze. Młodszy jednak tak był utrudzony ciągłém bieganiem, i nieznośnym dnia upałem, że zaraz usnął. Kazimirek wtedy rzucił się chciwie na jedzenie, a gdy już ani okruszki nie było, zabrał uzbierane razem poziomki, i zostawując małego brata na nieznanym mu gościńcu, wracał zwolna do domu, zabawiając się jeszcze po drodze łamaniem prętów, wybieraniem gniazd ptaszkom, i nadcinaniem drzew ulubionym nożykiem, który go nigdy nie odstępował, jako wierny pomocnik psot rozmaitych. Już ostatnie słońca promienie skryły się za góry, już zmrok zaczął osłaniać ziemię, chłód przyjemny równie ludzi, jak zwierzęta ożywiał, słowik nucił wdzięczne swe pienia w krzewinie, gdy Karolek ocknął się z snu głębokiego, a widząc się samym wie-

czór, i w nieznanym miejscu, zaczął płakać, ręce łamać, i tak głośne i bolesne wydawać krzyki, że niemi zagłuszał chóry leśnych śpiewaków. O! ja biedny, nieszczęśliwy, opuszczony! wołał tarzając się po ziemi z rozpaczy, i strachu; cóż pocznę, jeźli noc całą w lesie sam jeden będę musiał przepędzić, cóż się ze mną stanie? o! ja biedny nieszczęśliwy! Lecz gdy tak jęki i żale rozwodzi, nadjechał jakby z nieba na ratunek jego zesłany, pan jakiś w pięknym, czterma dzielnemi końmi zaprzężonym pojeździe. Pan równie tkliwy jak bogaty, kazał stanąć woźnicy a jednemu z swoich służących przyprowadzić płaczące dziécię, i wypytywał go się łagodnie, o przyczynę łez i trwogi, a dowiedziawszy się co zaszło, chciał go natychmiast odwieść rodzicom, ale Karolek tak był jeszcze małym, że ani ich, ani wioski nazwiska niewiedział. Po licznych lecz daremnych w tym względzie pytaniach, nie wiedząc gdzieby się udać z chłopczykiem, umyślił nasz litościwy podróżny zabrać go z sobą — ruszył więc w dalszą drogę i dopiero po kilkogodzinnéj jeździe, przy srebrzystym blasku księżyca, stanął w swym zamku w śród nocy. Tam Karolek opływając we wszystko co wygodę i przyjemność życia stanowi, zaczął po trosze mniej tęsknić, i nie tak obfite łzy wylewać, po stracie rodziców; a

że był dobry, usłużny, spokojny, starający się każdemu podobać, zyskał przywiązanie nietylko pana domu; ale całéj jego familji, i domowników; zwierzęta go nawet lubiły, bo je karmił, głaskał, i pieścił. Rozsądny opiekun jego nie chciał mu wyższéj nad urodzenie jego dawać edukacji, posyłał go tylko do szkółki, gdzie się nauczył czytać, pisać, trochę rachować, nadewszystko zaś znać, i wypełniać przepisy religji i moralności, a gdy wyrosł dał mu dom, obszerne grunta, konie, bydło, słowem: to wszystko co zamożność stanowi rolnika. Jak w pierwszych latach życia, w rodzicielskiéj chatce, późniéj wśród licznych dworzan możnego pana, i w szkole, tak i na swojém gospodarstwie umiał Karol zyskać powszechną przychylność, postępując ciągle drogą bogobojności i cnoty, niosąc pomoc biedniejszym, i zgodnie ze wszystkimi żyjąc. Między dziewczętami wioski, nie szukał najbogatszéj; lecz najpracowitszą, i najlepszą wybrał sobie za żonę. Hoża, czynna Józefa uprzyjemniała życie jego, Bóg im błogosławił, wszystko im się dobrze wiodło, szczęśliwym był zupełnie Karol, i tylko wspomnienie rodziców, i zawsze mu drogiego lubo nie dobrego brata, mięszało czasami spokojność jego." Gdybym mógł przynajmniéj wiedzieć czy żyją, mawiał z westchnieniem do żony, gdybym mógł ich w sta-

rości wspierać, i cieszyć, gdybym bratu memu mógł powiedzieć że mu przebaczam złe, ktore mi przez nieroztropność swoją wyrządził, wtenczas nic by mi już do zupełnego szczęścia nie brakowało — Pewnego dnia Karol wracając po pracy do domu, dumał o swojéj rodzinie, gdy dochodząc już do wioski spotkał żebraka okrytego łachmanami, z siwym włosem, z wynędzniałą i pożółkłą twarzą, który go prosił o jałmużnę — Poczciwy rolnik nie odmawiał jéj nikomu, ale że w téj chwili nie miał nic przy sobie, czémby mógł wspomódz biednego, kazał mu iśdź z sobą do domu, a że w rysach tego człowieka upatrywał ślady zgryzoty, i niezwykłego cierpienia, zaczął go się wypytywać z kąd jest, i co go do tak nędznego przywiodło stanu? Nieszczęśliwy który mówiąc o swoich cierpieniach, znajdował niejaką w nich ulgę, odrzekł w te słowa — „Mój dobry panie gospodarzu! nędza moja i przedwczesna starość są karą Boga, za popełnione w młodosci przestępstwa, ja bowiem będąc przed laty wysłanym do lasu z małym bratem, zostawiłem go śpiącego; rodzice moi widząc żem sam powrócił udali, się natychmiast do boru, lecz zanim tam zaszli, noc już zapadła, i nigdzie go znaleść nie mogli; — na drugi dzień próżne były ich poszukiwania, i w lesie, i w okolicy, biednę dziécię zostało bez

wątpienia przez dzikie zwierzęta pożarte. Najokropniejsza boleść przyprawiła o ciężką i długą chorobę oboje rodziców, a mnie sprawcę tych nieszczęść o wieczną sumienia zgryzotę. Od tego czasu zaprzestałem wprawdzie dawnych psot moich, stałem się lepszym, ale żal i smutek, nigdy mię nie odstępowały, i sprawiedliwa ręka Boga ciężyła nademną. Nic mi się odtąd nie wiodło; gdym poszedł na swoje gospodarstwo, zaraza kilkakrotnie zniszczyła moją chudobę, a nakoniec pożar obrócił w perzynę chatkę moją, i całe zabudowanie, ja zaś zrażony ciągłemi przeciwnościami, zgnębiony umartwieniem, niemiałem dłużéj odwagi opierać się ciągłym klęskom, ani zostawać we wsi, która była świadkiem moich przestępstw, porzuciłem wszystko, i z kijem tylko w ręku, udałem się na pielgrzymkę do miejsc świętych. U stóp ołtarza cudownéj w Częstochowie Matki Boskiéj błagałem win moich przebaczenia, i teraz oto z trzechletniéj wracam wędrówki, i pośpieszam na miejsce urodzenia chcąc raz jeszcze ujrzeć dawców życia mego, których zostawiłem w zgryzocie i ubóstwie, gdyż i oni po stracie ukochanego dziecięcia, zniechęcili się do pracy, i bardzo podupadli, lecz Bóg wie czy ich jeszcze zastanę przy życiu! Tu skończył ubogi łkaniem, i łzami przerywane opowiadanie, a Karol równie jak on

rozczulony, rzucił mu się na szyję wołając!" o mój drogi, mój kochany bracie, ciebież ja to oglądam! I weszli uszczęśliwieni bracia (gdyż ów żebrak był to Kazimierz) do domu Karola, przed którego drzwiami już się wtedy znajdowali. Józefa uwiadomiona o wszystkiém, lepszą niż zwykle sporządziła wieczerzę, mąż jéj opatrzył gościa przyzwoitą odzieżą, a na drugi dzień, zaraz udali się oba do rodzinnego gniazda, gdzie ich z niewypowiedzianą radością przyjęli zgrzybiali rodzice, którzy na usilne prośby młodszego syna przenieśli się do domu jego. Dziedzic włości dowiedziawszy się o tém zdarzeniu, nadał Kazimierzowi grunta i pomieszkanie, a on przy spokojności i dobrym bycie odzyskał zdrowie i siłę. Rodzice wolni od trudów, i pracy spokojnie mieszkali przy dzieciach, i wszyscy o doznanych zapomnieli nieszczęściach.

Emilia Płużańska.

MIŁOŚĆ PRAWDY.

Święty Jan Kanty *) wracając raz do domu od chorój staruszki, przy którój łożu dopełniając powinności sługi bożego, udzielając religijnéj pociechy, tak radą jak i modlitwą przyczynił się do powrócenia jéj zdrowia, wdzięczny Bogu za to że mu dozwolił usłużyć bliźniemu, szedł do cichego swego schronienia, odmawiając pacierze,— Wieczór się zbliżał, kiedy znużony długą drogą kapłan, zboczył do lasu, by spocząć trochę, i przed skwarném jeszcze schronić się słońcem; alić zaledwie znikł mu z oczu gościniec, gdy kilku zbójców wypadłszy z gęstwiny otoczyło świętego męża, domagając się pieniędzy, i grożąc mu śmiercią, jeżeli dobrowolnie nie odda im wszystkiego co ma przy sobie.

*) Święty Jan Kanty słynny równie z cnót jak z nauki, tak nazwanym został od miasteczka *Kanty* czyli *Kenty* w którém się urodził, miasteczko to położone w Galicji na granicy Szląska.

— Śmierci się nie boję, odrzekł Jan spokojnie, bo ta jest w ręku Boga, lecz aby was od zbrodni zabójstwa wstrzymać, oddaję chętnie wszystko co posiadam.

— Przysiąż nam że nie masz nic więcéj przy sobie—· zawołali zbójcy.

— Bóg mi świadkiem, że to ostatek tego co miałem!

Nie nalegając dłużéj złoczyńczy, uszli w zarośla, a Jan święty szedł dalej drogą do domu, dziękując Bogu że go wyrwał z niebezpieczeństwa, gdy nagle ściągnąwszy rękę do kieszeni, spostrzegł z przerażeniem że w niéj jeszcze sztuka monety została.

Zmieszany, strwożony że mimowolnie popełnił kłamstwo, wraca spiesznie w stronę w którą odbiegli zbójcy, i po długiém szukaniu znalazłszy miejsce ich spoczynku rzecze do zdziwionych powrotem jego:

— Darujcie! skłamałem mimo chęci; oto jeden jeszcze pieniądz pozostał mi w kieszeni, weźcie go!

Złoczyńcy zdziwieni taką miłością prawdy i cnoty, padli na kolana przed sługą bożym, i wracając mu zabraną sumkę, prosili by ją między ubogich rozdzielił, a czasem i za nich się pomodlił.

My zaś zachowajmy w sercu ten przykład, że zawsze i wszędzie, względem Boga i ludzi,

względem cnotliwych i występnych, w prawdzie i szczerości postępować należy, a jeżeli nam się kiedy choć mimowolnie z téj drogi zejść zdarzy, wracajmy na nią czemprędzéj, bo im daléj tém trudniéj, im późniéj tém gorzéj.

P. K.

MODLITWA DZIECIĘCIA.

W małém łóżeczku spoczywa śliczna dziewczynka, uśmiech igra na jéj usteczkach, a długie czarne rzęsy odbijają przy rumianéj twarzy. O! jakieś słodkie marzenie ukołysało główkę dzieciny, śni może że igra z aniołkami niewinnemi jak ona. W téj chwili drzwi uchylają się lekko, młoda kobieta wchodzi do pokoju i staje nad łóżeczkiem. Patrzy długo na dziewczynkę, a z jéj wzroku poznasz matkę co całe swe szczęście składa w lubéj dziecinie; stojąc nad uśpioną, myślą przebiega daleką przyszłość jakiéj pragnie, o jakiéj marzy dla swéj Marji i dla siebie saméj, potém spogląda ku niebu jakby dziękując Bogu że ją obdarzył kochającém po-

słusznem dziecięciem i znowu pochyla się nad głową uśpionéj i wyciska pocałowanie na jéj białém czole. Marja otwiera błękitne oczki i obejmuje drobnemi rączkami szyję matki.— Wstawaj Marjo, pójdziemy do ogrodu użyć świeżego powietrza przed śniadaniem.— Do ogrodu? odpowiada zdziwiona Marja przecierając oczki, czyś zapomniała mamo że wczoraj tak mocny deszcz padał, o mój Boże! kiedym patrzyła z okna jak piękne kwiatki zmoczone schyliły się smutnie ku ziemi, doprawdy mamo, płakać mi się chciało!

— Pójdź jednakże, a zobaczysz czy i dziś tak smutno i opuszczono w ogrodzie.

Marja zwolna opuszcza łóżeczko, matka pomaga jéj się ubierać, i wkrótce schodzą obie do ogrodu. Z niechęcią snem rozmarzona dziewczynka postępuje za matką, ale gdy weszły w ulicę wysadzoną kwiatami, balsamiczna woń uderza je nagle, Marja wysuwa zwolna rączkę z dłoni matki, bieży ochoczo sama, wszędzie nowa przyjemność ją czeka, tu lewkonje wabią zapachem i świeżym szkarłatem, tam narcyz swą białością i wonią, owdzie śliczne różnobarwne tulipany postawą, tam mirt zielonoscią zachwyca, gdzie niegdzie jeszcze rosy kropelka jak łza błyszczy na listku akacji; a tutaj promienie słońca przedzierając się przez liście orzecha lub krzew jaśminu odcieniami tęczy, mienią się i migocą w obszernych szybach altany. Zdala sły-

chać śpiew słowika, a wysoko wysoko zda się że w obłokach skowronek rozwodzi swe pienia. Nad głowami i w około ramion igrają to złociste, to czekuladowe, to białe jak płatki śniegu motylki — Cała natura odżyła po obfitym deszczu wczorajszym, wszystkie stworzenia cieszą się swém krótkiem życiem, i każde jak może chwali Stwórcę i Pana: Serce Marji przepełniło się radością, i z rozpromienioném licem, z uśmiechem szczęścia rzuca się na łono matki.

— A co? gniewasz się jeszcze Marjo na deszcz wczorajszy? byłżeby ten poranek tak miły, tak świeży, gdyby deszcz dobroczynny, nie ożywił ziemi i kwiatów; nie wrócił wesołości ptaszkom i motylkom? spyta matka zachwyconéj Marji: O! jakże dobrym jest Ten moje dziecię, co to wszystko stworzył, a stworzył i urządził dla szczęścia i przyjemności człowieka, jakże go za to kochać i czcić powinniśmy. Kochaj i ty Boga! kochaj Go Marjo całą mocą czystego serca — Mamo! zawoła Marja ze łzami w jasnych oczkach, naucz mnie długiéj, bardzo długiéj modlitwy, abym zaraz jutro mogła podziękować dobremu Bogu za jego dary, i okazać że go kocham — Marjo! odpowiada matka, te łezki które ci płyną w téj chwili po twarzy są najpiękniejszą modlitwą, kochaj rodziców, bądź posłuszną i dobrą, a okażesz najlepiéj że Boga kochasz i czujesz Jego dobroć.

A. z O. T.

Z HISTORJI MIASTA LWOWA.

1. PIERWSZA OSADA.

Wiadomo już bez wątpienia czytelnikom Zorzy, że miasto Lwów założone około roku 1260 przez Leona księcia halickiego i przeznaczone niejako na schronienie przeciw napadom Tatarów, od założyciela swego nazwane, najprzód z Ruska *Lwihorod* późniéj po łacinie *Leontopolis* a nakoniec polskie przybrało nazwisko.

Wznosił się szybko gród nowy, bo nie wiele jeszcze w halickiéj ziemi miejsc warownych było, a dzikie hordy rozpuszczając po niéj szerokie zagony, nie szczędziły ani wieku, ani płci, ani domów bożych, ani majątku i znaczenia mieszkańców, każdy zatém pragnący ocalenia zdążał ku miastu Leona, tém pewniejszy obrony i opieki, że sam książe obrał w niém mieszkanie.— W krót-

ce téż nie tylko Rusini osiedli zamek książęcy; miasto podzielono na trzy części, jedna dla dziedzicznych Leona poddanych, druga dla żydów i Saracenów (jak wówczas Turków zwano) trzecia dla Ormijan, którzy wygnani z Azji tu się schronili, i dla Tatarów, którzy już to w bitwach zabrani, już dobrowolnie przeszli do służby Leona, i za opłaceniem pewnego podatku otrzymali pozwolenie mieszkania i budowania się w mieście.— Dziwna rzecz! Tatarzy zdobywcy Azji większéj, i Ormianie, czyli Armenijanie zwyciężeni i rozproszeni przez nich, w jednym i tym samym kąciku znajdują schronienie u halickiego księcia, i żyją z sobą wzgodzie przez długie lata, a w końcu nawet w familijne wchodzą związki.

Najwięcéj jednak przyczyniła się do zaludnienia Lwowa Konstancja córka Beli króla węgierskiego, wdowa po księciu Danielu i przybrana matka Leona.

Za tą niewiastą pobożną, dobroczynną, czystych i świętych obyczajów przybył w krótce poważny poczet duchowieństwa, księża Dominikanie i Franciszkanie dla których u szanującego ją pasierba mieszkanie i stosowne zaopatrzenie wyrobiła; ale nadewszystko przybył rozczulający poczet Chrześcijan, których bogobojna księżna z niewoli tatarskiéj wykupiła, nie tylko majątkiem swoim, ale

nawet w braku żądanéj od barbarzyńców summy, oddała wszystkie swoje klejnoty, a nawet sprzęty kosztowne, które jeszcze z ojcowskiego wywiozła domu.

Cóż dziwnego, że po takiém zaczęciu historja miasta Lwowa piękną i szlachetną była? — Wszakże każdemu dziełu rozpoczętemu w bojaźni Boga i miłości bliźnich, Wszechmocny błogosławi.

2. PRZEDDZIEŃ Stéj KATARZYNY.

Rok 1498 nieszczęśliwym był dla całéj Czerwonéj Rusi, i zatrważającym dla samego Lwowa, nietylko bowiem Stefan Wojewoda wołoski spustoszył w maju okoliczne miasteczka i wioski, ale nadto przy końcu lata Tatarzy i Turcy sprzymierzeńcy jego wróciwszy pod Lwów, zabierali resztę mienia wiejskich mieszkańców, i ich samych w ciężkie powiązawszy pęta, gromadą przed swoim pędzili obozem. — Próżno mieszkańcy miasta wyglądali zimnéj i słotnéj jesieni, przad którą-to porą hordy do ciepłego Azji klimatu nawykłe uchodziły w swoje koczowiska; — jakby na utrapienie i tak już smutnego ludu, nietylko Wrze-

sień lecz i cały Październik ciepły, pogodny przypominając najezdnikom rodzinne ich kraje do większéj ich jeszcze śmiałości i swawoli podbudzał.

Nadszedł Listopad, lecz oprócz lekkich przymrozków nic jeszcze oczekiwanéj nie zwiastowało zimy.— Okropny to był czas dla Lwowa i jego okolic, lubo miasto obronném było, lubo na wałach i basztach nie brakowało ludzi ni broni, przecięż niedostatek w mieście był wielki. Brakowało wszystkiego; odzieży, bo przez cały rok prawie nie było handlu ani z obcych stron dowozu; żywności, bo Tatarzy zaległszy szeroko błonia, ogłodzili całą okolicę, nadewszystko zaś brakowało już serca i odwagi, bo przez długi czas różnemi klęskami obciążeni mieszkańcy, upadli na duchu, tém bardziéj że Tatarzy ośmieleni bezkarnością uważali już miasto za swoją własność, i nie spieszyli się nawet by sobie jego otworzyć bramy.

Smutek i zwątpienie zaległy dawną Leona stolicę, tylko jeszcze po kościołach głosy kapłanów wznosiły się do Boga z prośbą o wsparcie i opiekę, gdzie niegdzie kobiece jęki wtórowały ich modłom, płacz głodnych dzieci, wycie psów, napełniało powietrze, słowem Lwów najokropniejszy w ówczas przedstawiał obraz.

Nagle zwiększyło się jeszcze przerażenie Lwo-

wian, po kilkodniowym deszczu zabłysły jasne słońca promienie, a ożywieni niemi Tatarzy i Turcy zaczęli gotować się do szturmu miasta, natrząsając się z środków obrony które i Lwowianie gromadzili za wałami, i zapewniając że nazajutrz gród i mieszkańcy jego w ręce zwycięzców wpadną; — tu gwar i zamieszanie napełniło miasto, Lwowianie pewni bliskich mordów i rabunku, po kościołach, piwnicach i zwaliskach szukali schronienia dla siebie i swego mienia, a pewność śmierci nazajutrz nastąpić mającéj, ponurym piętnem wystąpiła na wszystkie twarze.

Nagle wśród niesfornego zgiełku, zabrzmiały zgodnie dobrane głosy, oddźwięk pobożnych pieni rozległ się po krakowskiém przedmieściu;— z kościoła N. M. P. Snieżnéj wytoczyła się uroczysta processja, na czele kapłani, za nimi dziewice w bieli przybrane, daléj bractwa i cechy bez chorągwi, bez okazałości, w skrusze i pokorze, pokutne psalmy śpiewając szli ulicami miasta; przy każdym kościele orszak pobożnych zwiększał się duchowieństwem, na każdéj ulicy łączyli się z nim potrwożeni mieszczanie, i wkrótce ogromne pasmo różnobarwnych odzieży wiło się nieskończonemi skrętami po ulicach, a błagalne głosy wzbijały się w niebo.— Pomiędzy dziewicami idącemi przodem kilkanaście ich szło

bosemi nogami i z nakrytą twarzą, młode Lwowianki, którym na chrzcie świętym imie Katarzyny nadano składały to grono, był to bowiem przeddzień ich patronki, a one chciały wybłagać wstawienie się jéj do Boga za uciśnionóm miastem.

Turcy rozłożeni obozem po wzgórzach panujących nad wałami, patrząc na ten obrzęd, śmieli i natrząsali się z pobożności Lwowian mówiąc;— „chodźcie sobie dziś, chodźcie;— jutro my z wami pochodzim.“— i gotowali się do zdobycia miasta, czyścili szable, rozwiewali na pogardę buńczuki, i inne znaki swoje, a Lwowianie coraz gorliwiéj się modląc, dzień ten po większej części aż do późnego wieczora w świątyniach Pana spędzili.

Nazajutrz, któż opisze podziwienie miasta; zamiast wojennego zgiełku, głęboka cisza od rana w tatarskim panuje obozie, mróz w grudę ścisnął zwilżoną ziemię, a śnieg na pół stopy wysoko,niby biały kobierzec przysypał całą okolicę.— Tatarzy nieradzi téj zmianie rozpostarli namioty, i otuliwszy się w kożuchy postanowili dzień ten przeczekać, rachując na pewną w powietrzu zmianę.— Tymczasem zimno wzrastało nadzwyczajnie, tatarzy mocniéj przylegali do derek i wojłoków, Lwowianom rosło serce, pomnażał się zapał i wdzięczność ku Bogu;-- w przeciągu

kilku dni, już nie miasto lecz obóz był w niebezpieczeństwie; — suche mrozy do kilkunastu dochodziły stopni, próżno Tatarzy i turcy okrywali się czém mogli, próżno zarzynali konie, i w ich wnętrznościach szukali chwilowego ciepła, nie mogli się oprzéć srożącemu zimnu, a gdy się jeszcze głód do klęski ich przyłączył, gdy jeńcy polscy i ruscy nabrawszy otuchy pozrywali swe więzy, 40,000, dzikich Azji synów zaległo halickie błonia, i ledwie reszta w najopłakańszym stanie powlokła się do Mołdawji.

Lwowianie oswobodzeni od tak bliskiego niebezpieczeństwa, gorące dzięki składali niebu, a na pamiątkę szczęśliwego wybawienia przez kilkanaście lat ponawiano w wigilją Ś. Katarzyny uroczystą processją; zwyczaj ten w późniejszych klęskach poszedł jak wiele innych w zupełne zaniedbanie.

---

3. ZAKŁADNICY.

W dwa blisko wieki, kiedy w r. 1672 Turcy wziąwszy Kamieniec rozleli sie po kraju, a ogromne ich wojsko pod dowództwem Kapudana

baszy pod Lwów podstąpiło, mieszkańcy ufni w pomoc Najwyższego, wzięli się do obrony gorliwie; — ale cóż zdołała począć garstka załogi z 1,400 ludzi złożona, do której przyłaczyła się niemała liczba ochotników nieznających ani obrotów, ani karności wojskowéj, przeciw kilkudziesięciu tysiącom Turków Tatarów, i biegłych w wojnie, a chytrych Wołochów?— Przez cały tydzień sypali Turcy rozpalonemi kulami na miasto, pracowali nad podziemnemi przekopami, przez cały tydzień równie lwowianie strzały strzałami odpierali, tajemne drogi napełniali wodą, i wszelkiemi sposobami bronili muzułmanom do swoich murów przystępu, ale w końcu kiedy sił i odwagi zabrakło, a Kapudan basza przyjmując w obozie swoim posłów królewskich do Porty wyprawionych, oznajmił zawieszenie broni, lwowianie korzystając z czasu, wyprawili także posłów do niego w celu zawarcia układów, a już to dla okazania dobrych swych chęci już wiedząc że w obozie tureckim zbywa na żywności, posłali ziarna, miodu owoców i innych przysmaków.— Kapudan basza przyjął te dary, lecz oświadczył zarazem że nie tak głodnym pod Lwów przyszedł by go żywnością zaspokoić można, że jak struś, pragnie żelaza, a mianowicie kluczów od bram miejskich, i że jeżeli w przeciągu czterech dni miasto się nie

podda, lub 100,000 dukatów okupu nie złoży, w perzynę obróconém zostanie.

Smutni posłowie wrócili ztą odpowiedzią a wnet rada miejska uznając że lepiéj w pieniądzach niż w życiu obywateli i kosztownych budynkach złożyć nieprzyjacielowi ofiarę, poczęła od wszystkich w miarę możności wybierać składki;— z rozmaitém sercem dawano one, było szemrania i narzekań nie mało, a rzeczywiście mieszkańcy wycieńczeni poprzednio kilkakrotnemi okupami nie byli w stanie złożyć tak ogromnéj summy; próżno duchowieństwo pootwierało skarbce kościelne, próżno z nich srebrne i złote wydobywano naczynia, wszystko nie wystarczało.— Nadszedł dzień wyznaczony na złożenie okupu, Kapudan-basza wysłał do Lwowa dwóch Turków i jednego Tatara z swego orszaku dla odebrania umówionéj summy, lecz gdy im zaledwie połowę jéj wyliczono, powrócili do wodza swego pytając jak postąpić mają. Nieubłagany Turek nie chciał odstąpić od miasta inaczéj, aż mu lwowianie albo złożą resztę okupu, albo się zobowiążą do późniejszego wypłacenia go, a dla pewności w dotrzymaniu przyrzeczenia dwunastu z pomiędzy siebie wybranych obywateli w zakład mu oddadzą.

Oburzyli się lwowianie na takie żądania, i postanowili raczéj na nowo wziąść się do oręża

i siłę męztwem odeprzeć, niż się dobrowolnie w turecką poddać niewolę. Inaczéj jednakże poglądali na tę sprawę radcy miejscy, i przedniejsi wiekiem i rozsądkiem mieszkańcy; łatwo im było poznać że między wolnością dwunastu osób, a bytem miasta i życiem mieszkańców jego nie należało się wahać w wyborze, pozostawała tylko trudność, kogo i jak z pomiędzy obywateli na ofiarę wybrać.

Wkrótce, poradzili sobie radcy miejscy; do sal ratuszowych wezwano znakomitszych lwowian, a reszta ludu tłumnie do koła zebrana przez otwarte okna, mogła być widzami i świadkami narad, tyle na los całego grodu wpływać mających.— Po chwilowym uciszeniu, Bartłomiéj Zimorowicz radca, zabrał głos, i przedstawiwszy jak pięknie i szlachetnie by było gdyby się kilku obywateli za całe miasto wystawić chciało, przytoczywszy przykłady podobnego poświęcenia z historji starożytnych ludów — dodał:

— Zaufanie miasta oddało mi urząd radcy, używałem go dotąd ku dobru i obronie moich współobywateli, dziś kiedy o nie więcéj jak kiedykolwiek idzie, mam prawo podnieść głos, i domagać się by mnie jako pierwszego policzono między zakładnikami oddającemi się w ręce Kapudana-baszy.

— Mnie drugim policzcie! zawołał Jan Gąsiorowski drugi radca.

— Nie! nie! odezwali się ze wszech stron mieszczanie; — na to nie pozwolim! któżby tu radził i bronił miasta gdyby was nie stało?

Ale przykład szlachetnych mężów wzbudził chęć naśladowania ich. — Poczęto się naradzać, i wnet Andrzéj Szymonowicz doktór medycyny, miłość ogółu nad domowe przenosząc korzyści stawił się w miejsce Zimorowicza jako pierwszy zakładnik; za nim Jan Studnicki assesor sądowy odezwał się z takąż ofiarą, lecz przytomny temu syn jego młodzieniec pełen nadziei i zdolności zastąpił zgrzybiałego starca. — Daléj wybrano i przyjęto na zakładników Andrzeja Dobrzyckiego i Edwarda Wentze Polaków, Gabryela i Mikołaja Bernatowiczów tudzież Jakóba Jaszkiewicza Ormijan. — Stefana Lauryszewicza i Piotra Affendyka Rusinów; — w końcu dobrowolnie oświadczył się jeszcze Jan Czechucki i syn jego biegły w sztuce lekarskiéj. — Dwunastego nazwiska nie zachowały kroniki.

Dnia 5 Października, dwunastu bohaterów pożegnawszy rodziny i domowników swoich, niemniéj wszystkich współmieszkańców, odprawiwszy modły w właściwych swoim wyznaniom świątyniach w towarzystwie ogromnego tłumu ludu udało się do tureckiego obozu, i tam raz się

jeszcze pożegnawszy, i poleciwszy opiece miasta domy i rodziny swoje, oddali się w moc Kapudana baszy, który natychmiast dozór nad nimi zlecił Adze Janczarów.

Nazajutrz chorągiew powiewająca nad tureckim obozem, zapowiedziała rychłe ustąpienie nieprzyjaciół.—Radość napełniła serca lwowian, z wdzięcznością garnęli się do kościoła, odkopywali poukrywaną własnosć i wracali z nią do domów, błogosławiąc poświęcenie tych, którzy z narażeniem siebie ocalili miasto.

Czy i jak szlachetni ci mężowie powrócili do miasta, niema nigdzie wzmianki; jednakże ciągłe wojny, i przenoszenie tureckiego obozu z miejsca na miejsce wnosić każą, że nie będąc więzieni na słowo, lecz pod janczarską zostając strażą, potrafili wstrząsnąć swe pęta; tém bardziéj zdaje się potwierdzać to mniemanie okoliczność, iż długo potém a nawet dotąd istnieją we Lwowie tych samych nazwisk rodziny.

4. ZNAKOMICI LWOWIANIE.

Wspomnę tu kilku z znakomitych mężów, ktorzy albo się urodzili we Lwowie, albo też wsła-

wili się w tém mieście mieszkając w niém, lub piastując jakie urzędy.

Jan Dymitr z Solik Solikowski Arcybiskup lwowski nietylko że był ojcem ludu, przykładem duchowieństwa, lecz w życiu i obyczajach słodkim był i łagodnym, wolny czas od obowiązków naukom poświęcał, i tak w nich był biegłym, że nietylko od swoich, lecz i od postronnych dziwem umiejętności nazwanym został.— Pragnął również rozkrzewiać umiejętności o ile to w jego było mocy, i dla tego częstokroć niespodziewanie zwiedzał szkoły, wyrozumiewał czegoby się młodzież uczyła, wypytywał ją, a odpowiadającym przyzwoicie stosowne nagrody rozdawał. — Pozostawił oprócz *Kommentarzy historycznych* drukowanych w r. 1647 w Gdańsku, kilka szacownych rękopismów, które Arcybiskup Tarło zgromadził, i złożył w Archiwum kościoła metropolitalnego we Lwowie.

Pod nazwiskiem Lwowczyk, czyli Leopolita kilku się mężów wsławiło.

Jan Lwowczyk zmarły w r, 1572 mistrz nauk wyzwolonych i pierwszy tłómacz biblji na język polski.

Jan Lwowczyk, drugi tegoż imienia, teolog i kaznodzieja wielce od Piotra Tomickiego biskupa krakowskiego ceniony.

Marcin Lwowczyk, najsławniejszy organista za czasów Zygmunta Augusta.

Łukasz i Gabryel Lwowczyk, obadwa dominikanie i dobrzy kaznodzieje, zostawili po sobie ważne pisma w przedmiocie duchownym.

Fabijan Birkowski, dominikanin, rodem ze Lwowa, równie znakomity cnotliwém życiem, jak wymową i głęboką nauką, biegłym był w starożytnych językach, śmiałym w obronie prawdy, i przeto wielce od Władysława IV króla polskiego poważany,— Oprócz licznych kazań, pisał również wiersze łacińskie, i wydał w języku greckim listy S. Ignacego bisk. Antyochji które był w szacownym odkrył rękopimśie.

Grzegorz Piramowicz, lwowianin, zawczasu stan duchowny sobie obrawszy i polubiwszy nauki, był najprzód nauczycielem młodych Stanisława i Ignacego Potockich, póżniéj sekretarzem kommissji edukacyjnéj, nakoniec kanonikiem katedry kamienieckiéj i proboszczem w Kurowie.— W przeciągu sześćdziesięciosześcioletniego żywota, tak ludzkości jak naukom wielkie swiadczył przysługi;— cichy; bogobojny, troskliwy o wiarę i moralność, dobroczynny, był zawsze i wszędzie tam gdzie cóś dobrego zdziałać było można.— Same pisma jego dowodzą jak różnemi sposobami starał się być użytecznym.— Napisał on

między innemi, dzieła p. t. *Wymowa i poezja dla szkół n.— Powinności nauczyciela mianowicie w szkołach parafijalnych. Mowy rozmaite. Dykcjonarz starożytności dla szkół n. Nauka obyczajowa dla ludu.* Wszystkie te pisma odznaczają się wyborną polszczyzną, i przejęciem się obranym przedmiotem.

Piramowicz ceniony powszechnie, umarł z żalem ogółu w r, 1801.

Paweł Szczerbic i Mikołaj Jaskier pierwszy za czasów Stefana Batorego i Zygmunta III drugi za Zygmunta I, odznaczali się znajomością prawa, i licznemi piśmiennemi pracami.

Wojciech Bobowski, zwany inaczéj, Bobonius, Bobovius lub Halibey, w młodym wieku wzięty w niewolę przez Tatatarów i zapędzony do Stambułu około roku 1624, znalazł względy u przełożonych dworu, i staranne odebrał wychowanie.— Szczególniej oddał się Wojciech nauce języków, i posiadł ich tak wschodnich jak europejskich przeszło ośmnaście:— Znajomość ta wyniosła go na godność tłumacza wysokiéj Porty, późniéj zaś został Terdźumen-baszą, czyli pierwszym tłumaczem Sułtana Machometa IV.

Bobowski wdzięczny tureckiemu dworowi za dostatki i zaszczyty któremi był obsypany, służył mu wiernie; zmuszony, a późniéj nawykły

do machometańskiéj wiary wyznawał ją jawnie, lecz pomny gdzie się urodził tęschnił zawsze do rodziny, i pragnął tajemnie wrócić na łono chrześcijaństwa.

Ziomkowie jego i w ogóle chrześcijanie przebywający w Turcji, wiele od niego doznali opieki, pisał wiele i w różnych językach, między innemi: przełożył biblję na język turecki,— napisał pamiętniki wszystkiego co widział, opisywał obyczaje tureckie, i nauką równie jak rzetelnością i sprawiedliwością zyskał sobie powszechny szacunek.

Przez długi czas wyglądał tylko sposobnéj chwili by wyjechać do Anglji, dla którego to kraju wielką miał przychylność, a potém wróciwszy do siebie, przyjąć na nowo religję chrześcijańską, lecz śmierć zawczesna w r. 1676 uprzedziła wykonanie tego zamysłu.

Erazm Syxt lwowianin, radca miejski i lekarz wzięty nietylko w rodzinném mieście lecz i w sąsiednich krajach, wydał pierwszy opisanie wód siarczannych odkrytych pod Lwowem w wioseczce Szkło; umarł w r. 1635.

Bartłomiéj Zimorowicz, lwowianin, radca miasta i pierwszy jego dziejopis.— Zebrał on historję Lwowa ze starożytnych aktów i rękopismów, i wypracował ją aż po rok 1633, prócz

tego pisał wiele w historycznéj treści, język łaciński i grecki posiadał doskonale, po polsku pisał wzorowo, a nawet poezje jego, szczególniéj téż sielanki kilkakrotnie drukowano, i dziś nawet jeszcze wiele zalet i wdzięku przyznać im należy. — O charakterze Zimorowicza mówiłam wyżéj, męztwo przezorność i szlachetność jego zjednały mu powszechną miłość, zaufanie i poważanie u ziomków, równie jak i w kraju całym.

Szymon Szymonowicz, zwyczajem przodków naszych w XVI wieku Simonidesem zwany, nazywał się oprócz tego z Brzezin, czyli Brzezińskim, Zygmunt III nadał mu szlachectwo i przydał nazwisko Bendoński. — Znakomity ten polski poeta urodzony we Lwowie doskonalił się w Krakowie w wyższych naukach, a przez talent swój do poezji, niemniéj jak przez gruntowne i prawe zasady zyskał względy wielkiego Zamojskiego, który mu przy śmierci wychowanie syna swego Tomasza powierzył, i nadał włość pod Zamościem, gdzie Szymon aż do 71 roku życia swego cicho i szczęśliwie mieszkał; — tam to pisał on wzorowe sielanki swoje, które tylekroć drukowane dotąd równych sobie prawie nie mają. — tam i inne pisał poezje, tak po polsku jak po łacinie; — o ile je ceniono, dowodzi to, że postronni nazywali go łacińskim Pindarem.

a Stefan Batory wieńcem go laurowym ozdobił.— O nim to napisał Krasicki:

Słodkie jego sielanki, kto je tylko czyta
Czuje zsłowiaczonego wdzięki Teokryta.

P. K.

WSZYSTKO POTRZEBNE NA ŚWIECIE.

— Nie! ja ci nie pozwolę zabić to śliczne stworzenie, rzekła Anusia do brata, który nabawiwszy się robaczkiem udawał że go chce zdeptać.

— Przypatrz się tylko jaki on śliczny, czarny, świecący, jak pół małéj kuleczki, a po wierzchu jak ma ładne pomarańczowe kropki.— a potém,— wiesz? że to grzech zabić takiego robaczka, on się bożą krówką nazywa, znać że go pan Bóg kocha.

— Wreszcie — dodała sądząc że tém najlepiéj upartego przekona chłopczyka, kiedy dziś już koniecznie chcesz zabić kogo, to zabij-że sobie tego szkaradnego pająka, co tam w kącie na biedne muszki sieci zastawia.

Matka słuchając téj mowy rzekła:

— Mylisz się dziecię moje, mniemając, że Bóg co wszystko mądrze i cudownie stworzył, mniéj jedno swoje stworzenie od drugiego kocha.— Stwórca pozwolił nam używać wszystkiego, ale zakazał wytępiać cokolwiek bez potrzeby, dla tego tylko, że nam się brzydkiém lub niepotrzebném wydaje.— Wpatrzmy się tylko dobrze, a poznamy sami że na świecie nic brzydkiego, nic nieużytecznego niema.

— O! daruj mamuniu! ależ pająk naprzykład do czego przydać się może?

— Gdyby nawet, odrzekła matka, przędzy jego nie wyrabiano na jedwab, gdyby nie łowił much natrętnych, jeszcze byłby pożytecznym w miarę woli i rozrządzenia boskiego.— Opowiem ci zdarzenie, które cię pewno o téj prawdzie przekona.

Król Dawid, który tak umiał czcić Boga, wielbić jego dzieła, i dziękować mu za nie, zastanawiając się raz nad pająkiem, zapytał jak ty przed chwilą:— do czego też to przydać się może?— Zdarzyło się że wkrótce potém król

wojując z występnym synem swoim Absalonem, zwyciężony przez niego, uciekał przez góry i lasy, a widząc pogoń bliską, schronił się do jaskini, której otwór do połowy gęstemi zarosł krzakami.— Zaledwie się ukrył Dawid, gdy pająk oddawna pewnie gotujący się do roboty, rozciągnął nić swoję, i zasnuł lekką tkanką resztę wnijścia.— Niedługo poczet zbrojnych szukający zbiega nadszedł w to miejsce, a jeden z żołnierzy spostrzegłszy jaskinię chciał w niéj szukać Dawida, ale drugi rzekł mu: — Nie traćmy czasu na próżno, czyliż nie widzisz jak ten otwór pajęczyną zasnuty, znać że tu nikt nie był od dawna.

I odeszli— Cienkie pajęcze włókna zasłoniły przed śmiercią wielkiego króla, a on wdzieczny za dobrodziejstwo i naukę, nie pytał więcéj.— Do czego téż to się przyda?

P. K.

WSPOMNIENIE.

Kiedym był małym chłopcem mój ojciec brał mnie często w pole, idąc oglądać zasiewy, łąki

lub robotników: newolno mi było zbyt od niego oddalać się, dla tego spoglądając na wszystkie strony tysiąc pytań zadawałem tak szybko po sobie następujących, jak co raz nowe przedmioty uderzały zmysły moie i nowe wrażenia na ubogim moim umyśle wyciskały: zawsze odbierałem zaspakajające odpowiedzi. Razu jednego ś. p. ksiądz B. mój chrzestny ojciec wikarjusz kościoła w którym się moja metryka znajduje, w kazaniu opisał niebo i rozkosze jego, co uczyniło na moim umyśle także wrażenie, że długo tylko o tém myślałem żeby się jak najprędzéj dostać do tego siedliska szczęścia; prosiłem Boga o rychłą śmierć, a każde uściśnienie matki zdawało mi się niedostateczne dla szczęścia mego. — Od tego czasu poprzestałem zwykłych na przechadzkach pytań i często ze łzami w oczach przypatrywałem się sklepieniu nieba i mierzyłem odległość jego. Widząc że się na ziemi opiera, tuż przy mnie na wzgórzu, prosiłem ojca żeby mi pozwolił pobiedz, lub żeby sam ze mną pospieszył na nie pod pozorem uzbierania kwiatków, bo z moiemi myślami przed nikim się nie wydawałem. Często myślałem nad tém jakby wysunąwszy się z domu dowolnie gonić niebo. Stało się zadosyć mojemu życzeniu w tenczas, kiedy ojciec i matka wyjechali podobno na jarmark, a dozór domu był powierzony najstarszéj siostrze mojéj i słu-

żący zaufanéj.— Wypadłszy na pole około dziesiątéj godziny z rana, spieszę w to miejsce o które, patrząc się z pagórka przed kilku dniami zdawało mi się że się niebo opiera. Skoro u celu mojéj wyprawy stanąłem, postrzegam pod mojemi stopami smentarz; strachem przejęty wracam jeszcze prędzéj niżeli przybyłem; ale myśl gwałtem wciśnienia się do nieba tak mnie posiadła, że postanowiłem tego dnia zakołatać do niego. — Widzę na około niebo dotykające się ziemi, lecz albo za bagnami albo bardzo daleko; oglądając się na wszystkie strony, ujrzałem blisko niby, wzgórze na którym się niebo opiera; bez straty czasu biegnę. Zajęty myślą moją, niepostrzegłem że więcéj niż ćwierć mili ubiegłem przez piaski i zboża; lecz wreście wdrapałem się na górę. Jakież moje podziwienie i rozpacz! kiedy niebo pożądane oddaliło się odemnie po za wody i pastwiska rozległe.— Cały w pocie, zajęty przedmiotem moim, przychodzi mi na myśl, że rodzice mogą powrócić do domu a mnie nie zastaną; okropna walka nastąpiła w méj myśli: — niewiem czyli ich rozgniewać czyli dosięgnąć nieba.— Ale ksiądz, na kazaniu, powiedział, *wyrzecz się świata, krewnych, nawet ojca i matki byleś stanął przed Bogiem.* Pomyśliłem sobie, pieszczoty matki są niczém w porównaniu z rozkoszami ze świętemi; — Zatrzymawszy się czas

niejaki w rozmyślaniu, wypocząłem sobie nieco; chociaż słońce nielitościwe gorzało nad głową moją. Upatrzywszy pobliski lasek do którego zaraz niebo przypierało, znów podróż rozpocząłem. Nieumiałem na ten czas poznawać czasu inaczéj, jak tylko potrzebami ciała, które się periodycznie czuć dawały; bo od dzieciństwa do regularnego życia przyzwyczajony byłem; głód zaczął mi dokuczać i pomyślałem sobie, już południe być musi, ale ta myśl że w niebie wszystko nagrodzone będzie,dodała mi mocy, i w krótce, stanąłem pod laskiem.— Chłód w cieniu ożywił siły moje; zapuszczam się w gęstwę i znów na siłach upadam. Usiadłem i w krótce zasnąłem.— Budzę się, ale nie wiem w którą stronę udać się do nieba;— głód tak mi dokuczał że nareszcie wyrzekłem się wszystkiego; chcę powrócić do domu; niewiem w któréj on stronie.— Tymczasem zaszło słońce i mrok się rozpoczął; śpiewy ptaków ustały a szelest liści zeschłych pod nogami, szum gałęzi i odgłosy nocnych ptaków strachem mnie przejmowały.— Płakałem, ale mnie nikt nie słyszał;— zmordowany przestałem płakać, i na los puściłem się w dalszą drogę. Wkrótce napotkałem ścieżkę i bez namysłu chwyciłem się jéj kierunku, nareście wyszedłem z lasu, ale okolice, które przy blasku

światła księżyca rozpoznać usiłowałem, wcale mi były nieznajome.

Wtém słyszę mowę ludzi zbliżających się ku mnie;— skoro mnie dostrzegli, z podziwieniem pytają co tu o tym czasie robię, a poznawszy mnie, jeden z nich, poczciwy wieśniak nazwiskiem Kapusta, bierze mnie na ręce i prosto do domu odnosi, kojąc mnie płaczącego i przyrzekając że dotąd nieodejdzie, dopóki mój ojciec nie przyrzecze mu że mnie nie będzie karał.— Wtenczas przyszedł mi na myśl ojciec i matka i ich o mnie niespokojność — zapomniałem o głodzie i cały zajęty byłem myślą, jak się pokazać do domu.

Z płaczem wniesiono mnie w progi ojcowskie; zastałem matkę w rozpaczy i nikogo więcéj.— Trudno opisać radość matki ujrzawszy mnie płaczącego, wybladłego i zupełnie kurzem okrytego.— Zaraz rozesłała na wszystkie strony szukać ojca mego, który znużony nie posiliwszy się nawet, poszedł szukać mnie, na pola i nad rzekę blisko płynącą.— Wkrótce ojciec, siostry, służące powracają, zastają mnie na kolanach matki: i obsypują tysiącem pieszczot, których w tenczas prawdziwą wartość uczułem. Naprzód mnie nakarmiono. Ja ciągle spoglągdałem to na ojca, to na Kapustę, który stał nieporuszony, mało odpowiadał na pytania, zdawało się

że wewnątrz cieszy się tém szczęściem, jakie przypadkiem wprawdzie, ale najszczerzéj przyniósł rodzicom moim.— Póżniéj rozmawiał cóś cicho z ojcem:— nareście z surowością udaną przemówił mój ojciec: „Ucałuj teraz dobrego Kapustę, za to, że cię od nieszczęścia uchronił i skrócił cierpienia moie i twéj matki:— wiesz ty że w lesie są wilki? że te i ludzi pożerają? zasłużyłeś na karę, ale ten poczciwy wieśniak uprosił ci przebaczenie.

Kiedym już był pewny przebaczenia, szczerze wyznałem dla czego się potajemnie z domu oddaliłem i całą podróż opowiedziałem. Matka i siostry słuchając płakały: ojciec czasami uśmiechał, się ale pilnie uważał i zdawał się czytać w méj twarzy uczucia moje.— Nakoniec tak przemówił:— Myślisz o szczęściu! poczekaj dopóki cię rozum nie oświeci gdzie i jak masz szczęśliwości szukać. Niebo jest żrodłem szczęśliwości, ale potrzeba zasłużyć nań cnotą, wyprobowaną przez długie lata życia naszego, jeżeli Przedwieczny dozwoli na niego.—. Póki więc jesteś dzieckiem słuchaj rodziców, póżniéj rządzić się będziesz zasadami które ci wpojemy,ale pamiętaj że we wszystkiém gruntu i wytrwania potrzeba, inaczej bowiem cel życia uciekać będzie przed tobą, jak dziś uciekały granice widnokręgu.

IV.

*
* *

Już dawno suche drewka przestały sypać iskrami, zwolna zagasał ogień i tylko kiedy niekiedy dopalające głownie rzucały słabe światełko na izbę wjejskiéj chaty, gdzie spoczywała młoda jeszcze gospodyni i troje ładnych, czerstwych dziatek. A kmiotek ojciec rodziny, właściciel chudoby, klęczał przy swoim tapczanie i modlił się rzewnie, gorąco. — I o cóż on tak Boga prosił? — O to prawie co każdy z nas, jednakże ograniczył bardziéj życzenia; bo w ogólności ludzie chcą posiadać szczęście, on zaś pragnął go widziéć zdaleka, miéć przynajmniej wyobrażenie o tém o czém świat prawi. „Wszak ja nie wiele pragnę od ciebie dobry mój Boże“ rzekł kończąc modlitwę, tylko aby go zobaczyć raz i opowiedziéć swoim dzieciom gdzie się znajduje, to możeby i po mojéj śmierci trafiły do niego.—

Poczciwy kmiotek już miał wstać od modlitwy, gdy usłyszał jakiś głos; ale to nie był głos żony, dziecka, ani sąsiada, ba nawet nikogo z ludzi, chyba jakiego ducha: „Twoja modlitwa jest wysłuchana; dziś we śnie zobaczysz gdzie się szczęście znajduje.“— Chłopek ze łzą radości stanął na równe nogi, a za chwilę spoczywał na tapczanie. Nawał myśli i dziwne zjawienie, prawie do świtu nie dały mu zasnąć. Gdzie też to szczęście, powtarzał co chwila, gdzie ono jest? oj żeby go można widziéć!... Ależ to podobno i świtać zacznie a ja nie usnę. Dobry mój Boże, powtarzał chłopek, ja zgaduję że duch co przemówił tak łaskawie, zaprowadzi mnie we śnie do jakiego wielkiego pałacu, ukaże pana co dobrze je i pije; boć mówiąc prawdę, święte życie tym panom, Bóg ich bardziéj niż nas ukochał,.... ależ to jego święta wola. Mówiąc te ostatnie słowa zasnął.

I o czémże marzy?... i gdzie on jest?.... Oto w téj chwili właśnie wychodzi z kościoła w świąteczną suknię przybrany; jedną ręką trzyma pięcio-letniego chłopczyka, drugą nieco starszą dziewczynkę. Każdy z sąsiadów zbliża się do niego, pyta uprzejmie o zdrowie żony i małego dziecięcia z którém w domu została. Radzą się go jak mają w gospodarstwie postąpić; pytają czyli piękne będą jarzyny w tym roku: a on odpo-

wiada każdemu, każdego objaśnia i otoczony gronem licznych kumów zbliża się do chaty. Żona ujrzała przybywającego i wybiegła naprzeciw z małym czysto ubranym dzieciaczkiem; za chwilę weszli wszyscy do izby. Na stole stały dwie lub trzy potrawy, bułka razowego chleba i dzbanek niezłego piwa. Gospodarz z żoną usiadł. I kiedy w nieudanéj wesołości kończyli skromny ten posiłek usłyszał głos: „wstań od stołu, bo już czas.“ Zerwał się, otworzył oczy i z zadziwieniem zawołał: Otoż pragnąłem znaleźć szczęście choć we śnie; a nie szukałem go na jawie w mojéj własnéj chatce!...

Czy wiecie dzieci kochane!
 Jaka z tąd dla was nauka?
Niech nikt daleko szczęścia nie szuka
 Bo bliżéj każdemu dane.
Wy dziś na łonie swéj czułéj matki
 W gronie rodziny życzliwéj
Wiek przepędzacie miły, szczęśliwy,
 Choćby w obrębie maleńkiéj chatki.—
Niech w was zazdrości nie budzi złoto
 Ze złotem mieszka i troska;
A z skromnym bytem, a z cichą cnotą
 Przebywa opatrzność boska.
Ani pragnijcie wieku dojrzałych
 Że w nich wolności jest więcéj,

Bo małe smutki w latkach są małych
Swobodna dusza w piersi dziecięcéj.
Dziękujcie Bogu za to co macie
Proście o serca nadal wytrwałe
Może powiecie gdy trosk doznacie
Czemuż my jeszcze nie małe!

Józefa Prusiecka.

KAŻDEMU JEST DOBRZE.

Skowronek wzbiwszy się raz w górę, wysoko, spojrzał na wiewiórkę siedzącą na drzewie, która w dwóch łapkach trzymając leśne jabłuszko, chrupała ząbkami. Ah! biédne téż to stworzenie, ta wiewiórka, powiedział sam do siebie, ja mogę latać w powietrzu, bujać tak wysoko, a ona tylko skacze z drzewka na drzewko i niema piórek aby podleciała. Wiewiórka, właśnie

w téj chwili dochrupawszy swego jabłuszka spuszczała ogryzek na ziemię i ujrzała zajączka, który drobnemi ząbkami ciął młodą zieloną trawkę. Wiewiórka ocierając łapką pyszczek, rzekła z westchnieniem: jak ja téż żałuję tych niebożątek zajączków; muszą tylko biegać po ziemi, kryć się do norów, a nigdy nie potrafią wdrapać się na drzewko.

Zajączek podjadłszy trawki, napiwszy się wody z bliskiego rowka, wracając do swéj jamy, wstrząsnął futerkiem, jakgdyby mu się na zimno zbierało i zawołał: oh! szkoda téż to szkoda tych rybek, czy latem, czy zimą mokną i marzną w téj wodzie, a nam tak dobrze.

Małe rybki ruszyły skrzelkami, wypłynęły na wierzch wody, spojrzały swemi czerwonemi oczkami na ziemię, na drzewa, na obłoki i mówiły z politowaniem: jaka to szkoda, tych zwierzątek i ptaszków, takie mają ciężkie futerka, takie gęste piórka; chodzą tylko po ziemi, albo latają w powietrzu, a nam tu tak lekko, tak dobrze w téj wodzie.

A człowiek to usłyszał i powiedział: wy nie wiecie ptaszki, zwierzątka i rybki, że nam wszystkim dobrze, bo Pan Bóg wszystkich stworzył do szczęścia i pamięta o wszystkiém.

Józefa Prusiecka.

KATARYNKA.

Mamo! mamo! powiedziałaś, że jak przez całą sobotę będziemy grzeczne, to nam w niedzielę zrobisz jaką przyjemność: wszak prawda, my grzeczne wczoraj były?

— Prawda, odpowiedziała mama; Julcia nauczyła się dobrze bajeczki, ładnie czytała po polsku, równo zrobiła pończoszkę, i napisała czysto, bez omyłki pół kartki w kajecie.

— A i Stasio, dodała Julja która bardzo swego braciszka kochała, wydał lekcję francuzką przed mamą, nauczył się dobrze historji, i pan Władysław pochwalił go z kaligrafji.

— Dobrze, moje dzieci powiedziała mama, ale cóż chcecie żebym dla was za to zrobiła.

Stasio i Julja zamyślili się trochę, spojrzeli w oczki sobie, potém matce, przebiegły myślą

po główce wszystkie przyjemności, wszystkie zabawki jakieby mogły żądać i na nic się nie zgodziły. Bo dzieci zwykle pragną, mieć swoją własną wolę, lecz gdy ją mają nie potrafią jéj użyć, i nieraz się przekonają że lepiéj kiedy niémi kto rządzi jak oni sami.

— No i cóż moje dzieci, spytała mama, czy nie powiecie czegobyście chciały?

— Oto, oto, powiedział Stasio, pojedźmy do *Zacisza*, tam są huśtawki, ja będę się woził na koniku, a Julcia w krzesełku.

— Dzisiaj niéma tatka w domu powiedziała mama a my bez niego nigdzie nie wyjeżdzamy; pomyślcie o takiéj zabawie którąbyście mogli mieć w domu.

— Ha już teraz wiem co, powiedział Stasio zwawszy i obfitszy w pomysły. Dzisiaj w podle będzie małpka, niech małpkę przyprowadzą.

Ona tak ładnie tańczy, tak się zgrabnie kłania, strzela z łuku, jeździ na pudlu niby to na koniu, gra na skrzypcach, bębni na bębenku. Taka skoczna, taka wesoła: swego pana całuje, gryzie cukier kiedy jéj dadzą; ubrana zawsze jak tyrolka. O! ja ją bardzo lubię; niech ją sprowadzą: prawda? prawda siostrzyczko?

Julcia potrząsnęła główką.— Nie braciszku nie, ja nie chcę małpki.

— A to dla czego? spytał Stasio.

Bo to jest biédne stworzenie, odpowiedziała Julcia ze smutkiem. Mama mówiła że nim ją nauczą, to ją bardzo biją; i tak biją jak się zmyli: poco ją męczyć?

No, to teraz ty chciéj co ci się podoba, powiedział markotny Stasio że mu się ani jedno ani drugie nieudało żądanie.

Nie gniewaj się na mnie braciszku; czekaj,— może mi na myśl co przyjdzie. I Julcia pobiegła do okna; a po chwili zawołała: Stasiu! patrz! idzie ten z *katarynką* co ma sztuczne laleczki: czy ty chcesz je widzieć?

O! dobrze, bardzo dobrze, powtarzał Stasio, tylko czy mama pozwoli.

Mama przystała na żądanie dzieci; posłała zaraz, i niedługo wrócił stary Bartłomiéj lokaj, prowadząc za sobą człowieka z katarynką. Człowiek uchylił skurzaną zasłonę, podniosł drewnianą klapę i dzieci ujrzały mnóstwo lalek. Byli tam panowie rozmaitych narodów: jeden z nich stał z powagą i trzymał w ręku papier. Były dwie małe dziewczynki i chłopaczki. Był umiérający Napoleon na swojém łóżku: przy nim stał żołnierz francuzki, trochę daléj jakaś dama. Na samym przodzie katarynki, stał skrzypek, i jak tylko smyczek przyłożył do skrzypców zaraz panowie rozmaitych narodów z powagą obracali się do siebie, pochylali głowy powoli; a jeden

z nich rozwijał papier. Dziewczynki i chłopczyki żwawo tańczyli walca. Dziewczynka w ponsowéj spódniczce tańcząc kręciła główką, Chłopczyk w niebieskim spancerku w takt zdejmował czapeczkę. Napoleon za każdą głosiejszą muzyką blady podnosił się z poduszek, kiwał ręką i znowu głowa mu opadała, jakby dlatego że niemiał siły. A wtenczas żołnierz francuzki łzy ocierał, dama blisko stojąca załamywała ręce; a skrzypek grał i grał ciągle.

Stasio i Julcia nie mogli się napatrzyć, nacieszyć; bo dzieci lubią kiedy laleczki nietylko są piękne; ale ruchawe, wtenczas zdaje im się większe podobieństwo do prawdy, i ich uwaga bardziéj jest zwrócona.

I cóż? zapytał Stasio Julci, teraz to jesteś kontenta, bo laleczki chociaż tańczą, ale nikt ich nie bije jak tę biedną małpkę.

O! kontentam i bardzom kontenta. I to mówiąc dziewczynka przypatrywała się maleńkim osóbkom, klaskała w ręce i kręciła się po pokoju.

Właściciel katarynki widząc radość Julci grał coraz nowe, coraz ładniéjsze sztuczki. Dziewczynka przetańczywszy kilka razy wkoło pokoju, zachwycona tak miłą zabawką stanęła przed mamą i zawołała głośno: ah! mamo, mamo, jaki on szczęśliwy! jak to musi być dobrze grać całe

życie takim pięknym laleczkom kiedy one tańczą. Mamo! mamo! prawda że to bardzo wesoło? I to mówiąc dziewczynka zbliżyła się do kataryniarza. Zdawało jéj się że on taki wesoły, szczęśliwy, chciała podzielać jego radość, uścisnąć jego rękę. Ale nagle spojrzała mu w oczy, i spostrzęgła łzy. Czego on płacze? spytała zadziwiona, mamy. Co mu się stało? I znowu niespokojna spojrzała na braciszka, jak gdyby powtórzyła zapytanie: czego on płacze?

Stasio ciekawym wzrokiem przebiegł wszystkie laleczki, najdłużéj zatrzymał spojrzenie na łóżku Napoleona i powiedział: — już wiem czego.

— A czego? czego? powiedz braciszku, wołała natrętnie Julcia.

— Oto on pewnie płacze nad królem co tu umiera, bo patrz i grenadjer płacze nad nim i ta pani ręce załamuje.

Dziewczynka z litością obróciła się do niego, i po chwili, nieśmiało wyrzekła: — ja myślałam że ty taki szczęśliwy że ciebie cieszą te lalki, a ty płaczesz nad niemi?

— Ja nie nad niemi płaczę, ja mam inny smutek panienko.

— A dlaczegoż tobie zachciało się takiéj wesołéj zabawki, kiedy masz zmartwienie?

To nie zabawka, moja miła panienko, to potrzeba. Ja gram bo muszę, gram choć mi nie-

wesoło, choć mi łzy idą do oczu. I biédny człowiek zaczął płakać serdecznie.

— Mamo, mamo, spytaj czego on płacze, prosiła rozczulona Julcia.

— Płaczę, bo opuściłem miejsce gdziem się rodził, opuściłem moich krewnych, moją żonę i taką małą dziewczynkę, córeczkę jak ty panienko. Teraz gram dla cudzych dzieci kiedy moje płaczą. Nieraz widzę bogatych paniczów, pieszczone panienki jak pieskom, kotkom dają ciasteczka, myślę czy moje biedne dzieci mają kawałek suchego chleba. O! powiedz panienko czy to nie smutno, czy to nie boli serce?

Julcia smutnie pochyliła główkę: czy ty już nigdy swoich dzieci nie zobaczysz? zapytała cudzoziemca.

— Jak Bóg da panienko, ale ja w téj myśli odszedłem że powrócę, i gdyby nie ta myśl to bym umarł z żalu.

— A dawno jak przyszedłeś do tego kraju?

— Już trzy lata jak tu jestem i Bogu dziękuję za to, bo tu są dobrzy ludzie, bo tu są czułe dzieci, nie jedno ulituje się mojéj niedoli, nie jedno opatrzy mię grosikiem z własnego woreczka. I ty panienko płaczesz nademną; jak wrócę do domu to powiem moim biednym dzieciom, a dzieci modlić się będą za ciebie, aby cię Bóg błogosławił za twoje dobre serce.

Julcia i Stasio rozpłakali się nad biédnym kataryniarzem, dali mu po złotówce z swojéj miesięcznéj pensji, i prosili mamy aby mu częściéj pozwoliła przychodzić: mama przystała na to, a odtąd ile razy przyszedł kataryniarz; dzieci ani mu zazdrościły szczęścia, ani weseliły się że laleczki będą tańczyć, ale cieszyły się z serca że biédnemu cudzoziemcowi choć maleńkim datkiem dopomogą do prędszego zobaczenia osierociałych swych dziatek.

Józefa Prusiecka.

CIEKAWA FELCIA.

— Kto też to nas kupił? moja mamo, pytała z ciekawością pięcio-letnia Felcia.

— Alboż kto nas kupił, Feluniu, co ty gadasz?

— Przecież musiał nas kto kupić powtórzyła dziewczynka.

A dlaczego? spytała mama.

— Bo kiedy nas Pan Jezus odkupił, to wprzódy ktoś inny kupił zapewne.

Mama wytłómaczyła Felci, że my niebyliśmy przez nikogo sprzedani, tylko że utraciliśmy łaskę przez grzech pierwszych naszych rodziców: to jest Adama i Ewy, a Pan Jezus odkupił nas od tego grzechu swojém przyjściem na świat i swoją śmiercią.

Józefa Prusiecka.

DOBRA ZOSIA.

Zosiulka chociaż dopiéro piąty roczek miała, ale była grzeczną dziewczynką i kochała swoją mamę. Raz Zosiulka dostała mocnego kaszlu, mama zrobiła ziółeczek i nalała jéj pełną filiżankę. A te ziółeczka były bardzo a bardzo niesmaczne; mamie żal było córeczki, że takie niedobre musi pić lekarstwo: moja Zosiulku; powiedziała, niech trochę przestygną, to będziesz mogła wypić od razu; i to mówiąc poszła do drugiego pokoju. Zosiulka pobiegła prędko do stolika, wypiła niesmaczne ziółeczka, skrzywiła się trochę, otarła buzię, a jak mama weszła powiedziała: już niema ziółeczek,

wypiłam tak żeby mama na mnie nie patrzała. Zosiulka była bardzo dobra bo ochraniała mamie choć maleńkiéj przykrości.

Józefa Prusiecka.

MOTYL.

Motyl modny próżniaczek, miłe wiosny dziecię
Bujając spostrzegł pszczółkę siedzącą na kwiecie;
Wstrzymał się i szyderczo rzekł: „pszczółko kochana
Żal mi cię że skwapliwie od nocy do rana,
Pracujesz tak wytrwale, pracujesz tak szczerze,
Przyjdzie niewdzięczny człowiek— twą pracę zabierze,
I dla własnego zdrowia, lub trosków osłody
Spożyje twe mozolnie uzbierane miody.
Porzuć ten trud niewdzięczny; inne zacznij życie,
Życie innego świata— słuchaj; ja o świcie
Perłą rosy wykwintne wysmuknąwszy szaty,
Wylatam— wszystkie do mnie zwracają się kwiaty,
Ja ten minę ze wzgardą, z tamtym pożartuję
„Na innym chwilę spocznę, lub miodu skosztuję

I znowu lecę dalej i w grono motyle
Wpadam, z nimi się bawię ochoczo i mile,
Tak niewidzialnie zniknie i wiosna i lato."
—W zimie, odrzeknie pszczółka pożałujesz za to.
Ja pracuję, i trud mój choć człowiek zabierze
Zostawi mi kęs miodu, i wdzięczność w ofierze;
Ty, gdy zblakną twe wdzięki, i dmuchnie czas chłodny
Gdzieś tam— w ciasnéj szczelinie skończysz życie głodny.

J. Dobrski.

HELENKA.

Jaka to mamo przyczyna
Że to drewienko pachnie jak cytryna?
Raz się Helenka pytała
Trzymając w ręku drewienko.
Na to jéj matka: rzecz cała
Moja kochana Helenko,
Że to drewno wśród cytryn długi czas leżało,
Od nich téj woni przyjemnéj nabrało,
I teraz może z siebie ją wydawać.
Patrz więc, jak to korzystnie z dobrymi przestawać.

Szymon Zajączkowski.

PORWANIE.

Już mrok wieczorny oszarzył białe mury bernardyńskiéj celi, już ledwie można było rozeznać stojące w niéj sprzęty, i tylko srebrne z herbami naczynia na których resztki skromnéj spoczywały wieczerzy, błyskały mocniejszym połyskiem, a jeszcze mąż poważnéj postaci, w długiéj fijoletowéj szacie, z szeroką srebrną brodą, wolnym krokiem chodził wzdłuż i wpoprzecz, chodził w milczeniu, i dumał głęboko a frasobliwie.

Był to Stanisław Karnkowski, Arcybiskup gnieźnieński i Prymas królestwa, a miał o czém myśleć i frasować się, bo to było bezkrólewie po śmierci Stefana, czas niezgód i kłótni; kiedy po długich sporach głosy wyborców podzieliły się na dwie strony, dwoma obozami na elekcyj-

ném błoniu stanęły, i gotowały się do zaciętéj walki.

Szanowny Arcybiskup oddawna już z boleścią poglądał na te waśni, oddawna i Zborowscy pragnący na króla Maxymilijana Arcyksięcia Austryjackiego, i Zamojski trzymający stronę Zygmunta Wazy, starali się przeciągnąć ku sobie przeważne zdanie starca, a za jego śladem i duchowieństwa całego, lecz Karnkowski wierny kapłańskiéj powinności, nie mieszając się do niesnasek bratnich, stał między dwóma stronnictwami jako prawdziwy sługa boży, godząc spory, łagodząc niechęci, i oczekując kto obranym zostanie, by go wedle urzędu i obowiązku swego na króla namaścić.

Jednakże, sercem sprzyjał królewiczowi szwedzkiemu, boć to syn Jagiellonki, a Karnkowscy z ojca do syna wiernymi byli Jagiełłów rodzinie.

Otóż jak mówię miał o czém myśléć poważny starzec, tém bardziéj, że strona Zygmunta słabiała, że choć panowie liczne podejmowali dwory, choć królowa Anna sama niezamożna przeznaczyła sto tysięcy złotych na utrzymanie stronników ukochanego siostrzeńca, przecież uboższa szlachta nie mogąc się końca elekcji doczekać rozjeżdżała się do domów; — a co najgorsza, to że Zborowscy widząc iż Karnkowskiego do

siebie przeciągnąć nie mogą z pogróżkami się odezwali, i zapalony ich stronnik Górka wojewoda poznański, tego jeszcze dnia wykrzyknął:

— Albom nie Górka, albo jutro Arcybiskup między nami stanie!

Wiadomo zaś że Zborowscy nie łatwo odstępowali od powziętych zamiarów, a Stanisław Karnkowski przechodząc myślą wszystko czego się dotąd dopuścili, coraz głębiéj a smutniéj się zamyślał, gdy z lekka we drzwi zapukano, i wnet z spuszczonym w tył kapturem z założonemi rękami, stanął poważny bernardyn.

— Cóż tam ojcze przeorze? spytał Karnkowski nie przerywając przechadzki.

— Źle oto, — jeżeli Przewielebność Wasza posłuchać raczy....

— Cóż tam złego?...

— Przed godziną, ojciec Ambroży zeszedł do ogrodu, i chodząc nad brzegiem odmawiał wieczorne pacierze, gdy niespodzianie usłyszał obce głosy; — ukrył się za drzewem, i zobaczył dwóch ludzi nieznajomych, uwijających się nad wodą; — to oglądali brzegi, to patrzyli na klasztor, w końcu wsiedli w małe czółenko, mówiąc: „za dobrą godzinę!“ i odpłynęli.

— A minęła już ta godzina?

— Tylko co; — ale ja też usłyszawszy o widzeniu ojca Ambrożego, posłałem trzech braciszków

na zwiady, i oto mówią mi, że do brzegu pod ogrodem przybiła wielka barka zbrojnym ludem osadzona.

— Może źli ludzie jacy, myślą najść cichych sług bożych.

— Nie;— tylkoż prawdziwie niewiem jakby sobie wytłumaczyć, co braciszkowie słyszeli.

— A mówcież ojcze przeorze, czego chcą ci ludzie? rzekł trochę zniecierpliwiony Arcybiskup.

— Chcą porwać Waszą Przewielebność! wymówił pochylając głowę bernardyn.

Zamyślił się Karnkowski, groźby Zborowskich przyszły mu na pamięć, i zapytał po chwili:

— Nie wiecież ojcze przeorze co to za jedni?

— Niewiem, tylko jeden z braciszków słyszał jak mówili cóś o Górce, i o przyrzeczonej nagrodzie, jeżeli przed północą dostawią mu Waszą Przewielebność.

— Niechże się dzieje wola boża! rzekł Arcybiskup, i założywszy ręce na piersi począł znów chodzić po celi.

— Z pozwoleniem W. Przewielebności, odparł poważny zakonnik, takie zgorszenie nie może stać się z woli Pana naszego, i w tém przekonaniu, takém rzeczy rozporządził, że nasi goście nie prędko się tu dostaną.

— A! broń Boże! niechcę być powodem gwałtów i bitwy.

— Może do niéj nie przyjdzie, boć myślę że gdy napastnicy ujrzą szereg sług bożych gotowych na ich przyjęcie, zaniechają bezbożnego zamiaru.

— Nie, nie! dziękuję wam za życzliwe chęci, ale nie chcę żadnege oporu;— rozkażcie ojcom i braciom powrócić do cel swoich, a staranie o mojém bezpieczeństwie zdajcie na Opatrzność.

Słowa te lubo łagodnie lecz stanowczo wyrzeczone, zasmuciły bernardyna, wszelako posłuszny zwierchniéj władzy wyszedł z celi, pomału, i niechętnie odwoływać wydane rozporządzenia.

Karnkowski tymczasem klasnął w dłonie, a gdy na ten odgłos wszedł młody pokojowiec, rozkazał mu sprzątnąć resztę wieczerzy, pozapalać jarzące świece w srebrych świecznikach, na stole postawić infułę i biskupie szaty, przy krześle srebrny pastorał; — wtedy skinąwszy na pokojowca by się oddalił, zgiął kolana przy klęczniku, i złożywszy pobożnie ręce zatopił się w modlitwie.

Krótko trwała spokojność i milczenie, drzwi celi otworzyły się nagle. i mąż lat średnich z sutym wąsem, podgoloną głową, i szablą u pasa, stanął na progu, a pochyliwszy się dwornie przed starcem rzekł:

—Darujcie mi najprzewielebniejszy Xięże Arcybiskupie, jeżeli wam święte przerywam zatru-

dnienie, ale co mi polecono, wypełnić muszę.— Dla dobra kraju, dla własnego bezpieczeństwa chciéj Przewielebność Wasza udać się za mną bez zwłoki.

— Gdzie? spytał powstając Karnkowski.

— Nie mogę powiedzieć aż u drwi klasztoru.

Arcybiskup zbliżył się do mówiącego, a przypatrzywszy mu się przez chwilę, rzekł:

— A gdybym nie chciał?

— Mam zbrojnych ludzi u bramy, odrzekł zagadniony, porwiemy Waszą Przewielebność!

— I to wy panie Pękosławski podjęliście się takiego polecenia?— inaczéj ja o sercu i prawości waszéj trzymałem.

— Na téj nikt się nie zawiedzie; ale czas uchodzi, księże Arcybiskupie spieszmy.

— Idźmy! rzekł Karnkowski, lecz powiedzcie mi wprzódy, kogo żądacie, prymasa czy Stanisława z Karnkowa?

— Podobno bardziéj drugiego, odpowiedział Pękosławski.

— To niechże te znaki zostaną w zakonnéj celi, rzekł prymas wskazując na obrzędne szaty swoje, a umoczywszy palce w zawieszonéj przy drwiach kropielnicy, przeżegnał się i wyszedł na kurytarz. — Zeszedłszy na dół, zdziwił się nie pomału, gdy zamiast ogrodem ku Wiśle, poprowadzono go do drzwi na krakowskie przedmie-

ście wychodzących; tam wsadzono go w karetę pocztem zbrojnych otoczoną, i konie sunęły galopem ku krakowskiéj bramie, a ztamtąd tyłami na zamkowy dziedziniec zawróciły; lecz zwiększyło się jeszcze podziwienie jego, kiedy przeszedłszy za Pękosławskim kilka komnat, wszedł do mocno oświetlonéj sali, a zamiast zuchwałych Zborowskich lub ich stronników ujrzał wychodzącą na spotkanie swoje królowę Annę w wdowich szatach lecz z spokojném i pogodném obliczem, a za nią wielkiego Zamojskiego, który podając Pękosławskiemu rękę rzekł:

— Dzięki wam panie Stanisławie, będę ja tę przysługę pamiętał waszmości. — A obyło się bez bójki?

— Już się za nami zamykała brama, kiedym usłyszał Zborowszczyków, jak się chałaśnie do klasztoru cisnęli, i jak ich ksiądz przeor admonestował.

Tu dopiero dowiedział się Arcybiskup gnieźnieński, że Zamojski wcześnie uwiadomiony o zamachu zamierzonym przez Górkę, zniweczył go, i niemało przykrości sędziwemu starcowi oszczędził.

W krótce téż potém, kiedy Zamojski zwycięztwem pod Byczyną, i wzięciem w niewolę Ar. X. Maximiljana, obranie Zygmunta Wazy zapewnił, poważny kapłan ciesząc się z ukończenia

niesnasek, dziękując Bogu za ochronienie siebie, i poniżenie nieprzyjaciół dobréj sprawy, w katedralnym kościele w obliczu mnóstwa panów i ludu, w assystencji licznego duchowieństwa donośnym głosem śpiewał *Te deum*, a niedaleko, w bernardyńskim chórze przeor i zakonnicy, też same powtarzali wyrazy.

P. K.

WYCIĄGI
Z DZIENNIKA PODRÓŻY
DO WÓD MINERALNYCH
KAUKAZKICH.

(Ciąg dalszy).

Była godzina ósma z rana gdyśmy opuścili Odessę; a w miarę jak paropływ coraz się bardziéj oddalał, niknęło zwolna przed naszemi oczyma miasto z swémi pięknemi szczególnie od

strony morza budowlami, z tak licznie zebraną w przystaniach grupą handlujących żeglarzy — nakoniec wszystko w mglistéj utonęło powłoce.

Cudna pogoda sprzyjała naszéj podróży; morze było ciche i spokojne — lśniąc się jako szyba lodu żadną nie zepsutego niepogodą — gdzie niegdzie tylko stada delfinów (obficie się w morzu znajdujących) goniąc przed sobą drobnych rybek gromady — bystrém swojém w różnych kierunkach nurzaniem, zakłócały cichy widokrąg lazurowego przestworza.

Sposób w jakowy delfiny chwytają zdobycz swoją jest bardzo zajmujący. — Zwykle trzymają się one w bliskości brzegów — i prawie zawsze w wielkich gromadach, szczególnie od miesiąca Marca do Maja. — Spotkawszy stado śledzi lub kefali, naprzód starają się otoczyć ich do koła — potém kilka znich uderza we środek. — Przelękłe ryby w różnych pierzchają kierunkach, uciekając zaś wyskakują częstokroć wielkiemi massami nad powierzchnię wody, co przy spokojnym stanie morza, zajmujący sprawia widok — a patrzącemu na to z pewnéj odległości zdaje się jakoby widział stado ryb latających. Bystrość zaś z jaką delfiny pływają nurzając się zawsze tak, iż część ich ciała, niekiedy zaś całe widzianemi są nad powierzchnią wody, tak jest wiel-

ką iż kto sam na własne oczy widzieć tego nie miał sposobności, trudno, aby wszelkim opisom uwierzył — kilku z nich udało nam się zwabić rzucanym w wodę pokarmem; z żarłocznością niewypowiedzianą chwytały one pożywienie— a chociaż paropływ przeszło 10 mil morskich na godzinę upływał, one przecięż nieodstępując nas ani na chwilę, przeszło trzy kwandranse nam towarzyszyły.

Jedno jeszcze, co także moją zajęło uwagę były różnobarwne polipy, które w przejrzystéj głębinie morza błyszczą jak gwiazdy na lazurowym tle wypogodzonego nieba.

Wszystko to, mnie tylko podobno jednego zajmowało.— Całe zaś towarzystwo podróżnych jak mi się zdaje, dawno już do podobnych morskiéj żeglugi nawykłych przyjemmości, bynajmniej niezwracało uwagi na to co dla mnie było tak zajmującém.

Na wysokości portu Sewastopolskiego, ujrzeliśmy w jednym z nami płynącą kierunku flotyllę— kapitan statku zapewniał nas, iż to jest eskarda wysłana z Sewastopola, dla przewiezienia oddziału wojska z północnych brzegów Kaukazu, na wschodni brzeg czarnego morza, celem urządzenia fortyfikacyjnéj linji, dla przecięcia wszelkiéj kommunikacji wodnéj z kupcami tureckiemi, którzy dowożąc potajemnie góralom

kaukazkim, proch, ołów, broń rozmaitego rodzaiu, oraz sól i towary bławatne, biorą od nich w zamian rozmaite produkta kaukazkie, a bardziéj niewolników, szczególnie zaś kobiet, których na bazarach Trebizondskich sprzedają.

Kapitan statku, znaglony naszemi prośbami, skierował bieg paropływu, wprost ku wyż wspomnionéj eskadrze – i podpłynął do niéj tak blisko, iż gołém okiem mogliśmy doskonale rozpoznawać najdrobniejsze nawet szczegóły na statkach w dwie uformowanych linije.— Na czele całéj kolumny, płynął okręt „*Warszawa*“ 120 dział w sobie mieszczący; jest to największy, najlepiéj i najkosztowniéj zbudowany statek z całéj floty czarnomorskiéj; — za nim płynęły jeszcze 4 inne linjowe okręty – daléj 2 fregaty i kilka innych pomniejszych statków wojennych oraz tak zwanych transportów, służących do przewożenia ciężarów.

Bystrość z jaką wykonywały się wszystkie rozkazy, w odmianie żagli, lub kierunku statków całéj kolumny, była prawdziwie zadziwiającą.— Za pomocą sygnałów wydany rozkaz na okręcie admiralskim w kilka zaledwie sekund już na całéj wykonano linji.

Ku wieczorowi w niejakiém oddaleniu ujrzeliśmy skaliste brzegi Taurydy.

Lecz w krótce wiatr zachodni napędził z śnie-

żnego grzbietu Czatyrdahu, mglistych obłoków, tak iż nietylko brzegi Krymu ale i obok płynąca eskadra, znikły przed nami w gęstéj ćmie tumanu.

Wieczorem jednak niebo się wypogodziło— wiatr ucichł zupełnie,— z czego korzystając grono całe podróżnych, do późnéj nocy cieszyło się przyjemnością nader miłéj, zwłaszcza przy spokojnym stanie powietrza żeglugi.

O świcie stanęliśmy w Jałcie.

Jestto niewielkie bo zaledwie z kilkudziesiąt murowanych domów złożone miasteczko, a raczéj jestto że tak powiem skład rozmaitych towarów, szczególnie zaś win krymskich— których obfite są tu plantacje.

Między podróżnemi była osoba, która o dwie tylko wiorsty od Jałty w kierunku ku Bakczyserajowi, ma swoje letnie mieszkanie.— Korzystając więc z uczynionéj mi przez nią propozycji przystałem chętnie wysiąść z nią razem na brzeg— a że paropływ zwykle tu kilka a czasem kilkanaście nawet zatrzymuje się godzin, miałem przeto dość czasu do zwiedzenia doliny najpiękniéjszéj według zdania wszystkich, w całym brzegu południowego Krymu.

Jakoż oczekiwania moje w téj mierze zawiedzionemi nie były.

Zasłoniona od północnych wiatrów; pasmem

skalistych gór dolina, przerznięta bystro w różnych kierunkach płynącemi potokami, umajona orzechu i kasztanów drzewami, upstrzona tu i owdzie licznemi plantacjami win i tytuniu, jest jakimś rozkosznym ogrodem, jest że tak powiem niejakiem odbiciem raiu ziemskiego.— Główną przecież ozdobą téj czarującéj doliny są gdzie niegdzie po skałach rozrzucone, po większéj części w guście chińskiéj i gotyckiéj architektury domki,— w których najzamożniejsze familje Rossji, roskosznie przepędzają lato, ciesząc się nieporównaną pięknością widoków, i łagodnością klimatu aż do późnéj bardzo jesieni.

I też to pomyślałem sobie ojczyzna dzikich hord kiedyś północnéj zagrażających Europie? tenże to kraj pełen zachwycających widoków, wypielęgnował na swém łonie, lud tchnący niegdyś wieczną chęcią mordów pożogów i grabieży?

Dziś, jaka zmiana? — . To straszne wówczas plemie Tatarów, straciwszy siłę materjalną w Europie, raz zwalczone, znikło, jak ów postrach któren szerzyło w krainach swoich sąsiadów— nie zostawiwszy po sobie żadnéj historji, żadnych śladów piśmiennych. — Pomniki tylko Bakczyseraju, wspierane ręką zwycięzców, walcząc z wszystko pożerającą siłą czasu,— są jedyną historją, jedyną wskazówką dziejów krymskich— śladem rozkoszy i przepychu Girejów.

Dzisiejsi Tatarzy, zwierzęcéj że tak rzekę oddani pracy, wlokąc dni swoje, w nędzy i upośledzeniu, niewiedzą nawet czém byli kiedyś ich ojcowie.— Żadna myśl wyższa żadne wznioślejsze uczucie, nie obudza ich uśpionego ducha.— Taki to los hord, których cała potęga, na orężu polega. Teraźniejszy stan Krymu, winien całą swą świetność swoim zwycięzcom.

W krótkim bardzo czasie, jakby czarodziéjską siłą, wzrasta nad brzegami morza, Jałta, Ałupka, Teodozja, Kercz i inne miasta handlowe:— Mnożą się fabryki, plantacje, po niedostępnych skał urwiskach, dziś kosztownie urządzona droga ułatwia niebezpieczną kiedyś podróż— a Krym co kiedyś był źródłem postrachu, dziś stał się roskoszną Arkadją Rossji.

Po chwilowym wypoczynku, w towarzystwie osoby o któréj wyż wzmiankowałem udałem się na górę Ajudah.— jedynie może dla tego aby nasycić się widokiem, jakim zachwychał się kiedyś na jéj wierzchołku nasz wielki poeta— aby obudzić w sobie choć małą cząstkę tego natchnienia, które wówczas ożywiało jego ognistą imaginacją.

Z żalem prawdziwym opuściłem Jałtę a bardziéj dolinę pełną tylu zachwycających piękności.— Tego samego dnia jeszcze za godzin parę, statek nasz zatrzymał się w Teodozji.

Teodozja miasto noszące na sobie ślady głębokiéj starożytności — groźne kiedyś mury na brzegu morza wzniesionéj tu cytadelli dziś stoją smutnie opuszczone, świadcząc o przemijającéj losów kolei.— Ztąd to Rzymianie zwalczywszy Mitrydata króla Pontu, zamierzali daléj ku północy posunąć swój oręż zwycięzki— Wieki już upłynęły od owych czasów— Mury jednak Teodozyjskie, przechowują dotąd ślady potęgi Rzymian, a oraz imie wielkiego kiedyś monarchy.

Wieczór zapadał gdyśmy opuszczali Teodozję a przy cichéj pogodzie, po kilkogodzinnéj jeszcze żegludze stanęliśmy w Kerczu gdzie właśnie jest kres zamierzony dla paropływu, utrzymującego ciągłą między tym miastem a Odessą komunikacją.

Ig. Dobrski.

JADWIGA.

Któż wielbąc poświęcenie Helojdy, Andromaki, błogosławiąc zbawiennym czynom Katarzyny,

cesarzów greckich córy, zapomniał wnuczki Kazimierza, co wynosząc się nad słabość płci swojéj, dla wiary, dla szczęścia narodu z siebie uczyniła ofiarę? Któż nie zna anioła niosącego pierwszy promyk światła religji chrześcijańskiéj, w ciemną, bałwochwalczą jeszcze Litwę?

Któż oddając hołd mądrości i cnotom uczonéj chinki, nie wie o założycielce akademji krakowskiéj, o Jadwidze, wzorze niewiast polskich? Któż nareszcie sławiłby męztwo Terezyli broniącéj Argos, unosił się nad postępowaniem Bereniki, nie wspomniawszy pogromicielki węgrzynów, małżonki Władysława Jagiełły.

Jadwiga pełna bojaźni Boga, kochająca cnotę, rozumna, piękna duszą i powierzchownością, wszystkich uszczęśliwić umiała. — Jagiełło widział w niéj przyjaciołkę; ona mu pomoc i radę w rządach przynosiła, ona przytém była matką nieszczęśliwych, ziomków opiekunką. Do odwagi prawdziwéj bohaterki łączyła wdzięk i słodycz płci swojéj właściwą; a wyniosłość tronu nie przeszkadzała zbliżać się do chatki nędzarza, nieść w nią pociechę i wsparcie.

Zbyt wcześnie powołały ją wyroki nieba do lepszego życia, ale Jadwiga nigdy w sercach wdzięcznych rodaków żyć nie przestanie, bo wieczna jest pamięć cnoty!

Niekażdą zapewne kobiétę równie szczytne

przeznaczenie do tak pięknego powołało celu; niekażda tyle ma mocy charakteru, tyle wzniosłych uczuć, niekażda zdolna do równych Jadwidze poświęceń — ale każdą nieba równie czułém obdarzyło sercem, każda w obrębie dla siebie zakreślonym może wyrównać czułością, dobrocią serca małżonce Władysława IV matce nieszczęśliwych — każda może zapobiedz łzom niedoli, których powrócić nawet czułość Jadwigi nie mogła.

W. T.

HELENA.

(obraz z natury).

W wilgotnych murach podziemnego wzięzienia, okropne do koła panowało milczenie; przez wysoko w murze wydrążone okienko, czasami tylko wiatr zimny przechodził, a kaganiec na środku zawieszony, bladym połyskiem rozjaśniał obszerne lochów sklepienie. Jego to promyk zwracając się czasem w ciemny zakątek więzienia dziwnie odbijał na ociemniałéj twarzy sędzi-

wego starca, jak gdyby promień boskiego światła na zeschłą padający roślinę.— Siwy włos spadając na ramiona zakrywał po części lica i czoło zorane cierpieniem; ręce i nogi ciężkie dźwigały żelaza, a wyrazy rozpaczy i głębokie westchnienia wydzierające się co chwila z piersi zdradzało uczucia serca, i duszę dręczoną srogiemi wyrzutami sumienia — Odwróćmy oczy od tego okropnego obrazu— to zbrodniarz jakiś!... ale cóż znaczy ta obok niego dziewica? -- Młoda, piękna jak anioł, niewinność zda się na jéj malować twarzy, łzą czułości tylko pełne młodocianego wdzięku jaśnieje oko. I nawet często, kiedy widzi uspokojonego nieco starca, kiedy wsparłszy na jéj ręku głowę, chwilowego zdaje się kosztować spoczynku, nagły uśmiech radości zawita na jéj ustach, lekki rumieniec anielską twarz umili, a oko wyrażające całą moc uczuć z wdzięcznością ku stwórcy się wznosi.

To jest wzór cnoty, wdzięków i przywjązania, Helena mogąca jaśnieć na wielkim świecie, obsypana hojnie darami natury i losu, chętnie zamienia przepych na nędzę, wykwintne mieszkanie na ponure więzienie bo tu jéj ojciec przebywa. Wprzód hucznym otoczona dworem, rozkazywała podwładnym, mnóstwo sług jéj skinienia czekało. Teraz samotna, opuszczona, ale teraz ona jest wsparciem, teraz przybyła swoją obe-

cnością osładzać ciężar niewoli.— Wyrzekła się uciech świata, własną pomyślność rodzicielskiéj poświęciła miłości.

Całą jéj nagrodą nadzieja przyszłego szczęścia, ale w sercu panuje słodkie przekonanie że dopełniła powinności cnotliwéj córki.

Słuchajcie dzieci lube! o gdyby piękny czyn Heleny mógł was przekonać że w samém pełnieniu świętych powinności można znaleźć szczęście prawdziwe, bo pochodzące z poklasku własnego sumienia, z téj wewnętrznéj rozkoszy któréj najświetniéjsze uciechy wyrównać nie zdołają. Oby jéj przykład wskazał wam jak szanować macie sędziwy wiek waszych rodziców, i czułémi staraniami zawdzięczać trudy które około waszego podjęli wychowania. Oby przywiązanie téj dobréj córki nauczyło was kochać rodziców waszych; nierozbierając ich czynów, niewchodząc w postępowanie, kochać całą mocą dziecięcéj miłości— wymawiać błędy jeśliby mieli jakie, uniewinniać nawet występki. Bo wierzcie mi dzieci drogie! że nawet całe wasze przywiązanie, cała wielkość ofiar, ledwie w maleńkiéj wyrównywa cząstce czułości, dobrodziejstwom i ciągłym poświęceniom jakiémi od kolebki otaczali was rodzice wasi.

W. T.

CZAS ODZYSKANY.

Lubomir syn dość majętnych rodziców, oddanym został w trzynastym roku życia do szkół publicznych. Rodzice jego rozumieli że oddalenie od domu, w którym zbytnie może pobłażanie znajdował, przykład współuczniów, żądza wyrównania im w naukach, zachęci go do pracy, i wykorzeni lenistwo, i opieszałość, którym się dotąd oddawał. Lubo miał od lat najmłodszych światłych i rozsądnych nauczycieli, nie korzystał z ich nauk, najlepsze rady, najtkliwsze przestrogi, surowe nawet kary, nic go poprawić nie mogło. Mimo to jednak Lubomir wyborne miał serce, przepraszał często rodziców i nauczycieli, ze łzami obiecywał poprawę, lecz jeźli zdarzyło się że czasem był czynniejszym, trwało

to najdłużéj dzień jeden; poczém wracał znowu do dawnego niedbalstwa. Wrzeczy saméj w pierwszych czasach jego w szkołach pobytu wstyd i obawa kary ocuciły w nim uśpioną ambicję, zapragnął stać się podobnym rówiennikom swoim, którzy daleko więcéj od niego posiadali wiadomości i talentów. Rodzice jego uszczęśliwieni tak pomyślną odmianą, pewni byli że trwałą będzie i niedowiadywali się późniéj o postępy syna; przytém różne sprawy, zatrudnienia, interesa nie zostawiały im dość wolnego czasu, aby się przekonać czy poprawa jego była szczerą i zupełną. Ale nieszczęściem zbyt wkorzenione nałogi Lubomira wzięły górę nad chwilową czynnością.— A że professorowie szkolni, mając wielu uczniów, nie mogli się w szczególności zajmować postępkami Lubomira, jak to czynili domowi jego nauczyciele, z tém większą łatwością powrócił do ulubionéj gnuśności i poświęcając jéj wszystkie dnia godziny, zupełnie zaniechał uczyć się zadanych mu lekcji, nidgy ich zatém nie umiał, i tak już szkaradne lenistwo zniszczyło w nim zaród wszelkich dobrych przymiotów, że nie wachał się oszukiwać nauczycieli, trzymając ukryty zeszyt, lub książkę, aby gdy będzie zapytany, mógł w nich wyczytać swoją odpowiedź, któréj w głowie nigdy nie znajdował. Strofowanie i kary, już nawet na nim żadnego nie robiły wrażenia, wo-

lał je cierpieć, byle tylko dogodzić obrzydłéj namiętności. Tak zeszło lat trzy, Lubomir zawsze był jednakowym, a że niedbalstwo jego rozciągało się także do powierzchowności, mimo przyjemnéj postaci, odrażał nieporządkiem, i opuszczeniem wydającem się w całéj jego osobie; twarz i ręce zawsze miał brudne, włosy roztargane, suknie pełne plam i kurzu, bo nigdy się tém nie zajął, aby mu je wychędożono; młodsi i późniéj po nim przybywający uczniowie prześcignęli go w naukach, posunęli się do klass wyższych, on zaś lubo już szesnaście lat kończył, ciągle w niższych zostawał.— Muzyka i rysunki nie wzniecały w nim więcéj zajęcia jak ubiór i wykształcenie umysłu, nie znał nawet jeszcze dobrze nót i klawiszów, a największy znawca nie mógł nie raz rozpoznać, widząc jego rysunki drzewa, od bukietu kwiatów. Rektór i professorowie sprzykrzywszy sobie tak nieznośnego ucznia, widząc że wszelkie ich trudy są stracone, umyślili oddalić go ze szkół po w krótce nastąpić mającym examinie, i oświadczyli mu to stanowczo. Zmartwił się cokolwiek Lubomir że ze wstydem będzie musiał opuścić towarzyszów, i rumieniąc się powracać do domu rodziców, ale wnet pocieszył się myślą, że już mu zapewne nieprzyjmą nauczyciela, że będzie mógł do woli próżnować, i w nader mu miłéj gnuśności swe

życie przepędzać. Jestem dość bogatym, myślał sobie, będę się mógł obejść bez wiadomości, których nieposiadam. Tak więc nierozważny ten chłopiec więcéj się cieszył niż smucił tém, co tak szkodliwy wpływ na całe jego życie wywrzeć mogło. Zapomniał że prawdziwém dobrem człowieka, którego mu ani przeciwne okoliczności, ani złość ludzka wydrzeć nie potrafią są cnoty, i użyteczne wiadomości gruntownie nabyte, a nie skarby i bogate włości; że za pieniądze wszystkiego dostanie, ale rozumu i szczęścia nigdy! List matki w tym właśnie odebrany czasie, zdarł zasłonę z oczu Lubomira, był zaś w tych słowach: „Ukochany synu! podobało się Najwyższemu dotknąć nas srogiém nieszczęściem. — Ojciec twój nie żyje. — Umarł ten mąż cnotliwy prawdziwie po chrześcijańsku, polecając mnie i swoje dzieci opiece nieba i mówiąc: że jego ukochany Lubomir będzie podporą matki i siostry. — Pragnął cię widzieć, aby z ust twoich usłyszeć zapewnienie tego, czego po tobie się spodziewał, lecz choroba jego zbyt krótko trwała, niepodobna mi było sprowadzić cię do domu: zaręczyłam więc za ciebie twemu umierającemu ojcu, że nie zawiedziesz w niczém nadziei jego. — Examen szkolny wkrótce ma nastąpić, nie wątpię że przez trzy lata twego w szkołach pobytu, nabyłeś dość nauki i światła by wy-

pełnić obowiązki, które cię czekają. Przybywaj więc spiesznie, drogie moje dziécię! otrzeć łzy stroskanéj matki, i zająć się interessami, których dokończyć, przedwczesny zgon twemu ojcu nie pozwolił, a które w bardzo zawikłanym znajdują się stanie.— Twoje małe siostry potrzebują również nad sobą opieki.— Przyjeżdzaj, a staniesz się dla nas wszystkich aniołem pocieszycielem!

Krew ścięła się w żyłach Lubomira gdy ten okropny list przeczytał; padł bez zmysłów na ziemię, a odzyskawszy przytomność, wpadł w rozpacz najgwałtowniejszą, byłby chciał pod ziemię się ukryć; brzydkie jego wady, nie zdołały przecież wytępić w nim czułości, i przywiązania ku ojcu, gorzko opłakiwał śmierć jego, a wyrzuty sumienia po raz pierwszy silnie uczuć mu się dały. Kilkakrotnie odczytywał list matki, a za każdym razem nowéj doznawał boleści, widział jak jest niezdolnym do wypełnienia tego, czego po nim żądają, jak niegodnym zaufania, które w nim jego ukochany ojciec, jego dobra matka, jego młode siostry pokładały! Rzucił się na kolana, błagał Wszechmocnego o pomoc, o darowanie winy, szczery żal jego przebłagał gniew Boga, natchnął on nieszczęśliwego Lubomira myślą pocieszającą, któréj ten się uchwycił.— Poszedł do rektora, rzucił mu się do nóg, a zlewając łzami ręce jego, pokazał list matki,

zaklinał, aby mu przebaczył, aby rok jeden jeszcze pozwolił mu pozostać w szkołach, przysięgał odzyskać czas utracony, ani jednéj minuty na próżniactwie nie strawić, słuchać we wszystkiém rad jego i stać się godnym najlepszego ojca— Rozrzewniony głębokim jego żalem szanowny rektór, dał się ubłagać i sam nawet napisał do matki, starając się ją pocieszyć, i zapewniając że rozpacz i zgryzoty syna, pozwalają się spodziewać, że poprawa jego będzie niezmienną i zupełną. Biedny Lubomir przyłączył także długi list, w którym z szczerością i pokorą wyznawał wszystkie swoje wykroczenia, i prosił najusilniéj matki, aby mu zostawiła rok czasu do wynagrodzenia tylu lat marnie straconych. Dała się ubłagać dobra matka.— Lubomir otrzymawszy jeszcze przebaczenie wszystkich professorów, którzy uradowani tak szlachetnemi zamiarami swego ucznia, przyrzekli udzielać mu swoich wiadomości nawet w godzinach wolnych od lekcji, zajął się najprzód uporządkowaniem książek, papierów, i rzeczy swoich, zwrócił także uwagę na swój ubiór, i od téj chwili pracował gorliwie, nie tylko dzień cały ale i znaczną część nocy przepędzał na nauce. Wakacje całe i wszystkie wolne chwile, które inni uczniowie zabawom poświęcali, on trawił nad książkami i papierami. W początkach przychodziło mu

to z niewymowną trudnością, tak długie nawyknienie do lenistwa i nieczynności, czyniło mu nieznośną teraźniéjszą pracę; srogi gwałt sobie zadawać musiał, ale nakoniec odniósł najtrudniejsze bo nad sobą samym zwycięztwo; olbrzymim krokiem postąpił w umiejętnościach, nie zaniedbując przytém talentów do uprzyjemnienia życia służących. Po skończonym roku powrócił na łono rodziny opatrzony chlubnemi świadectwami przełożonych, unosząc ich oraz współuczniów przyjaźń i szacunek, i szczęśliwy zaspokojeniem własnego sumienia. Wyręczał matkę w interessach i gospodarstwie, a posiadając liczne wiadomości, idąc zawsze za radami światléjszych i więcéj doświadczenia mających ludzi, uniknął błędów, w które często wpadają młodzi ludzie, gdy zarozumieniu opanować się dadzą— Wolne od zatrudnień godziny poświęcał czytaniu sławnych klassycznych autorów, tak dawnych jak teraźniéjszych. Dobroć jego serca wyrównywała innym przymiotom. Matka dumna tak pomyślną odmianą syna, zapomniała swych cierpień i odtąd żyjąc swobodnie oddawała się jedynie wychowaniu swych córek, wczém jéj i Lubomir dopomagał.

Emilia Płuzańska.

WYTŁUMACZENIE ZWYCZAJU.

Moje drogie dziateczki, możeście wy widziały albo słyszały, gdy kto po słabości przychodził do zdrowia, i już oprócz lekarstwa mógł się czém inném posilić, możeście wy słyszały, że doktór wtenczas pozwolił jedno, lub dwa jajka zjeść na miękko. Może się zdarzyło, iż i z was które chorowało, a potém przychodzącemu do siebie troskliwa mama, mając już pozwolenie doktora sama gotowała jajeczka, a to dla tego aby nie były ani twarde, ani surowe, tylko w miarę dobre. Bo moje dzieci; ta potrawa tak łatwa i prosta na pozór nieda się jednak zawsze utrafić! Pewien pan możny, jak tylko przyjmował kucharza, to aby się przekonać, czy on jest dobrym, na próbę kazał mu jajka miękko gotować, i skoro dobrze ugotował, pan go przyjął niezawodnie.

Ja wiem jeden sposób i wy może o nim słyszałyście jak długo trzeba jajka gotować aby były dobre, tylko może nie wiecie zkąd doszli tego sposobu: otóż wam opowiem. Dawno już; bardzo dawno, żyła jedna stara kobiéta. Była bogata, a nie miała męża, dzieci, ani żadnych krewnych; nudziło jéj się saméj; a więc, pomyślała sobie: wezmę jaką sierotę; i wzięła. Krysia była biédna, bardzo biedna dziewczynka: nie miała matki, ojca, brata, siostry, ani przyjaciół; nikogo nie miała. Rodzice odumarli ją w ósmym roku! tułała się między ludźmi obcymi. a u obcych ludzi najczęściéj jest źle: otóż bogata kobiéta wzięła ją do siebie. Z początku było jéj tam dobrze, choć ją matka nie pieściła, choć ojciec o niéj nie myślał; ale miała się gdzie przespać, co zjeść, w czém chodzić, a dla sieroty i to jest dosyć. Czasem pomyślała sobie: mój Boże; niéma mamy co mię tak pieściła, niema tatka co mię tak kochał! — i zapłakała; ale prędko otarła łezki, złożyła rączki dziękując Bogu że jéj dał schronienie. A kiedy pani nadchodziła ona się zaraz uśmiechała, przymilała, aby ją nie znudzić, aby nie bydź natrętną. Ona téż Krysię lubiła dosyć, jednak w miarę sił, a czasem i nad siły, wymagała od niéj posług. Nakoniec Krysia chociaż dobra, posłuszna, zaczęła się przykrzyć swojéj opiekunce. Stara ko-

biéta zawsze ją łajała, zawsze gniéwała się na nią, a czasem i uderzyła. Cóż ja mam z ciebie? mówiła nieraz: — żadnéj posługi, żadnego wyręczenia; jesteś ciężarem dla mnie. Gdybyś już nie co więcéj to przynajmniéj jajka na miękko umiała gotować, które ja trzy razy na dzień jeść muszę; ale i tego nie! Jeżeli tak dłużéj będzie, to cię oddalę, wypędzę. Dziewczynka biedna zaczęła ją przepraszać, rozpłakała się i do wieczora była bardzo smutna. Kto wié! powtarzała sama do siebie, może mię jutro jeszcze wypędzi, a ja nie będę miała gdzie się podziać, gdzie pożywić, gdzie głowy przytulić; i na tę myśl łzy jéj mimowolnie płynęły, nie mogła się uspokoić, utulić w żalu. Przyszedł wieczór; stara kobiéta jak zwykle kazała sobie na kolację miękkie jaja gotować, Krysia drżąca z bojaźni poszła do kuchni; nałupała drobno drewek, rozpaliła ogień; przystawiła wody w garnuszku. Czy też te jajka będą dobre, myślała dziewczynka; mój Boże! czy będą dobre?... jeżeli nie, co się stanie ze mną jutro? gdzie się obrócę? chyba się utopię? ale na tę myśl zadrżała dziewczynka, bo wiedziała jaki to wielki grzéch odbiérać sobie życie, bo wiedziała że my go sobie nie dali, tylko Bóg dał, i Bóg odebrać może.

Spojrzała na wodę, woda tylko co zawrzała, już miała puścić w nią jaja, ale znowu strach

ją ogarnął; chciała przedłużyć chwilkę swojego wyroku. Spojrzała drugi raz, a woda już warem kipiała. Nie było co dłużéj czekać, Krysia włożyła jajka na wrzącą wodę, i chcąc ubłagać Boga aby jéj dopomagał, i wyjednać przyczynę Matki Jego, złożyła ręce i trzy *Zdrowaś Marja*, z wielkiém nabożeństwem zmówiła, a kończąc ostatni wyraz, jak gdyby pewna pomocy Boskiéj i wstawienia się Marji, wyjęła jajka z garnuszka, i zaniosła je owéj kobiécie. Kobiéta nadtłukła jajko jedno, potém drugie, i z podziwieniem zobaczyła, że takie są właśnie jakie ona chciała. Odtąd Krysia, ile razy kładła jajka na wrzącą wodę, odmawiała pobożnie trzy zdrowaś Marja, i zawsze były w miarę ugotowane. A stara kobiéta kontenta że jéj ulubiona potrawa tak się udaje, już nie wypędziła Krysię, ani ją łajała jak dawniéj. Krysia dziękowała Bogu że w takiéj drobnéj nawet rzeczy chciał jéj dopomódz i zostawiła tę pamiątkę po sobie, że najlepsze jajka miękkie są, kiedy włożone na wrzącą wodę nie gotują się mniéj ani więcéj jak przez trzy *Zdrowaś Marja* zmówione powoli.

Józefa Prusiecka.

PERŁY.

— Patrz! patrz siostro co za prześliczne perły, jakiż dobry ten wujaszek że o mnie pamiętał w Florencji.— Czy mi też w nich do twarzy?... Mówiąc to, młoda Celina stanęła przed zwierciadłem, i na białéj szyjce swojéj, białe perły błękitną związała wstążeczką.

— Ale co też to kosztować musiało! dodała po chwili;— bo perły to rzecz droga.

— Zapewne, odrzekła starsza siostra, ale perły prawdziwe.

— Alboż moje nie prawdziwe? spytała niespokojnie dziewczynka, takie piękne i fałszywe by być miały!

— Piękne są, bo z najlepszéj we Włoszech fabryki pochodzą, ale ściśnij z nich jednę a przekonasz się.

— Ach prawda! co za szkoda! tak się niemi cieszyłam!

— Dla czegóż teraz tak niechętnie zdejmujesz je z szyi. — Co do mnie, wierz mi Cesiu że dęte perełki nad prawdziwe perły przekładam.

Celina potrząsnęła główką.

— Czyż to ja takie dziecko, żebyś mię temi słowy pocieszać chciała.

— Nie mówię tego dla złudzenia lub pocieszenia ciebie, ale wyznaj sama co w oczach rozsądnych ludzi większą cenę mieć powinno, czy przedmiot przyczyniający się do rozwinięcia przemysłu i zręczności, zapewniający tysiącom rodzin wyżywienie i wygodę bez narażenia ich na jakiebądź niebezpieczeństwo, czy taki, dla nabycia którego prości, ubodzi ludzie, wystawiają się codziennie na utratę zdrowia, śmierć lub kalectwo?

— Oczywiście że pożyteczniéjszy pierwszy — ależ...

— Przypatrz się bliżéj tym dwóm obrazom— Oto fabryka dętych perełek;— tu małe chłopaczki obracają machinę która wyrabia drobne woskowe kuleczki, inni na marmurowych stołach przesuwają je nieustannie, by im doskonałą gładkość i okrągłość nadać, inni jeszcze zgniatają je rozmaitéj formy szczypczykami, aby kształtem swoim naśladowały owe nierówne a przecież

kosztowne perły kalkutskie;— dalėj dziewczęta odbierają tak przygotowane gałeczki, przebijają w nich dziurki, i gatunkując je podług kształtu i wielkości nawłóczą na dróciki;— tu w ogromnym kotle gotują kléj rybi czyli karuk, tu go czyszczą, tu mięszają do niego potrzebne przydatki, nakoniec zanurzają w nim woskowe kuleczki, a gdy te świetną powłoką się pokryją, suszą je, nawłóczą na nitki, wycierają, czyszczą, i powiązawszy w pęczki lub poukładawszy w pudełka puszczają w świat za pośrednictwem handlu. — Robią téż perełki i bez woskowéj podkładki, i te właściwie dętkami są zwane, bo je za pomocą rurek wydymają z karuku, jak w hutach ze szkła wydymają się rozmaite rzeczy.— Zważ teraz Cesiu, ile ta drobna na pozór gałąź przemysłu zajmuje rąk, ilu osób potrzeby zaspakaja, a to bez natężenia sił, bez zmęczenia prawie.

Lecz przejdźmy w inną stronę do pereł prawdziwych.

Przenieśmy się naprzykład na wyspę Cejlan, gdzie teraz najpiękniejsze poławiają perły.

Na brzegu mnóstwo ciekawych, na morzu mnóstwo szerokich i długich łodzi, a w każdéj znich kilkunastu, do dwudziestu ludzi, z tych zawsze połowa nurków, połowa ich pomocników; prócz tego, na każdym prawie statku stoi dzi-

wacznie przybrany mężczyzna chlubiący się tytułem czarodzieja lub wróżbita, który tajemniczemi słowy, dziwném wykrzywianiem rąk i twarzy, zaklina morskie wały, rekiny i inne potwory, by nie szkodziły nurkom, i udziela im amulety mające im obfity połów i wszelkie bezpieczeństwo zapewniać. Każdy nurek opasuje się mocnym powrozem, którego jeden koniec dźwiga kilkudziesiątfuntowy kamień, drugi zaś umocowany jest w łodzi pod strażą jednego z pomocników. Otrzymawszy mniemane błogosławieństwo czarodzieja, nurek przyczepia do pasa długi siatkowy worek. jedną ręką chwyta nóż, drugą zatyka sobie nos i usta by dłużéj pozostać pod wodą, i rzuca się w fale:— Już wszyscy zatopili się w głębinie, milczenie oczekiwania. i niepewności panuje między widzami, gdy nagle poruszyła się lina umocowana przy jednéj z łódek, ciągną ją szybko za pomocą kołowrotu, i szczęśliwy nurek wypływa z pełną torbą perłowych ostryg, (bo wiesz Cesiu że perły mieszczą się wśród ślimaków bardzo do ostryg podobnych) i wysypawszy ją na łodzi, spocząwszy nieco, znów się na dalszy zapuszcza połów.

Ale nie wszystkim tak szczęśliwie się udaje, nie kazdy znajdzie taką obfitość perłowych muszli w miejscu gdzie na dnie morza stanie, a posuwać się pieszo nie może gdyż kamień któ-

ry mu do oparcia się sile wody pomaga, niedozwala swobodnéj przechadzki; nieraz też zdarza się że za gwałtownem szarpnięciem liny, pomimo pośpiechu wyciągają nurka na pół uduszonego, lub zbroczonego krwią która z zbytniego wysilenia rzuca mu się nosem, ustami, a czasem i uszami; — czasem téż zdarza się że nurek zaskoczony przez morski potwór jaki, za całą broń mając nóż służący do odrzynania muszli od skał podwodnych, musi walczyć słabym orężem ze strasznym nieprzyjacielem, a walczyć rozpacznie, przytomnie, choć w obcym sobie żywiole, bo tu idzie o uniknienie straszliwéj, przerażającéj śmierci. — Jakież uczucie musi ogarniać patrzących, i domyślających się okropnego pod falami działania po poruszeniach liny i wody, po zakrwawionych wałach, a przecież nikt dopomódz nie może i nie śmie, bo pociągnięcie liny mogłoby walczącemu wytrącić z rąk zwycięztwo, — Po długim dopiéro niepokoju, za znanym znakiem wyciągają nurka, a za nim bez życia już wypływa srogi napastnik, ale też często i zwycięzca pokaleczony, wysilony, życiem tę walkę przypłaca. — Dodajmy do tego że nie zawsze jeszcze zwycięża; że czasem rozszarpany pod wodą, umiera nie mogąc nawet spojrzeniem pożegnać ziemi, rodziny i słońca, które mu przez życie świeciło. — Dodajmy jeszcze że muszle perłowe rzu-

cają w umyślnie wykopane doły by tam popsuły się, i łatwiéj się otworzyć dały;— wyobraź sobie Cesiu jak przykre wyziewy znosić, jak nie miłą pracę podejmować muszą ci, którzy z pogniłych ślimaków dobywają kosztowny klejnot, a pewną jestem że w oczach twoich straci na wartości.

Zamyśliła się Celina, lecz w niedługą potém chwilkę rzekła:

— Prawda siostrzyczko, podzielam, z tobą przekonanie że jak prawdziwe perły krwawym okupione potem nie powinnyby służyć ku ozdobie, tak naśladowane krzewiąc pomyślność i dostatek zasługują na większe upowszechnienie;— a przecież, powiem ci szczerze — wołałabym— żeby mi był wujaszek przywiózł perły prawdziwe.

Kto dzieli chęci Celiny, niech się zapyta sam siebie, jakie uczucie zrodziło w młodém serduszku tę żądzę, silniejszą nad litość, nad miłość bliźniego?

Ja nie powiem jak się to uczucie zowie, lecz która z młodych czytelniczek moich czuje w sobie jéj zarody, niechaj z nią walczy zawczasu, jeżeli w dalszém życiu nie chce za każdym do dobrego krokiem spotkać się z nową zawadą.

P. K.

O MARJONETKACH.

MELUSIA DO FELCIA.

Już tak dawno, kochany braciszku! — nie miałeś listu odemnie, nie bardzo cię to pewno smuciło dotąd, boś ty jeszcze taki malutki, sam czytać nie umiesz, a w moich listach nic téż zajmującego nie było; — ale dziś to już pewna jestem że cię zabawić potrafię — bo opisać ci myślę gdzie byłam, co widziałałam — a widziałam bardzo zabawne rzeczy. — No zgaduj przecie gdzie byłam?... Widzę nie domyślasz się wcale, powiem więc sama że byłam w teatrze —. Ha, ha, ha! myślisz sobie, i cóż to wielkiego teatr — i u nas w Lublinie jest teatr — ale mnie teatr nie bawi, tam albo tak mówią że nic nie rozumiem, albo strzelają - albo zabijają się — ej nie lubię

teatru! I ja tak myślę nieraz, ale wyobraź sobie, tą razą wszyscy mówili że to jest teatr dla dzieci, teatr marjonetek, czyli że aktorami będą lalki drewniane postrojone jak panowie i panie.

Bardzom była ciekawa tego widowiska, serce mi biło mocno kiedy zajeżdzaliśmy przed pałac Paca, wysiadamy— wchodzimy na salę, już na wyniesionéj scenie przedstawienie zaczęte, spokojnie zabieramy nasze miejsca, patrzę ciekawie. — W głębi sceny jakaś dama w ponsowéj sukni z białém ubraniem blondynowém i z przezroczystą na bok zsuniętą zasłoną — ta dama obraca się, kłania, rozprawia rękoma, kręci główką i mówi cieniuteńkim głosem do wystrojonego hiszpana. On także jéj odpowiada, także porusza się z miejsca — wtém wbiega służący — opowiada im cóś śmiesznego — bo się tak serdecznie i głośno śmieje;— nie rozumiałam ich rozmow niemieckich ale mi się koniecznie zdało, że to nie lalki tylko mali ludzie odgrywają teatr, aż mi mama pozwoliła lorynetki.

O mój Felciu! jeżeli kiedy będziesz na teatrze marjonetek to nigdy nie patrz przez lorynetkę. Wyobraź sobie, te śliczne twarze to tylko maski niekształtne, ani ust nie otworzą, ani okiem

ruszą, aż okropnie zbliska je widzieć;— a koło nich pełno sznurów, sznureczków, drócików, od rąk, od nóg, od głowy aż do sufitu się ciągnących. Zapytasz może alboś się już domyślił że za nieżywe lalki mówił dyrektor teatru skryty za kulisami, odmieniając głos stosownie do osoby; bo było więcéj jeszcze marjonetek w różnych strojach i kształtach— a ja na nie do końca przedstawienia bez szkła patrzyłam— i bardzom się niemi ucieszyła.

Po sztuce nastąpiły przemiany i tańce; skoczek na linie, ale skoczek marjonetka zabawne przewracał koziołki i różne z siebie wyrabiał dziwy; potém zniknął z liną a w jego miéjsce przybywały zkolei różne figurki, poskakała każda trochę i już z kwiaciarki żebrak stary, z dziecka ogromny człowiek się robi — a coraz-to inna dekoracja, coraz-to piękniejsza.— Wybiegł mały baletnik, i w jednéj chwili tak urosł że głową wysokości sklepienia dochodził — nagle odpada mu ręka,— on skacze; po niéj druga, on jeszcze wyżéj się podnosi— noga mu odpadła— na jednéj podskakuje— i drugiej już nie ma a jeszcze rzuca ciałem i głową — skłonił ją — i już na ziemi głowa. Szkoda myślałam, to najzabawniejsza marjonetka! Ale otóż oderwane członki skakać poczynają, jak podskoczyły wysoko— tak spadły zamienione w różowych sześć

aniołków i znikły. I było jesze dużo, dużo ładnych przemian — a na zakończenie różnokolorowe ognie chińskie w rozlicznych gwiazdach, cyfrach, koronach jaśniały. I cóż czy chciałbyś widziéć marjonetki?

W. T.

SPIS RZECZY

WTOMIE TRZECIM ZAWARTYCH.

Proza.

Wiersze.

POMYŁKI DRUKU

W TOMIE TRZECIM ZAWARTYCH.

Stron:	*Wiersz*	*Zamiast*	*Czytaj*
1	1	wiącej	więcej
	4	spędziają	spędzają
10	28	Jarmuż owéj	Jarmużkowéj
13	15	gtośno	głośno
14	5	dziękuje	dziekuję
18	19	nauką	naukę
23	8	wierszchu	wierzchu
24	5	sie	się
24	25	brzós	brzóz
25	24	miejscu	miejsce
27	19	sześciu	sześciorga
29	2	umilał	umilało
33	5	smutuy	smutny
36	6	chce	chcę
37	10	bajarków	bajorków
39	3	prypadkiem	przypadkiem
40	13	obiecujece	obiecujące
43	15	słownego	sławnego
45	11	maczety	meczety
45	20	pierwszeństo	pierwszeństwo
47	25	Kamienie	Kamieniec
48	11	spital	szpital
48	16	odzielne	oddzielne
50	14	porównaju	porównaniu
53	5	starannie	staranie
55	14	tago	tego
74	4	płużycz	płużyca
74	5	wraca	wracała
77	4	dokładość	dokładność
78	14	dla	dla tego
79	16	kupida	Kupida

Stron:	*Wiersz*	*Zamiast*	*Czytaj*
91	3	dwuch	dwóch
110	20	płaczc	płacze
115	28	spalenic	spalenie
122	4	każe	każę
130	7	Krysliną	Krystyną
133	7	wchorobie	w chorobie
134	22	znajduje	znajduję
136	14	do	od
138	12	przedsiąwzięcia	przedsięwzięcia
142	3	od	do
149	12	Sewasto polski	Sewastopolski
152	4	głównych	głównych
165	19	Płuzańska	Płużańska
173	19	przud	przed
179	3	ztą	z tą
181	6	mężów	mężow
184	14	rękopimśie	rękopiśmie
185	16	Tatatarów	Tatarów
190	16	wdzieczny	wdzięczny
191	1	newoluo	niewolno
191	11	także	takie
194	26	spoglągdałem	spoglądałem
202	16	zwawszy	żwawszy
204	5	głośiejszą	głośniejszą
207	3	prosiii	prosili
215	6	żadnege	żadnego
216	6	drwi	drzwi
216	25	drwiach	drzwiach
220	23	eskarda	eskadra
224	20	zachwychał	zachwycał
225	19	wielbąc	wielbiąc
227	12	Helena	Helena
227	14	wzięzienia	więzienia
231	21	nidgy	nigdy
244	19	szezęśliwy	szczęśliwy
245	21	wypłyaw	wypływa
247	14	ałe	ale
250	1	jesze	jeszcze